MIROSŁAW AZEMBSKI

ZAGADKI NASZEGO CZASU



rtv

MIROSŁAW AZEMBSKI

ZAGADKI NASZEGO CZASU

Wydawnictwa Radia i Telewizji

Projekt okładki i stron tytułowych
JERZY TREUTLER

Zdjęcia
CAF oraz ze zbiorów autora

Redaktor
ALINA ZAWISTOWSKA-TREUTLER

Redaktor techniczny
ELŻBIETA KOZŁOWSKA-JURCZAK

Korektor
BOŻENA HAŁUSZCZYŃSKA

Wydawnictwa Radia i Telewizji
Warszawa 1989
Wydanie I. Nakład 14.740+260 egz.
Objętość ark. wyd. 12,88; ark. druk. 15,5
Papier offset III kl. A-1, 70g
Oddano do składania w czerwcu 1988 r.
Podpisano do druku w kwietniu 1989 r.
Druk ukończono w lipcu 1989 r.
Druk i oprawę wykonały Łódzkie Zakłady Graficzne,
Łódź, ul. PKWN 18
ISBN 83-212-0526-7
Zam. nr 255/11/88 A-11

OD AUTORA

Jeśli Czytelnik sięgnie po tę książkę w przekonaniu, że znajdzie w niej dysertacje i nowe hipotezy na temat potwora z Loch Ness, małpoluda Yeti czy Trójkąta Bermudzkiego, odłoży ją z rozczarowaniem. Nie o takie przyrodniczo-mistyczne zagadki tutaj chodzi, ale o pewne wydarzenia i zjawiska społeczne (z reguły o implikacjach politycznych), o których w swoim czasie wiele mówiło się i pisało, które relacjonowali obszernie reporterzy telewizyjni i radiowi, i które mimo wszystko albo w ogóle nie zostały rozszyfrowane, albo rozszyfrowano je nie do końca.

Bardzo popularna jest u nas teoria, że nie ma takiego wydarzenia o publicznym znaczeniu, które by nie doczekało się gruntownego naświetlenia i wyjaśnienia przez historyków. To prawda, ale wymaga to czasu. Ja zaś proponuję pochylenie się nad zagadkami naszych czasów, to znaczy lat siedemdziesiątych-osiemdziesiątych XX stulecia.

Autor niniejszych szkiców nie jest historykiem, lecz dziennikarzem – w pewnym okresie telewizyjnym – i jako taki mógłby przytoczyć wiele przykładów spraw, które niedawno frapowały opinię publiczną, a które odłożono do lamusa, nie zastanawiając się już więcej nad znakami zapytania w nich zawartymi.

Tych znaków zapytania jest, jak się okazuje, niemało. Dotyczą one na przykład „nie rozgryzionych" dotąd organizacji (sycylijska mafia, południowolibańska Falanga). Dotyczą motywów działania ludzi na świeczniku; nie bardzo wiemy choćby, kto i po co wywołał „ograniczoną wojnę" o Falklandy-Malwiny? Kto i po co podjął beznadziejną akcję ratowania zakładników amerykańskich w Teheranie? Niezrozumiałe także było poparcie przedstawicieli cywilizowanego świata dla byłych hitlerowskich ludobójców – Josefa

Mengelego i Klausa Barbiego. Zdarzały się również zagadki na pozór iście kryminalne, a przecież powiązane z „wielką polityką" – jak śmierć trojga głośnych terrorystów w więzieniu Stammheim...

Przypominając fakty dotyczące owych zagadek naszego czasu, starałem się unikać własnych sugestii, ale – zdaję sobie z tego sprawę – nie zawsze mi się to udawało. Nie znaczy to jednak, że Czytelnik powinien iść torem mojego myślenia. Mam nawet nadzieję, że będzie odwrotnie...

M.A.

KRWAWA NOC W STAMMHEIM

Działo się to rankiem 18 października 1977 roku na siódmym piętrze więzienia Stammheim, położonego na przedmieściu Stuttgartu. Na korytarzu pojawili się dwaj funkcjonariusze, niosąc tacę ze śniadaniem dla więźniów; nie musieli się śpieszyć, nie czekała ich zbyt wielka robota, ponieważ na piętrze, w izolowanych celach siedziała tylko czwórka więźniów-terrorystów: Andreas Baader, Gudrun Ensslin, Jan Carl Raspe oraz Irmgard Möller. Według harmonogramu pierwszy miał otrzymać śniadanie Raspe, osadzony w celi numer 716.

Funkcjonariusze otworzyli celę i ukazał się im widok, który mógł zaszokować każdego. Więzień z zakrwawioną głową wpółsiedział, wpółleżał na łóżku, oparty plecami o ścianę i rzęził.

Natychmiast zatrzasnęli celę i wszczęli alarm. Wezwano pogotowie. Gdy strażnicy w asyście sanitariuszy ponownie weszli do celi, odkryli, dopiero teraz, że obok prawej ręki Raspego leży wielkokalibrowy pistolet. Więzień był ciężko ranny. Zabrano go natychmiast do szpitala.

Zamieszanie wokół Raspego sprawiło, iż strażnicy zapomnieli o pozostałej trójce więźniów. Rzucili się więc teraz do ich cel, otwierając je kolejno. Zapis zeznań funkcjonariuszy tak oto przedstawiał się w skrócie:

Cela 719: Andreas Baader leży martwy na podłodze. Obok, w wielkiej kałuży krwi – pistolet.

Cela 720: w pomieszczeniu panuje półmrok. Spod koca rozwieszonego pod oknem wystają stopy w szarych skarpetkach: to Gudrun Ensslin wisi na okratowaniu okna. Jest martwa.

Cela 725: Irmgard Möller leży na swoim materacu, ciężko ranna czterema ciosami noża w pierś. Natychmiastowa operacja uratuje jej życie...

Wiadomość o zagładzie czy też samozagładzie błyskawicznie wydostała się poza mury Stammheim i wstrząsnęła opinią publiczną, nie byli to bowiem więźniowie tuzinkowi, ale twórcy i przywódcy Frakcji Czerwonej Armii (Rote Armee Fraktion – RAF), najgroźniejszej organizacji terrorystycznej w RFN, ludzie, których uwolnienia domagali się od dawna ich wciąż nieuchwytni podwładni i koledzy. Kanclerz Helmut Schmidt dowiedział się o wydarzeniu nawet nieco później niż agencja prasowa DPA (Deutsche Presse Agentur – Niemiecka Agencja Prasowa), gdyż od wczesnego rana uczestniczył w posiedzeniu bońskiego gabinetu.

– Byłem uderzony jak obuchem – wspominał później – wzburzony i wstrząśnięty. Od razu stało się dla mnie jasne, jakie będą reperkusje polityczne tego wydarzenia na świecie...

Ten wytrawny polityk słusznie się niepokoił. Wiedział, że miliony telewidzów i czytelników prasy w Europie i poza nią zaraz postawią sobie pytanie: co takiego naprawdę wydarzyło się w Stammheim – zbrodnia czy zbiorowe samobójstwo? Jeśli zbrodnia, to kto i dlaczego jej dokonał? Jeśli samobójstwo – to w imię czego?

Jeszcze tego samego dnia, 18 października, stuttgarcki minister sprawiedliwości Traugott Bender, nie czekając na wyniki ekspertyz, podał na konferencji prasowej oficjalną wersję śmierci więźniów – samobójstwo. Być może właśnie ten pośpiech sprawił, iż – jak wykazały błyskawicznie przeprowadzone ankiety – olbrzymia większość Włochów, Francuzów i Holendrów wyraziła przekonanie, że trójka przywódców RAF została po prostu zamordowana. Co do Niemców z RFN, ci przyjęli posłusznie wersję oficjalną, ale po latach okaże się, że i oni mieli (i mają do dziś) sporo wątpliwości na ten temat. Telewizja i prasa zachodnioniemiecka co pewien czas wracają do sprawy zapytując: jak było naprawdę?

Jak więc było naprawdę?

Chcąc zbliżyć się chociażby do odpowiedzi na to, jakże trudne pytanie – trzeba podjąć próbę przypomnienia całości dramatu,

którego „krwawa noc” w Stammheim była punktem kulminacyjnym, lecz nie jedynym.

Prolog dramatu rozegrał się 5 września 1977 roku na Vincenz-Statz-Strasse, niewielkiej uliczce w dzielnicy willowej Kolonii. O godzinie 17.28 rozległy się tam strzały – wściekła kanonada z broni maszynowej. Kilkunastoletni mieszkaniec tej ulicy, namiętny pożeracz sensacyjnych programów telewizyjnych, jest zachwycony. Do lokatorów swego domu, którzy właśnie otwierają okna, żeby zobaczyć co się dzieje, chłopak woła w podnieceniu:

– Chodźcie, chodźcie, kręcą film dla telewizji!

Widział ludzi strzelających z dwóch samochodów do czarnego mercedesa, widział jak ci ludzie wyciągają z owego mercedesa jakiegoś grubego człowieka i wciskają go do żółtego dużego wozu, widział wreszcie trupy na jezdni. Co widział jeszcze?

Policja, która zjawiła się na miejscu w kilka minut po zamachu, niebawem wiedziała już wszystko: porwanym grubasem jest Hanns Martin Schleyer, przewodniczący Związku Przemysłowców RFN, a ludzie leżący na jezdni w kałużach krwi to jego kierowca służbowy Heinz Marcisz oraz trzej policjanci z obstawy osobistej – Reinhold Braendle, Helmut Ulmer i Roland Pieler. Wszyscy nie żyli i nic dziwnego: wystrzelono do nich bowiem 248 pocisków! Należało tylko podziwiać precyzję strzelecką zamachowców, którym zależało na tym, by nie trafić Schleyera – wręcz przeciwnie, chcieli go mieć żywego...

Porywacze wkrótce już dali o sobie znać. Do pastora Neuschaeffera z Wiesbaden przyszedł list, w którym „komando Frakcji Czerwonej Armii” donosi, iż Schleyer jest zdrów i cały, czego świadectwem niech będzie załączony jego odręczny list oraz zdjęcie przedstawiające go na tle emblematu RAF – pięcioramiennej gwiazdy z nałożonym na nią pistoletem.

Żądanie autorów listu brzmiało następująco: Schleyer będzie uwolniony, jeśli w określonym terminie zostaną wypuszczeni na wolność uwięzieni w Stammheim bojownicy RAF – Andreas Baader, Gudrun Ensslin, Jan Carl Raspe, Irmgard Möller i siedmioro innych więźniów z tej organizacji, rozproszonych po zakładach penitencjarnych Republiki Federalnej; w przeciwnym razie za-

kładnik zginie. Do czasu ich zwolnienia policja musi przerwać wszelkie poszukiwania Schleyera, ponieważ i wówczas gdy będą one kontynuowane zostanie on natychmiast zgładzony. W liście zawarte były również żądania finansowe: każdy z uwolnionych bojówkarzy ma otrzymać przed odlotem z RFN (do dowolnie przez siebie wybranego kraju) po 100 000 marek zachodnioniemieckich. List podpisało „Komando Siegfrieda Hausnera". Taką nazwę nadała sobie grupa porywaczy, czcząc w ten sposób pamięć współtowarzysza, który umarł z ran odniesionych podczas ataku terrorystów RAF na ambasadę RFN w Sztokholmie w 1975 roku. Pastor przesłał list i zdjęcie rządowi bońskiemu i od tej chwili rozpoczęły się pertraktacje o życie Schleyera, które trwały ponad półtora miesiąca.

Była to istna wojna nerwów, w której każda ze stron chciała drugą wyprowadzić w pole, stosując najprzeróżniejsze triki i podstępy. Czy określenie „strona" jest w tym przypadku właściwe, to sprawa dyskusyjna: wszak jedną ze stron był aparat państwowy Republiki Federalnej ze swoimi zastępami policji i wojska, drugą – najwyżej kilkudziesięcioosobowa grupa terrorystów. Tak czy inaczej, pojedynek się toczył, a każde nowe w nim przetasowanie komunikowane było natychmiast ogółowi przez masowe środki przekazu, zwłaszcza przez telewizję. W okienku telewizora ukazywali się przedstawiciele rządu, apelowali do sumienia terrorystów, a najczęściej żądali od nich dowodów, że Schleyer naprawdę jeszcze żyje i że rokowania mają nadal jakiś sens. W odpowiedzi „Komando Siegfrieda Hausnera" dostarczało władzom zdjęcia i taśmy magnetowidowe, ukazujące zmęczoną twarz Schleyera pod emblematem RAF i z jakąś aktualną gazetą w ręku, co miało być dowodem, iż żyje. Przez radio przemawiał na przemian to Schleyer (z taśmy oczywiście) apelując do rządu o spełnienie żądań RAF, to znowu rzecznik władz, przedstawiając trudności szybkiego przygotowania więźniów do wyjazdu, zgromadzenia odpowiedniej sumy pieniędzy etc.

Jakkolwiek „wojna o Schleyera" toczyła się na oczach milionów telewidzów, tylko niewielu z nich miało rozeznanie w rzeczywistych zamiarach stron. Znacznie już później, po dramacie w Stammheim i po śmierci Schleyera, można się było zorientować, iż rząd, a zwłaszcza kanclerz Schmidt, ani przez chwilę nie dopuszczali myśli o spełnieniu żądań porywaczy. Eskalacji terroryzmu twardo powiedziano – stop, ale tylko na supertajnych naradach. Na zewnątrz wyrażano chęć do negocjacji, co było, rzecz dzisiaj jasna, tylko grą na zwłokę, do czasu, gdy znajdzie się jakieś inne, skuteczne rozwiązanie.

Porywacze, jak się wydaje, byli bardziej szczerzy w swoich deklaracjach. Można przyjąć, że gdyby dostarczono im jedenastkę więźniów, pieniądze oraz środki transportu, Schleyer zostałby istotnie uwolniony. Nie ze współczucia dla „tej grubej kapitalistycznej świni", jak go nazywali, ale dla własnych, politycznych racji. Sprzeniewierzenie mogłoby sprawić, iż planowane na przyszłość dalsze porwania i wymuszenia okazałyby się bezskuteczne jako metoda.

Czy czwórka więźniów z siódmego piętra wiedziała, co się dzieje na zewnątrz Stammheim, czy była poinformowana o przebiegu negocjacji?

Do dnia porwania Schleyera więźniom z siódmego piętra żyło się iście po królewsku. Oczywiście, jak na warunki zakładu penitencjarnego. W „korytarzu terrorystów" – bo tak owe piętro nazywali funkcjonariusze – byli tylko oni; ich cele stały otwarte dniem i nocą, mogli odwiedzać się nawzajem, nawet nie rozstawać się aż do świtu (z czego skwapliwie korzystali Andreas Baader i Gudrun Ensslin). W celach mieli telewizory, aparaty radiowe, dostawali czasopisma i książki, mieli prawo swobodnie prowadzić rozmowy telefoniczne ze światem zewnętrznym, wysyłać i otrzymywać korespondencję. Ich codzienny spacer na tarasie urządzonym niby ogród trwał 90 minut, a nie 30, jak spacer pospolitych przestępców. Przyjmowali nie tylko swoich adwokatów – bo do tego ma prawo każdy więzień z wyrokiem nieprawomocnym – ale i innych gości, nieraz nawet nieco podejrzanych. Nie uznawali więziennego jedzenia, kupowali żywność w kantynie – ponoć w obawie, że do urzędowych dań mogą być dosypane środki farmakologiczne, które osłabią ich wolę i spowodują zby-

tnią gadatliwość podczas spotkań z przedstawicielami znienawidzonej władzy.

Mieli mnóstwo pieniędzy. Skąd? Mieli rodziny zamożne, jednak datki dla nich przychodziły również i od osób postronnych, które prawdopodobnie podpisywały się fikcyjnym nazwiskiem. Do dziś nie wiadomo, ilu sympatyków miała RAF; domyślano się, że kilka tysięcy, nie tylko zresztą w RFN – także w krajach Beneluksu, Francji, Włoszech, krajach Bliskiego Wschodu.

Ich wyjątkowy status drażnił więźniów z innych pięter, gdzie siedzieli przeważnie przestępcy kryminalni (było ich w Stammheim 950). Pospolitacy protestowali, grozili buntem, ale władze nie bardzo się tym przejmowały. Rząd dbał o to, aby terroryści nie popadli w melancholię i nie poczynili jakichś głupstw.

Wszystkie te przywileje odebrano czwórce w dwa dni po porwaniu Schleyera. Cele ich opróżniono ze wszystkiego, prócz książek i adapterów. Zabroniono wizyt. Żadnej korespondencji, żadnych telefonów. Co więcej: nie mogli już utrzymywać kontaktów ze sobą. Rozmieszczono ich w ten sposób, że zawsze cele zamieszkane przegradzała jedna pusta, co uniemożliwiało porozumiewanie się więziennym morsem, czyli pukanięm w ściany. Oczywiście wszystkie cele zamknięto na trzy spusty. Na spacer, ale już tylko 30-minutowy lub do kąpieli wyprowadzano ich osobno, zawsze w towarzystwie pięciu funkcjonariuszy. Gdy zarząd więzienia zorientował się, że więźniowie przechodząc korytarzem wydają jakieś okrzyki do towarzyszy (nie zawsze dla strażników zrozumiałe), na drzwi cel nałożono płyty dźwiękochłonne.

Cała czwórka ostro wyraziła swój sprzeciw. Wezwała sędziów, aby wpisano protest do protokołu.

– Są to represje – mówił Baader – sprzeczne z prawami podstawowymi i prawami człowieka.

– Samowola! – wołał Raspe.

Obie kobiety mówiły o „torturach moralnych" i o naruszaniu konwencji genewskiej. Möller poleciła specjalnie zanotować, że „celem tego posunięcia nie może być nic innego jak eksterminacja więźniów".

Gdy protesty nie pomogły, więźniowie rozpoczęli strajk głodowy. Nie trwał on długo, zaledwie kilka dni, jednakże rząd federalny bardzo się nim zaniepokoił. Okazało się, że nakaz izolacji czworga wydały władze lokalne Badenii-Wirtembergii, nie powiadamiając o tym Bonn. Wynikła z tego potężna polityczna awantura. Kanclerz Schmidt, przy całym swoim kluczeniu w sprawie Schleyera, jak ognia bał się interwencji Amnesty International i Europejskiej Komisji Praw Człowieka, które mogłyby posunąć się do oskarżeń, że w Republice Federalnej stosuje się metody... Trzeciej Rzeszy.

W jaki sposób dowiedzieli się o tej scysji więźniowie? Zarząd więzienia nie był na tyle bystry, aby dostrzec, że mimo całkowitego zakazu kontaktów i ścisłego nad tym nadzoru, cała czwórka równocześnie głodówkę rozpoczęła i równocześnie ją zakończyła. Jak zdołali się porozumieć w jednym i drugim wypadku?

13 września, gdy mijał czwarty z kolei termin ultimatum porywaczy Schleyera, w więzieniu Stammheim zjawili się przedstawiciele Federalnego Urzędu Kryminalnego, aby przeprowadzić rozmowy z czołówką RAF. Całej czwórce postawiono to samo pytanie: dokąd chcą się udać po wyjściu na wolność? Wymienili Angolę i ewentualnie Etiopię lub Gwineę-Bissau. Był to oczywiście jeszcze jeden trik ze strony władz, jeszcze jedna próba gry na zwłokę. Więźniowie zachowywali się spokojnie i – na co nie zwrócono uwagi – znakomicie orientowali się w przebiegu rokowań z porywaczami. Skąd o tym wszystkim się dowiedzieli? Kolejna zagadka, którą udało się wyjaśnić dopiero po ich śmierci.

W miesiąc później, 13 października, rozpoczął się następny akt stammheimskiego dramatu, toczący się tym razem daleko od Republiki Federalnej. Rozdrażnieni zachowaniem władz porywacze Schleyera zaapelowali o pomoc do swoich bliskowschodnich przyjaciół i zaraz ją otrzymali. Kiedy lecący z Majorki do Frankfurtu nad Menem samolot „Lufthansy" znajdował się nad Marsylią, z trzaskiem odskoczyły drzwiczki kabiny pilotów i dwóch mężczyzn o śniadej cerze wycelowało pistolety w głowy kapitana i jego zastępcy; w tym samym czasie dwie dziewczyny z granatami w rękach krzyczały do pasażerów: „Nie ruszać się! Jesteście porwani!"

Terroryści nakazali pilotom skierować samolot do Rzymu, a po wylądowaniu na lotnisku Fiumicino przekazali telefonicznie redakcjom gazet swoje warunki: wszyscy uwięzieni bojówkarze RAF mają być zwolnieni, każdy z nich musi otrzymać 100 000 marek zachodnioniemieckich, a wszyscy łącznie jeszcze 15 milionów dolarów. Takie były żądania pod adresem władz bońskich. Ponadto rząd turecki ma zwolnić dwóch więzionych terrorystów palestyńskich. Dopiero po spełnieniu tych żądań zakładnicy – 82 pasażerów i 5 członków załogi – będą mogli samolot opuścić.

Rozpoczęła się powietrzna Golgota, która miała trwać 105 godzin. Uprowadzony Boeing skierował się na Bliski Wschód, ale nie otrzymał zgody na lądowanie ani w Kuwejcie, ani w Bagdadzie i siadł dopiero w Damaszku. Stąd, po zatankowaniu, poleciał do Dubajju, a następnie do Adenu, by wreszcie zakończyć rejs w somalijskiej stolicy – Mogadiszu. Na każdym z tych punktów etapowych toczyły się, za pośrednictwem wież kontrolnych, pertraktacje pomiędzy terrorystami a przedstawicielami RFN. Dowódca porywaczy przedstawiał się jako „kapitan Martyr Halimeh". Martyr – znaczy męczennik, a Halimeh to nazwa palestyńskiego miasta, zrównanego z ziemią podczas wojny izraelsko-arabskiej, można więc było domyślać się, że terroryści są Palestyńczykami. W Adenie „kapitan Martyr" wyrzucił ciało pierwszego pilota, 37-letniego Jürgena Schumanna, którego zastrzelił „za próbę zdrady".

17 października w południe, gdy mijała już dziesiąta godzina postoju Boeinga w Mogadiszu, z kabiny pilota wyskoczył wzburzony „kapitan Martyr" krzycząc:

– Wasz rząd nie godzi się na wymianę, wobec tego umrzemy tu wszyscy razem!

Pasażerów skrępowano pasami i terroryści przystąpili do spełnienia swojej groźby, polewając przejście między fotelami alkoholem z pokładowego barku. Alkohol miał być już za chwilę podpalony, gdy z wieży kontrolnej przekazano ważną wiadomość dla „kapitana Martyra": samolot z uwolnionymi bojówkarzami RAF już wystartował z Niemiec i będzie w Mogadiszu nad ranem...

„Martyr" uwierzył. Istotnie, zgodnie z zapowiedzią wystartował

z RFN samolot, tyle że miał on na pokładzie nie terrorystów, lecz specjalistów do walki z terroryzmem: oddział komandosów z grupy specjalnej GSG-9. W chwili gdy porywacze rozlewali wódkę i whisky, na zapleczu dworca lotniczego komendant oddziału Ulrich Wegener czynił ostatnie przygotowania do ataku.

Uderzyli dokładnie o północy czasu europejskiego. Akcja trwała 5 minut. Samolot obrzucono „cudownymi świecami", które powodują kilkusekundowy paraliż. W ciągu tych kilku sekund komandosi wdarli się do wnętrza i seriami z broni maszynowej skosili terrorystów. Troje z nich zginęło na miejscu, czwarta – dziewczyna – została ciężko ranna. Nikt z pasażerów nie poniósł szwanku. Dla czwórki z siódmego piętra więzienia w Stammheim oznaczało to koniec wszelkich nadziei na zwolnienie.

Czy i kiedy dowiedziała się ta czwórka o brawurowej akcji GSG?

Wiadomość dotarła do nich prawdopodobnie już 40 minut po północy 18 października. Władze więzienne nie miały o tym pojęcia, a i eksperci BKA (Bundes Kriminal Amt – Federalny Urząd Kryminalny) odkryli prawdę dopiero nazajutrz po śmierci trojga, przepatrując ponownie ich cele. Zrazu sądzono, że strzępy informacji docierały do więźniów siódmego piętra z pięter niższych, gdzie „pospolitacy" nastawiali swoje radioodbiorniki na cały regulator. Już z pierwszych jednak zeznań funkcjonariuszy wynikało, że „noc Mogadiszu" minęła w Stammheim spokojnie i cicho, a z dołu nie dochodziły żadne odgłosy. Rewizja cel wyjaśniła wszystko. Jan Carl Raspe miał wielkie uzdolnienia techniczne i jeszcze zanim zakazano więźniom kontaktów, połączył wszystkie cztery cele systemem kabli i małych megafonów, który pozwalał im w każdej chwili nawzajem się komunikować. W celi, jak się okazało, miał również radio tranzystorowe „Sanyo RF", za pomocą którego retransmitował zapewne audycje swoim towarzyszom z „korytarza terrorystów". Radio „Sanyo", znalezione w dniu jego śmierci, nastawione było na stację „Süddeutscher Rundfunk", która o godzinie 0.40, jako pierwsza, podała wiadomość o odbiciu Boeinga.

Odkrycie systemu komunikacji więźniów zaciążyło na przebiegu śledztwa w sposób zasadniczy. Skoro cała czwórka, mimo izolacji, nadal pozostawała w kontakcie – rozumowali funkcjonariusze BKA – to jasne, że kolektywnie podejmowała decyzje, a więc i ostateczną decyzję wspólnego samobójstwa po „nocy Mogadiszu". Była to teza bardzo wygodna dla władz RFN. Kolektywne samobójstwo uznano za jeszcze jeden, szczególnie wyrafinowany akt terroryzmu, który miał rzucić na władze podejrzenia o dokonanie morderstwa. Miała to być zemsta zza grobu czołowych przywódców RAF. W miarę jednak upływu czasu ujawniało się coraz więcej znaków zapytania i teza o samobójstwie okazała się wcale nie taka łatwa do udowodnienia.

Noc z 17 na 18 października niczym nie zapowiadała makabrycznych wydarzeń. Tak przynajmniej twierdził asystent sądowy Hans Rudolf Springer, który pełnił wtedy dyżur strażniczy na siódmym piętrze więzienia w Stammheim. Siedział w boksie chronionym kuloodporną szybą i słuchał radia, ciekaw rozwoju wypadków w Mogadiszu. Na monitorach telewizyjnych mógł obserwować cały „korytarz terrorystów". Wieczór właściwie niczym nie różnił się od innych – wspominał później. O godzinie 23.00 dwaj sanitariusze w towarzystwie trzech strażników otworzyli cele Baadera i Raspego, aby dostarczyć im środki uspokajające, których od pewnego czasu żądali. Baader nie przejawiał zdenerwowania, był nawet zaskakująco grzeczny: wziął proszki i powiedział „dziękuję". On, który w zetknięciu ze strażnikami zawsze wymyślał im od świń i zasrańców. Równie spokojny był Raspe.

Ceremonię przekazywania lekarstw obserwował nie tylko Springer, lecz także jego zwierzchnik, sekretarz główny Horst Gellert, pełniący dyżur w izbie wartowniczej, gdzie na monitorach telewizyjnych widoczne są zarówno wszystkie korytarze więzienia, jak i jego mury zewnętrzne. Około godziny drugiej nad ranem strażnik z warty wewnętrznej usłyszał jakieś „głuche uderzenie", ale nie przywiązywał do tego większej wagi; zdarzało się, że więźniowie z szóstego i niższych pięter wyrzucali przez okno szklankę wody albo torbę z mlekiem – ot tak, żeby poirytować wartowników

na dziedzińcu. Inny strażnik, z porannej zmiany na czwartym piętrze, usłyszał strzał, był jednak przekonany, że któremuś z jego kolegów przez pomyłkę odpaliła broń, co się nieraz zdarzało.

A więc, noc spokojna, bez wybryków. Zeznania strażników z różnych pięter, którzy mieli możliwość obserwowania się nawzajem, były o tyle ważne, że pozwoliły później na wyeliminowanie wersji o likwidacji czwórki terrorystów przez służbę więzienną. Gdyby tak było istotnie, do spisku musiałoby należeć co najmniej pięćdziesięciu ludzi, a w takim przypadku trudno o utrzymanie tajemnicy. Przeciw tej hipotezie wypowiedzieli się również dwaj kapelani więzienni, którzy odwiedzili Gudrun Ensslin – na jej życzenie – w godzinach popołudniowych 17 października. Była podniecona, mówiła o zbliżającej się egzekucji, ale na zakończenie dodała: „Ci tutaj tego nie zrobią. Przyjdą ludzie z zewnątrz".

Kto miał przyjść z zewnątrz? Może więźniowie kryminalni z niższych pięter, wściekli z powodu przywilejów przyznawanych tym „intelektualnym dzieciom wielkiej burżuazji"? Podobno jeden z nich proponował kiedyś radzie więziennej, aby zostawiła otwarte wejście na siódme piętro, a wtedy sprawiedliwość ludowa wszystko załatwi... Mało to prawdopodobne, gdyż tego rodzaju ruchy w Stammheim spowodowałyby włączenie systemów alarmowych.

Rzecznicy tezy o zbiorowym samobójstwie więźniów, którzy twierdzili, iż nikt z zewnątrz nie mógł się dostać nie zauważony na siódme piętro, mogli więc triumfować. Okazało się jednak, że na triumf za wcześnie. Doktor Martin z „Kripo" (Policja Kryminalna) stwierdził w czasie śledztwa, że system telewizyjnego podglądu na siódmym piętrze w „noc Mogadiszu" nie działał i nie działa nadal. Wezwani przedstawiciele firmy „Telemat", która to urządzenie instalowała, przyznali, że istotnie miała miejsce awaria, ale z winy zarządu więzienia: monitory nie działają, gdy... zabrudzona jest podłoga korytarza – a tak właśnie było. Linoleum pokrywała gruba warstwa kurzu. Adwokaci zmarłych terrorystów postawili ponadto pytanie: dlaczego władze w Stuttgarcie odmawiają pokazania taśm wideomagnetycznych podłączonych do monitorów? Pozwoliłoby to naocznie przekonać się, że nikt obcy

nie przebywał wtedy na korytarzu. Odpowiedź była rozbrajająca: taśm nigdy nie nagrywano, gdyż taka całonocna rejestracja kosztowałaby zbyt drogo! „Telemat” nie mógł więc wyjaśnić kwestii: zbrodnia czy samobójstwo? – Pozostawała tylko szczegółowa analiza tego, co ustalono (lub nie ustalono) 18 października i w ciągu dni następnych.

Dreszczowiec z siódmego piętra rozpoczyna się o godzinie 7.41, gdy funkcjonariusze więzienni Willi Stapf i Gerhard Stoll, niosący śniadanie dla Jana Carla Raspego, otwierają drzwi jego celi. Więzień siedział na swojej pryczy oparty o ścianę, krew płynęła mu z ust, uszu i nosa. Obok jego prawej ręki leżał pistolet marki „Heckler und Koch”, kalibru 9 mm. Żył jeszcze. Karetka pogotowia odwiozła go natychmiast do szpitala, gdzie zmarł nie odzyskawszy przytomności o godzinie 9.40. Przyczyną śmierci był strzał w prawą stronę głowy, powyżej ucha. Inspektor więzienny Erich Goetz chwycił pistolet przez czystą ścierkę i obejrzał uważnie; nie było na nim śladów krwi, wystrzelono z niego tylko jeden nabój.

Eksperci BKA orzekli jednomyślnie, że jest to „klasyczny przypadek samobójstwa”. Świadczyć o tym miały zarówno położenie ciała denata oraz pistoletu, jak i charakter śmiertelnej rany postrzałowej. Był też i motyw: Raspe, skazany na dożywotnie więzienie, dowiaduje się z radia o odbiciu zakładników w Mogadiszu i podejmuje desperacką decyzję. Wszystko wiąże się w logiczną całość, wszystko się zgadza tym bardziej że – jak twierdził jeden z więziennych lekarzy – Raspe od dłuższego czasu był w „wyraźnie depresyjnym nastroju”.

Jakkolwiek z całej czwórki więźniów tego korytarza Jan Carl Raspe najłatwiej mógł być uznany za samobójcę, i w jego przypadku ujawniło się wiele niejasności. Przede wszystkim, dlaczego na pistolecie, tak pieczołowicie zabezpieczonym przez inspektora, nie znaleziono śladów krwi, podczas gdy prawa ręka Raspego była pokrwawiona? Nie wytrzymała próby także teza BKA, że morderstwo nie wchodzi tu w rachubę, bo gdyby ktoś strzelał do więźnia, musiałby stać z jego prawej strony, a tam, pomiędzy pryczą i ścianą, nie miałby dla siebie miejsca. Tymczasem zdjęcia celi ukazywały dostateczną przestrzeń za pryczą, czego najlepszym dowodem był fakt, że mieścił się tam dość duży adapter Raspego. Funkcjonariusze twierdzili dalej, że w przypadku pozorowania samobójstwa, z reguły wkłada się pistolet w rękę ofiary, podczas gdy tutaj pistolet leżał obok ręki. Rzecz ta nie została udowodniona, gdyż inspektor Götz nie mógł sobie przypomnieć, czy pistolet wyjął z ręki denata, czy też podniósł go z pryczy.

Motyw również dla wszystkich nie był jasny. Jan Carl Raspe został skazany na dożywocie w 1977 roku, ale wyrok nie był prawomocny i więzień mógł liczyć na jego złagodzenie. Gdyby nawet na to nie liczył, zawsze istniała nadzieja, że jego kolegom-terrorystom pozostającym na wolności uda się jakiś kolejny szantaż i „wymiana” dojdzie do skutku. Pozostawała wreszcie szansa na ucieczkę. Ten trzydziestotrzyletni socjolog z wykształcenia miał, jak już wspomnieliśmy, nieprzeciętne talenty techniczne, co pomaga czasem wydostać się z więzienia. W przeciwieństwie do porywczego Baadera, Raspe był więźniem spokojnym, dużo czytał, nie okazywał zdenerwowania i – wbrew opinii jednego tylko lekarza – nie miał skłonności do depresji.

Absolutne przekonanie policji kryminalnej, że było to „klasyczne samobójstwo”, wynikało z innych przyczyn. Funkcjonariusze BKA pamiętali bowiem dobrze dzień 9 maja 1976 roku, kiedy to tutaj, w celi na tym samym „korytarzu terrorystów”, znaleźli powieszoną Ulrikę Meinhof, czołową przywódczynię RAF. Jakkolwiek istniały wówczas różne wątpliwości i domysły, powszechnie jednak uznano, że była to śmierć samobójcza. Terroryści – mówiło się odtąd – są znacznie bardziej skłonni do samobójstw niż inni więźniowie, jest to bowiem dla nich jeszcze jedna forma protestu i prowokacji wobec władz. Pogląd taki utrzymywał się aż do „nocy Mogadiszu”. Nadradca kryminalny Günter Textor powiedział prasie, że podczas całego śledztwa nie brał pod uwagę możliwości, iż przywódcy RAF mogli zostać zamordowani. „Kiedy 18 października, krótko po ósmej, przybyłem na siódme piętro, już na pierwszy rzut oka było dla mnie jasne, że popełniono samobójstwo”.

Jeszcze więcej podejrzeń wzbudziły okoliczności śmierci 34--letniego Andreasa Baadera. Znaleziono go martwego w celi, zabitego strzałem... w potylicę. Co do tego nikt nie miał wątpliwości – był to typowy „genickschuss", ulubiony niegdyś przez hitlerowców sposób uśmiercania więźniów i jeńców. Gdy dowiedział się o tym ówczesny minister spraw wewnętrznych Werner Maihofer, oświadczył wzburzony: „Można posunąć się w perfidii tak daleko, że z samobójstwa robi się pozór egzekucji". Dla BKA było oczywiste, że i w tym przypadku nastąpiła śmierć samobójcza. „Żaden z obiektywnych faktów, jakie ustaliliśmy tego ranka – wspominał później nadradca Textor – nie wskazywał, by czyn ten mógł popełnić ktoś drugi. Nie prowadziliśmy śledztwa w tym kierunku, również od prokuratury nie otrzymaliśmy żadnych wytycznych, które wykraczałyby poza wersję samobójstwa".

Jak Baader tego dokonał? Bardzo prosto: odwrócił pistolet kolbą do góry, lewą ręką przyłożył go do potylicy, prawą pociągnął za spust...

Tu jednak pewnych siebie funkcjonariuszy śledczych spotkało kilka niespodzianek. Po pierwsze, grupa ekspertów orzekła jednomyślnie, że strzał został oddany nie z broni przyłożonej do głowy, ale z odległości około 40 cm i ktoś, kto umiałby uśmiercić się sam z takiego dystansu, „musiałby być akrobatą". Po drugie, z dokumentów dotyczących Baadera wynikało niezbicie, że był on leworęczny i dlatego upadała wersja o strzale ręką prawą. Po trzecie wreszcie, podczas dokładnych oględzin celi Baadera odkryto w ścianie trzy pociski wystrzelone z tego samego pistoletu. Czyżby więc Baader był na tyle wyrafinowany, aby wystrzelić w kierunku ściany dwa naboje, a dopiero trzecim się zabić? Uznano to za możliwe: w ten sposób chciał uwiarygodnić egzekucję.

Nie lada sensację wywołało spostrzeżenie wiedeńskiego lekarza sądowego, profesora Wilhelma Holczabka, którego komisja śledcza w Stammheim zaprosiła do współudziału w oględzinach zwłok. Bystry profesor zwrócił uwagę urzędników i adwokatów na buty Baadera, do których przylgnęła gruba warstwa jasnego, drobnoziarnistego piasku, takiego, jaki pokrywa pustynie.

Przede wszystkim – skąd buty? Zmarły miał rzeczywiście na nogach nowe, sznurowane buty na krepie, co było o tyle zastanawiające, że więźniowie siódmego piętra chodzili w sandałach lub pantoflach gimnastycznych, a jeszcze chętniej w skarpetkach albo boso, mieli bowiem dosyć zdejmowania butów podczas stałych kontroli, kiedy to poszukiwano w nich grypsów i innych zakazanych przedmiotów. W prasie zagranicznej, zdaje się amerykańskiej, pojawiła się hipoteza, że Baader został dostarczony samolotem do Mogadiszu w celu upozorowania wymiany na zakładników samolotu „Lufthansy". Stamtąd pochodził piasek, tam też Baader został zastrzelony, a jego ciało przywieziono z powrotem do Stammheim.

Teoria barwna, lecz raczej mało prawdopodobna: lot ze Stuttgartu do Mogadiszu i z powrotem trwa co najmniej 17 godzin, a tymczasem Baader łykał swoje tabletki jeszcze o godzinie 23.10 w dniu poprzedzającym jego śmierć. Tak czy inaczej, sprawa butów nie została nigdy wyjaśniona, wiadomo tylko, że tego rodzaju piasku nie było ani na „korytarzu terrorystów", ani na tarasie, gdzie odbywali oni swoje spacery.

Sprzeczne też są wersje dotyczące zachowania Baadera w ostatnich dniach przed śmiercią. Komisarz policji kryminalnej Albert Klaus twierdzi, że Baader, w rozmowie, jaką odbył z nim 8 października, groził „nieodwracalnymi decyzjami więźniów w ciągu najbliższych godzin lub dni". Sam zaś Baader w liście do sądu krajowego w Stuttgarcie napisanym 10 października oświadcza, że „żaden z więźniów siódmego piętra nie nosi się z zamiarem samobójstwa". Jeszcze wcześniej zwierzył się adwokatowi Klausowi Croissantowi: „W razie gdybym w więzieniu z żyjącego zmienił się w zmarłego, będzie to morderstwo – niezależnie od tego, co te świnie stwierdzą".

Andreas Baader, którego nazwisko stało się symbolem krwawego terroryzmu, był obok Ulriki Meinhof „historycznym przywódcą" Frakcji Czerwonej Armii. Stąd i policyjny slogan: banda Baader-Meinhof. Spośród czołówki RAF on jeden chyba pochodził z niezamożnej rodziny i nie miał wyższego wykształcenia. Jego ojciec, doktor filozofii, zginął na froncie wschodnim, chłopaka

wychowywały matka i babka. Uczył się marnie, był karany za bójki z policjantami i inne awantury. Studiowanie jego dzieciństwa w niczym nie przyczyniło się do wyjaśnienia zagadki śmierci podczas „krwawej nocy w Stammheim".

– Typowy przypadek samobójstwa przez powieszenie się – powiedział profesor Hans Peter Hartmann po zlustrowaniu celi Gudrun Ensslin. – Przybył właśnie ze Szwajcarii na zaproszenie komisji śledczej, która na wniosek kanclerza Schmidta miała zaangażować do udziału w obdukcjach lekarzy zagranicznych, stojących poza podejrzeniami o jakąkolwiek zmowę z władzami RFN.

Więźniarka wisiała na górnej części krat otwartego okna celi. Wokół jej szyi zaciśnięta była podwójna pętla z kabla pokrytego plastykiem. Tuż przy zwłokach stało krzesło odsunięte nieco w bok od nóg denatki. Profesor Hartmann ani policja kryminalna nie odkryli na ciele Ensslin żadnych śladów przemocy, oprócz kilku zadrapań i siniaków, które mogły powstać w wyniku szamotania się umierającej. Zresztą medycyna sądowa zna niewiele przypadków morderstwa zakończonego powieszeniem ofiary dla upozorowania samobójstwa. W takim przypadku ciało musiałoby nosić wyraźne mikroślady obrony bądź też można by było wykryć w nim resztki jakiejś trucizny, zakładając, że denatka przed powieszeniem została przez mordercę odurzona. Kabel, jak stwierdzono, odcięła Ensslin od swojego adaptera.

Zatem „typowy przypadek samobójstwa". A jednak... I tu niebawem zaczęły gromadzić się wątpliwości. Według ekspertów, samobójczyni odcięła kabel nożycami, podczas gdy nożyc w celi nie było. Lekarze sądowi zmuszeni byli przyznać, że osobę ważącą 49 kg (tyle ważyła Gudrun Ensslin) można podnieść w górę i powiesić, nie zostawiając na jej ciele żadnych śladów. I wreszcie sprawa najbardziej drastyczna i kontrowersyjna: w protokołach śledztwa nie zaznaczono, że na chwilę przed zdjęciem wiszących zwłok kabel się urwał i runęły one na podłogę. Jakże to? Kabel, który wytrzymał ciężar skaczącej z krzesła kobiety, który wytrzymał również rzucanie się umierającej Ensslin na wszystkie strony, teraz, gdy obciążenie było najmniejsze, po prostu pękł? Siostra

Gudrun Ensslin, Christiane, która nigdy nie wierzyła w samobójstwo, powiedziała reporterom:

– Kabel był tylko na tyle mocny, żeby utrzymać osobę nieprzytomną albo już nieżyjącą...

Rodzina zmarłej wniosła niemało zamieszania. Ojciec jej, pastor ewangelicki, udzielił kilku wywiadów prasowych, stwierdzając stanowczo, że Gudrun nie mogła popełnić samobójstwa; nie była „typem samobójczym". Co więcej – rozmawiając z nim kiedyś – potępiła czyn samobójczy Ulriki Meinhof. W wywiadzie dla prasy włoskiej pastor powiedział wprost, że jego córka została zamordowana. Następnie wysłał list do rządu Badenii-Wirtembergii, protestując przeciwko metodom traktowania więźniów politycznych w Stammheim: „Obawiamy się o życie naszych krewnych w więzieniach. Protestujemy przeciwko tej państwowej woli niszczenia".

Protesty pastora Ensslina sprawiły tylko, iż sam stał się osobnikiem podejrzanym o sprzyjanie terrorystom. Kościół ewangelicki Badenii-Wirtembergii przestrzegł go surowo, że jeśli nie udowodni swoich oskarżeń, będzie musiał zrezygnować z godności kapłańskiej.

Najwięcej jednak kłopotów przysporzyła władzom Irmgard Möller, jedyna, która przeżyła „noc Mogadiszu". Według wersji oficjalnej, zadała sobie cztery ciosy nożem w pierś, przy czym czwarty cios dotarł prawie do serca. Lekarze sądowi dziwili się, że wybrała taki właśnie sposób samobójstwa, w ich praktyce nie znany; kobiety nigdy nie wbijają sobie ostrych narzędzi w pierś. A poza tym, jaką trzeba mieć siłę, aby zadać sobie rany o 7-cm głębokości!

Trudno było także o interpretację motywu tego czynu. Trzydziestoletnia Irmgard Möller skazana była zaledwie na 5 lat więzienia za udział w zamachu na bazę amerykańską w Heidelbergu, przeto akcja w Mogadiszu nie musiała spowodować u niej aż tak krańcowej depresji. Na dożywocie skazano ją dopiero później, w roku 1979.

Möller złożyła zeznania w charakterze świadka przed komisją dochodzeniową parlamentu krajowego Badenii-Wirtembergii.

O „nocy śmierci” w Stammheim opowiedziała to samo, co mówiła po raz pierwszy swojemu adwokatowi jeszcze w szpitalu, po domniemanej próbie samobójstwa. Owej nocy, a raczej już o świcie, leżąc na swojej pryczy usłyszała dwa stłumione wystrzały i jakieś skrzypienie podłogi na korytarzu. Nie przyszło jej nawet do głowy, że ktoś mógł strzelać do więźniów, „ponieważ zawsze baliśmy się, że nas otrują czymś dodanym do więziennego jedzenia”. Uniosła tylko głowę, ale nie wstała i znowu zasnęła, „Ostatnie, co pamiętam, to silny szum w głowie, uczucie szumu, nie wiem, co to było”. Rano ocknęła się z głębokiego omdlenia – leżała na noszach pokryta krwią, żadnych ran sobie nie zadawała... Według niej upozorowano próbę samobójstwa „metodą CIA” – najpierw odurzając ją gazem, a później zadając ciosy nożem...

Opowieść Möller komisja uznała za niczym nie udokumentowaną, wręcz fantastyczną. Eksperci kryminalni nie potrafili jednak odpowiedzieć na pytanie, dlaczego więźniarka kłuła się dość tępym nożem więziennym, zamiast użyć do tego celu ostrych nożyc, które znaleziono w jej celi. Mimo to zapadło orzeczenie, że „była to próba samobójstwa, bez udziału innych osób”.

W lutym 1978 roku komisja śledcza Badenii-Wirtembergii zamknęła postępowanie dowodowe w sprawie „krwawej nocy w Stammheim”. Wielu spraw nie udało się wyjaśnić.

Na przykład, skąd w celach „najlepiej strzeżonego więzienia na świecie” znalazła się broń, a nawet pewne ilości materiałów wybuchowych, nie mówiąc już o kamerach filmowych i radioodbiornikach?

Komisja uznała, że przedmioty te adwokaci więźniów – Klaus Croissant, Arndt Müller i Arnim Newerla – przemycili w teczkach z aktami bądź w kieszeniach. Hipoteza ta wkrótce jednak upadła, gdyż przesłuchiwani przez tę samą komisję strażnicy więzienni ze Stammheim wykluczyli taką możliwość. Każdy wchodzący do więzienia adwokat był dokładnie rewidowany, sprawdzany detektorami do wykrywania metalu, a akta musiał składać na stole. Strażnikom nie wolno było czytać akt, mogli je natomiast przekartkować, co czynili. Poza tym, jak się okazało, ani Croissant, ani jego współpracownicy nie byli aż tak bardzo zaprzyjaźnieni z terrorystami, którzy wymyślali im czasem od „socjaldemokratycznych szczurów” i „burżuazyjnych świń”. Jeśli podejmowali się obrony terrorystów RAF, to głównie dla pieniędzy i dla rozgłosu.

Co więc było przyczyną śmierci Baadera, Ensslin i Raspego?

Według wersji oficjalnej, międzynarodowa komisja lekarzy sądowych po oględzinach zwłok doszła do zgodnego wniosku, iż było to samobójstwo. W rzeczywistości sprawa przedstawiała się inaczej. Istotnie, do udziału w obdukcjach zaproszeni zostali profesor Hans Peter Hartmann z Zurychu i profesor Armand André z Liège, ale byli oni tylko obserwatorami poczynań lekarzy niemieckich Mallacha i Rauschkego. W ich wypowiedziach nie było jednomyślności. Na pytanie dziennikarzy, czy mogło wchodzić w grę morderstwo, profesor Hartmann odpowiedział: – Można dopuścić i taką możliwość.

– Czy zbadano odciski palców na broni denatów?

– Nie, nie udało się niczego ustalić, ślady były zamazane albo krwią, albo oliwą, którą konserwowano broń. Nie był badany także kabel, na którym wisiała Gudrun Ensslin.

Olbrzymia większość zachodnioniemieckich komentatorów dramatu w Stammheim jest zdania, że śledztwo w tej sprawie było prowadzone nader nieudolnie, pośpiesznie, nie odpowiedziało na wiele pytań i stąd zrodziły się różnego rodzaju wątpliwości i podejrzenia. Taka interpretacja na pewno była i jest wygodna dla władz RFN. Ale ówczesny kanclerz Helmut Schmidt chciał czego innego. Przemawiając w Bundestagu w trzy dni po tym wydarzeniu, oświadczył, że „ze względów prawnych, a także z przyczyn politycznych, ze względu na opinię RFN w świecie rząd federalny oczekuje, iż wydarzenia w Stammheim zostaną całkowicie wyjaśnione, w sposób nie pozostawiający miejsca na niedomówienia”. Tak się nie stało. Niedomówienia istnieją do dziś.

Epilog „nocy Mogadiszu” nastąpił niebawem. 19 października 1977 roku w bagażniku zielonego audi znaleziono ciało Schleyera, zastrzelonego trzema kulami. Samochód stał porzucony w Miluzie, na terenie Francji. List RAF przesłany do redakcji

gazet zachodnioniemieckich i francuskich donosił, że jest to kara za „masakrę” w Mogadiszu i w Stammheim. RAF zapowiadała dalszą walkę i nowe akty zemsty. Ale na tle zagadki w Stammheim śmierć Schleyera nie wywołała już takiego wrażenia, jakiego spodziewali się zabójcy.

TRZECIA ŚMIERĆ „ANIOŁA ŚMIERCI”

W pierwszej połowie czerwca 1985 roku kilkunastu mężczyzn w białych fartuchach (pod niektórymi z nich kryły się mundury) oddawało się nader makabrycznemu zajęciu badania lub obserwowania badań szczątków człowieka, który umarł przed sześciu laty i został pochowany na cmentarzu w Embu, niedaleko potężnej aglomeracji brazylijskiej, São Paulo. Wzięto pod lupę aż 208 kawałków ekshumowanych kości owego osobnika, szczególną uwagę zwracając na czaszkę i uzębienie, te bowiem stanowią zawsze najpewniejszy dowód identyfikacyjny zmarłego. Byli to eksperci z USA, RFN i Brazylii, a także wysłannicy Izraela – wszyscy biegli w medycynie sądowej bądź w prawie międzynarodowym.

Według doniesień prasowych, zresztą nie zawsze ze sobą zgodnych, gremium to, działające pod przewodnictwem lokalnej policji w São Paulo, orzekło:

– Tak, to Josef Mengele... Można przyjąć ostatecznie i nieodwołalnie, że – zgodnie z informacją austriackiego małżeństwa Liselotte i Wolframa Bosertów – utonął on w 1979 roku na skutek udaru serca podczas kąpieli w rzece...

A więc finał czterdziestoletnich poszukiwań Josefa Mengelego, osławionego „Anioła Śmierci z Auschwitz” [Auschwitz, ponurej sławy były obóz koncentracyjny w pobliżu miasta Oświęcim], naczelnego lekarza SS w tym obozie, odpowiedzialnego za męczeńską śmierć kilkuset tysięcy ludzi, głównie Żydów i Cyganów?

Taką sugestię zawierał komunikat rzecznika policji w São Paulo, Romea Tuma, przyjęty na świecie z dużym niedowierzaniem, jako że ten najintensywniej poszukiwany ze wszystkich hitlerowskich zbrodniarzy „umierał” już kilkakrotnie. Prawda, pomyłka czy

mistyfikacja? – brzmiały pytania stawiane teraz na pierwszych stronach gazet.

Powojenne losy Josefa Mengelego od samego początku wiązały się z całą serią spraw zagadkowych, nie wyjaśnionych lub wyjaśnionych tylko częściowo, i to dopiero w latach osiemdziesiątych. Po raz pierwszy jego nazwisko pojawiło się podczas tak zwanego drugiego procesu oświęcimskiego, który toczył się w roku 1947 w Krakowie, ale – rzecz to ciekawa – wcale nie w oficjalnych dokumentach sądowych, nie w zeznaniach oskarżonych i świadków, lecz w rozmowach kuluarowych, jakie toczyli prywatnie byli więźniowie Auschwitz obojga płci, niejako na marginesie głównej materii procesowej.

Na ławie oskarżonych przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym zasiadało wtedy czterdziestu hitlerowskich członków załogi obozu w Oświęcimiu, a wśród nich dwóch lekarzy. Żaden z nich nie był jednak doktorem Mengelem. Osobowości tych dwóch, uderzająco kontrastowe, pasjonowały wtedy sprawozdawców prasowych i obserwatorów, a przede wszystkim uczestniczących w procesie prawników.

Johann Paul Kremer, najstarszy z oskarżonych (podówczas 67-letni), miał wygląd dobrodusznego profesora uczelni wyższej i takim też mógł być w istocie, nosił bowiem tytuł „podwójnego doktora" – filozofii i medycyny. O jego prawdziwym powołaniu przypominał już tylko mundur oficera SS, teraz pozbawiony dystynkcji, no i oczywiście akt oskarżenia, w którym stwierdzono, że jako lekarz obozowy 14 razy brał udział w masowym uśmiercaniu ludzi, pilnując, aby komory gazowe były otwierane we właściwym momencie, to znaczy, gdy stwierdzał, że wszystkie ofiary już nie żyją. Jak na „podwójnego doktora" była to funkcja co najmniej osobliwa. Udowodnienie mu udziału w tych zbrodniach nie było trudne, wydał go bowiem własny pamiętnik, w którym drobiazgowo notował wszystkie okoliczności gazowania, obok... menu, jakie w danym dniu egzekucyjnym serwowała esesmańska kantyna. Pamiętnik wpadł w ręce Anglików i przekazany został

do Polski. Kremer otrzymał karę śmierci i tylko z uwagi na podeszły wiek wyroku nie wykonano.

Antytezą Kremera okazał się doktor Hans Münch, lekarz bakteriolog. W przeciwieństwie do swojego starszego kolegi, „podwójnego doktora", został wcielony do SS przymusowo i skierowany do Auschwitz. Ale i tam esesmański lekarz obozowy nie musiał być drugiemu równy. W trakcie przewodu sądowego niezbicie wyszło na jaw, że Münch nie tylko nie działał na szkodę więźniów, ale odwrotnie – w miarę swoich możliwości zawsze im pomagał. Byli więźniowie, którym udało się przeżyć kacetowskie piekło, zapamiętali jego zmarzniętą postać podczas dni ewakuacji obozu, zimą 1945 roku. Stał przy drodze wypędzanych gdzieś na zachód konwojów i rozdawał „podludziom" leki i środki wzmacniające, nie bacząc na własne bezpieczeństwo czy też słowa moralnego potępienia kolegów, na ogół do końca wiernych Führerowi. Wyrok trybunału polskiego brzmiał: uniewinnienie. Hans Münch, jako jedyny z czterdziestu oskarżonych oprawców obozu w Auschwitz, nazajutrz po zakończeniu przewodu sądowego w Krakowie wolny pojechał do domu, do Niemiec. Wiózł ze sobą w rodzinne strony uzasadnienie wyroku polskiego trybunału, które na pewno przydało mu się w późniejszym życiu. Znajdował się tam fragment następujący: „Przypadek oskarżonego Müncha stanowi wymowny dowód tego, że Niemiec nie zarażony jadem hitleryzmu nie przestaje być normalnym, uczciwym człowiekiem, choćby nawet wtłoczyło się go przemocą w mundur SS-mana i wysłano na służbę do najgorszego spośród wszystkich obozów koncentracyjnych".

Rozważania o „czarnym" i „białym" niemieckim lekarzu z Oświęcimia przykuwały uwagę byłych więźniów, świadków i osób zaproszonych na rozprawę. Jednakże było to zainteresowanie ograniczone. Cyniczny Kremer – niefortunny przedstawiciel niemieckiej inteligencji w służbie hitleryzmu, czy Münch – prostolinijny lekarz średniego lotu, który nigdy nie wyzbył się zasad moralności i etyki prawdziwego medyka, były to postacie niewątpliwie zmuszające do refleksji. Ale rozważania na temat ich postaw usuwało w cień wspomnienie o doktorze Mengelem, naczelnym

lekarzu Auschwitz, którego nazwisko wywoływało niewypowiedziane wręcz emocje.

Obecne na procesie więźniarki Oświęcimia i Brzezinki, w tym znana później polska powieściopisarka Seweryna Szmaglewska, próbują dać charakterystykę Mengelego. Mimo iż reprezentowały różne narodowości i różne kondycje społeczne (na proces przybyło kilkanaścioro świadków z zagranicy), zgodnie stwierdzały, że Mengele to mężczyzna o wyjątkowo ujmującej aparycji. Była więźniarka niemiecka Ella Lingens tak napisała o nim później w swoich pamiętnikach:

„Mengele był bardzo przystojnym, dobrze ubranym trzydziestoletnim mężczyzną, z chłopięcą twarzą o ostrych rysach, posługującym się językiem właściwym niemieckim intelektualistom. Stał od rana do wieczora na rampie kolejowej, czasami pogwizdując sobie jakąś arię operową. Przyglądał się przybywającym więźniom i wskazując palcem, kierował ich w prawo lub w lewo. Tak wyselekcjonowani więźniowie szli albo do obozu, albo prosto do gazu."

Sceny takie zapamiętali oczywiście także świadkowie-mężczyźni. Jak się okazało później, złowieszczy elegant dokonał w Auschwitz aż 74 takich selekcji, osobiście posyłając na śmierć co najmniej 400 tysięcy ludzi, przez co stał się w obozie postacią tak znaną, jak mało który z jego kolegów zbrodniarzy. Być może, właśnie już wtedy, na skutek owego zespolenia cech: szlachetnego wyglądu i diabolicznej psychiki, zyskał sobie przydomek „Anioła Śmierci".

Selekcje na rampie były tylko jedną, najbardziej widoczną dziedziną jego działalności. Naczelny lekarz obozu, Hauptsturmführer SS Josef Mengele miał ponadto swoje hobby, o którym wiedziało już znacznie mniej więźniów. Znali je natomiast dobrze funkcyjni, zatrudnieni w obozowej kancelarii. Gdy zjawiał się tam Mengele i żądał danych personalnych więźniów z ostatnich transportów, wiedzieli, co doktor zrobi: odnotuje nazwiska i numery wszystkich bliźniaków. Przekazani będą oni później do jego szpitalnego laboratorium, gdzie staną się obiektem „naukowych badań".

To właśnie interesowało go najbardziej: wstrzykiwanie bliźniakom tych samych bakcyli i obserwowanie, jak na to reagują, jakie ujawniają się u nich podobieństwa i różnice w przebiegu choroby, a przede wszystkim, który z nich pierwszy umrze. Obserwował również ich reakcje psychiczne, nie bez kozery był przecież doktorem dwóch fakultetów – medycyny i filozofii... Ile osób uśmiercił w ten sposób, trudno ustalić, świadkowie pamiętają tylko, że ulubionymi obiektami tych wiwisekcji były dzieci – bliźniaki z baraków żydowskich i cygańskich.

Jeśli Josef Mengele nie stał się „bohaterem" żadnego z dwóch tak zwanych oświęcimskich procesów przed polskim Najwyższym Trybunałem Narodowym (sprawa Rudolfa Hössa, a później załogi Auschwitz), to przede wszystkim dlatego, iż wówczas jeszcze nie figurował na żadnej z list hitlerowskich zbrodniarzy, których alianci mieli przekazać do Polski. Co więcej – nawet go nie aresztowano. W chwili, gdy w Krakowie toczył się wspomniany proces czterdziestu zbrodniarzy (przypomnijmy: koniec roku 1947), oświęcimski „Anioł Śmierci" przebywał w Bawarii, w swoim rodzinnym Günzburgu, gdzie działając pod własnym nazwiskiem pomnażał majątek firmy „Karl Mengele i Synowie – Maszyny Rolnicze". Jak to było możliwe? Tak oto stajemy przed pierwszym punktem zagadkowych dziejów powojennych doktora Mengelego.

Szczegóły jego ucieczki przed wojskami radzieckimi zimą 1945 roku nie są prawie znane. Podobno – co wydaje się bardzo prawdopodobne – pomogła mu w tym jakaś jego przyjaciółka. Faktem jest, iż zniknął z Oświęcimia na tydzień przed wyzwoleniem obozu. Wyjechał w nieznanym kierunku, oczywiście już nie w mundurze kapitana SS, lecz w zwykłym cywilnym ubraniu, być może ucharakteryzowany, co później stało się jego specjalnością. W jednej z wersji tej ucieczki czytamy, że wmieszany w tłum niemieckich uchodźców ze strefy frontowej skierował się przez Czechosłowację wprost do Bawarii. Pod Norymbergą zatrzymała go podobno komórka amerykańskiego wywiadu: przedstawił się jako Fritz Hollmann, doktor medycyny, i został zwolniony. Nazwisko było fałszywe, tytuł zawodowy prawdziwy, a prostolinijny amerykański oficer śledczy zapewne nie miał pojęcia, co potrafił robić lekarz bezgranicznie oddany Hitlerowi. Tak czy inaczej,

latem 1945 roku Hollmann, czyli Mengele, jest już w Günzburgu i wita się z rodziną, a ściślej mówiąc z matką, żoną i braćmi, gdyż głowa rodu, ojciec Karl, za jakieś tam niewielkie przestępstwo, prawdopodobnie za współpracę firmy z hitlerowskim przemysłem zbrojeniowym, dostał się do alianckiego więzienia.

Co „stary" mógł zeznać Amerykanom?

Josef nie był widocznie pewny postawy ojca, bo zaszył się w okolicznych lasach, gdzie dożywiała go rodzina, a później, w dalszym ciągu pod nazwiskiem Hollmann, zaczął pracować jako robotnik rolny na pobliskiej farmie. Powodowany iście niemieckim realizmem i uczuciami rodzinnymi postanowił na wszelki wypadek (czytaj: aresztowanie) przekazać swoje udziały w firmie „Karl Mengele i Synowie" pozostałym akcjonariuszom, czyli swoim najbliższym. Gra była warta świeczki, gdyż firma – fabryka maszyn rolniczych i gisernia – mimo aresztowania Karla Mengelego, pracowała pełną parą i przynosiła pokaźne zyski.

Jak się jednak okazało, syn nie docenił ojca: uwięziony Karl Mengele nie wdawał się w szczegółowe wyjaśnienia, co syn Josef robił w partii NSDAP i później w SS, oświadczył krótko, że jego chłopiec zginął już dawno temu na froncie wschodnim. Amerykanie łatwo przełknęli to kłamstwo rozumując zapewne, że wśród 6 milionów Niemców poległych na różnych frontach tej wielkiej wojny mógł się przecież znajdować jakiś tam Josef Mengele, lekarz czy filozof. Tak oto Josef Mengele „umarł" po raz pierwszy za sprawą własnego ojca.

Kolejny etap historii doktora Mengelego otoczony jest mgłą niejasności. Faktem jest, że Karl Mengele wyszedł z więzienia, a Josef z ukrycia i pod własnym już nazwiskiem rozpoczął pracę menażerską w ojcowskiej firmie. Był zatem żywym Josefem Mengelem czy też nieżyjącym, kiedy przekazał firmie swoje udziały na wypadek śmierci? Mieszkańcy niewielkiego Günzburga twierdzą, że nie tylko żył, ale uważano go nawet za niemieckiego bohatera, który na dalekim froncie „pełnił swój żołnierski obowiązek" i któremu udało się przeżyć i wrócić do rodziny.

W małym miasteczku Günzburg wszyscy o wszystkich dużo wiedzieli, a skoro tak, to informacje o dotychczasowym przebiegu

życia Josefa Mengelego musiały w końcu dotrzeć do amerykańskiego kontrwywiadu, który znajdował zawsze dostatecznie dużo sposobów, by dowiedzieć się wszystkiego, co było mu potrzebne. Gdzieś w końcu roku 1946 lub na początku 1947 oświęcimski „Anioł Śmierci" – wciąż pod własnym nazwiskiem – został przez Amerykanów aresztowany i wkrótce potem zwolniony. Nie ma powodu wątpić, że tak było naprawdę, ponieważ latem 1985 roku specjalna komisja administracji waszyngtońskiej wszczęła śledztwo nad tym osobliwym epizodem.

Cisza wokół doktora Mengelego panuje aż do końca 1949 roku. Mieszka w Günzburgu bez kłopotów i niepokojów. Alianckie władze okupacyjne znają doskonale jego życiorys, a przynajmniej tę jego część, która dotyczy okresu przedwojennego. Urodzony 16 marca 1911 roku grzeczny ten chłopczyk uczy się dobrze, później tak samo pilnie studiuje filozofię na uniwersytecie w Monachium (specjalność: światopogląd Kanta), uzyskuje doktorat, wreszcie zalicza drugi fakultet – medycynę na uniwersytecie we Frankfurcie. Wkrótce po ukończeniu studiów wstępuje do hitlerowskiej NSDAP i ochotniczo zgłasza się do służby w Waffen-SS. I co dalej? Dokąd się udaje, co robi? W Günzburgu albo nikt o tym nie wiedział, albo niewiedzę udawał.

Nie wyjaśniono dotąd, kto pierwszy zidentyfikował tego syna porządnej kupieckiej rodziny jako oświęcimskiego „Anioła Śmierci". Musiało się to stać na początku lat pięćdziesiątych, bo wtedy właśnie rodzina Mengele dokonuje pewnej, wiele mówiącej transakcji handlowej: kupuje połowę udziałów Pardo Farm AG – przedsiębiorstwa budowy maszyn rolniczych w Argentynie. Fakt ten nikogo nie zdziwił; związki kapitału niemieckiego z Argentyną od dawna były bardzo ścisłe, ówczesny zaś rząd generała Perona nie taił swoich nie tylko proniemieckich, ale i prohitlerowskich sympatii. Dziś, z perspektywy czasu, posunięcie firmy „Karl Mengele i Synowie" można odczytać inaczej. Nie była to zwykła ekspansja kapitału, ale przygotowanie zaplecza finansowego dla coraz bardziej „kontrowersyjnego" Josefa, który niebawem miał się w Argentynie znaleźć. I znalazł się. W aktach Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie zachował się wniosek

o wydanie dokumentu podróży do Argentyny niejakiemu Helmutowi Gregorowi z Południowego Tyrolu. Zdjęcie Gregora, który otrzymał paszport i wizę argentyńską, nie pozostawia żadnych wątpliwości: był to Josef Mengele.

Czy jednak „Anioł Śmierci" wyfrunął do Argentyny dzięki Czerwonemu Krzyżowi? Mogło tak być, ale niekoniecznie. Sporo już dzisiaj wiadomo o machinie przerzutów hitlerowskich zbrodniarzy wojennych z Europy Zachodniej na inne kontynenty, a zwłaszcza do Ameryki Południowej, gdzie w pierwszych powojennych latach, we wszystkich niemal tamtejszych państwach usadowiły się mocno wojskowe reżimy typu faszystowskiego. A że mechanizmy przerzutów były misterne, zostawmy na chwilę samego „anioła Mengele", by powiedzieć słów kilka o tych, którzy mogli mu przyprawić skrzydła i ucieczkę sprokurować.

Wszystkie drogi hitlerowskich uciekinierów prowadziły przez Rzym. Dlaczego akurat przez Wieczne Miasto?

Szlakiem uciekających „szczurów" („rat line"), zwanym później także „drogą klasztorów", zainteresował się już w 1947 roku Vincent La Vista, z zawodu adwokat pochodzący z Nowego Jorku, ówczesny rezydent amerykańskiego kontrwywiadu w Rzymie. W obszernym tajnym raporcie dla swoich mocodawców z „Protective Services" – amerykańskiego Departamentu Stanu – agent La Vista opisał, w jakich okolicznościach wpadł na trop „szczurzego śladu" i dokąd go on zaprowadził. Przypadkiem do jego rąk dostał się list następującej treści: „Szanowny Panie Papieżu! Wyjechałem do Włoch po to, aby móc stąd udać się do Ameryki, aresztowano mnie jednak w Ankonie... Proszę Waszą Wielebność o ofiarowanie mi butów".

Autorem listu był hitlerowiec Gottfried R., internowany na wyspie Lipari, gdzie niegdyś Mussolini osadzał swoich przeciwników politycznych i gdzie po zakończeniu wojny utworzono „Ośrodek Zborny Obcokrajowców" – swego rodzaju więzienie dla podejrzanych cudzoziemców najróżniejszego pochodzenia, ludzi bez dokumentów, typków o ciemnej przeszłości. Papież Pius XII list przyjął, oczywiście nań nie odpisał, przesłał go jednak pod właściwym adresem: na ręce biskupa austriackiego Aloisa Hudala, rektora „Collegio Teutonico di Santa Maria dell'Anima" w Rzymie. Biskup Hudal zaś – jak się wkrótce przekonał La Vista – zaopatrzył niefortunnego Gottfrieda R. nie tylko w buty, ale wydobył go z obozu internowanych i zaopatrzył w odpowiednie dokumenty podróży oraz bilet okrętowy do Ameryki Południowej. Przyjrzawszy się bliżej działalności Hudala, amerykański agent mógł wkrótce zameldować: „Watykan jest największą organizacją uwikłaną w nielegalny ruch emigrantów".

Była to obserwacja trafna. Kolegium „Anima" miało wprawdzie swoją siedzibę poza starymi murami Watykanu, nie oznaczało to jednak, że „niemiecki papież" („il papa tedesco"), jak nazywali Piusa XII włoscy antyfaszyści, nie wiedział, czym się zajmuje biskup Hudal i jego najbliżsi współpracownicy, księża austriackiego lub niemieckiego pochodzenia.

Sam Hudal pisał o tym z rozbrajającą szczerością w pamiętnikach opublikowanych już po jego śmierci: „Całą swoją charytatywną pracę poświęciłem w pierwszym rzędzie dawnym członkom narodowego socjalizmu i faszyzmu, a w szczególności tak zwanym zbrodniarzom wojennym i niemało ich wyrwałem z rąk prześladowców, dzięki ich ucieczce do szczęśliwych krajów z fałszywymi dokumentami". Dalej Hudal chwali się w pamiętnikach, że osobiście podpisał około tysiąca tak zwanych dokumentów podróży (zastępujących dowody osobiste), doręczonych następnie hitlerowskim zbrodniarzom wojennym. Wystarczyło, że delikwent powiedział Hudalowi szczerze, kim był w Gestapo lub SS i jak się naprawdę nazywa, a następnie wyraził życzenie występowania pod takim czy innym fałszywym nazwiskiem, by otrzymał odpowiedni dokument. Oni sami zresztą opisywali tę procedurę szeroko, gdy tylko wpadli w ręce sprawiedliwości.

Franz Stangl, komendant obozu zagłady w Treblince, opowiadał dziennikarzom w swojej celi więziennej w Düsseldorfie: – Uciekłem 30 maja 1948 roku z więzienia śledczego w Linzu. Potem dowiedziałem się, że biskup Hudal przy Watykanie pomaga katolickim oficerom SS i dlatego pojechałem do Rzymu.

Trzeba było spełnić jeden tylko warunek; zbrodniarz musiał

być katolikiem lub za takowego się podać i wtedy wszystko było w porządku. Stangl otrzymał „paszport” od Hudala, podobnie jak Adolf Eichmann, jak Klaus Barbie, jak poszukiwany za zbrodnie wojenne Gruppenführer generał SS doktor Karl von Wächter i wielu innych mających na sumieniu tysiące ludzkich istnień.

Następny etap załatwiania klienta to wizowanie paszportu. Tym także zajmował się biskup Hudal. Był on postacią dobrze znaną w kołach dyplomatycznych Rzymu. Przybył tu w 1923 roku, obejmując funkcję rektora wspomnianego kolegium „Anima”, grupującego przede wszystkim księży Niemców. W dziesięć lat później „zdalnie” zakochał się w Hitlerze. Nie zraził go zabór ojczystej Austrii – przeciwnie, w 1937 roku przesłał Führerowi książkę, którą właśnie był napisał: „Podstawy narodowego socjalizmu”. Własnoręczna dedykacja biskupa zawierała życzenia wszelkiej pomyślności dla „Wodza Wielkości Niemieckiej”.

Czy tak gorącemu wyznawcy nazizmu nie mieliby ufać przedstawiciele faszyzujących rządów większych i mniejszych państw Ameryki Łacińskiej? Wyjątkowo przyjacielskie kontakty miał Hudal z konsulatem argentyńskim w Rzymie. Wystarczyła jego poręka, że petenci, którzy zgłaszają się po wizy: „nie należą do elementów o orientacji lewicowej, nie są Żydami ani szpiegami alianckimi”, by paszport wizowano natychmiast. Dalsza marszruta zbrodniarzy prowadziła do Genui lub do Barcelony, skąd odpływali do Buenos Aires. Wyjeżdżających Hudal żegnał słowami:

– Jedźcie do waszej nowej ojczyzny walczyć o lepszy świat i przyszłość biednego narodu niemieckiego...

Równolegle z „brunatnym biskupem” Hudalem działał w Rzymie niejaki doktor Willi Nix, rodem z Westfalii. Była to postać niezwykła, o nader pokrętnym życiorysie politycznym. Wspomniany agent amerykański La Vista napisał w jednym ze swoich raportów: „Nix jest kluczową postacią nielegalnego ruchu Niemców nazistowskich we Włoszech i przez Włochy”. Dodał jeszcze, że tajemniczy doktor uniknął aresztowania, ponieważ bez śladu zniknął gdzieś w Watykanie.

Ta ostatnia uwaga nie była zgodna z prawdą. Jeszcze w 1984 roku widywano Nixa, 78-letniego podówczas starca, jak w rzymskich kafejkach udzielał wywiadów prasowych, niewątpliwie w celu wybielenia swojej powojennej przeszłości i podkreślenia własnej przedwojennej martyrologii. Faktem jest, że Willi Nix, młody westfalski lekarz, w 1935 roku musiał widocznie ostro krytykować hitlerowców, bo aresztowali go i wysłali do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen, gdzie przesiedział dwa lata. Po zwolnieniu – gdyż i takie przypadki zdarzały się, kiedy więzień „wykazywał poprawę poprzez uzdrawiającą moralnie pracę” – wyemigrował do Włoch.

W Rzymie przypadkowo trafił na funkcjonariusza policji o poglądach antyfaszystowskich, doktora De Fiore. Ten nie tylko nie nakazał inwigilacji Nixa, ale przeciwnie, pozwolił mu poruszać się swobodnie i pracować w zawodzie lekarza. Uzdrowiony moralnie eks-więzień hitleryzmu widocznie nie ufał zbytnio swoim dobrodziejom, którzy zwolnili go z kacetu, gdyż po upadku faszyzmu w 1943 roku, kiedy Niemcy zajęli Rzym, ukrył się w jednym z klasztorów niedaleko placu Św. Piotra, a więc już na terytorium watykańskim, eksterytorialnym.

Po wyzwoleniu Rzymu, w czerwcu 1944 roku, Nix wyszedł z ukrycia i wtedy dopiero zaczął zachowywać się osobliwie. Skrzyknął kolonię niemiecką w stolicy Włoch, liczącą wówczas około 1800 osób (w tym wielu zdecydowanych prohitlerowców), i dzięki jej pomocy zorganizował „Niemieckie Stowarzyszenie Antynazistowskie”. Zakupił piękne biuro, położone w samym sercu miasta, na tak dobrze znanym turystom placu Hiszpańskim. Przekształciło się ono niebawem w coś w rodzaju nieoficjalnego niemieckiego „konsulatu”, świadczącego pomoc materialną wałęsającym się po Italii Niemcom, jak głosiła deklaracja programowa stowarzyszenia: „wszystkim Niemcom, k a ż d e j [wyróżnienie – M.A.] tendencji politycznej”. I co jeszcze ważniejsze, owi „Niemcy każdej tendencji”, oprócz żywności, ubrań i pieniędzy, otrzymywali także od Nixa zastępcze dowody osobiste na dowolnie podawane nazwisko oraz „dokumenty podróży” podobne do tych, jakie wystawiał biskup Hudal.

Kontrolujący Rzym wojskowi amerykańscy ponoć zrazu Nixowi nie ufali: były to przecież czasy, gdy obawiali się jeszcze dywer-

syjnych działań byłych hitlerowców, a tych w Stowarzyszeniu Antynazistowskim znalazło się niemało, o czym wiedziała nie tylko agentura La Visty. Sprytny doktor Nix zdołał jednak wmówić Amerykanom, że to właśnie on nadzoruje „kolonię niemiecką" w taki sposób, aby nie mogła ona szkodzić interesom USA. Postarał się jeszcze o referencje wysoko postawionych osobistości; poręczył za niego – o dziwo – francuski kardynał Kurii Watykańskiej Tisserand, znany z sympatii do generała de Gaulle'a, a także lider włoskich chrześcijańskich demokratów, późniejszy premier De Gasperi.

Przy takim poparciu Nix mógł działać swobodnie. Do końca swojej kariery przemytnika ludzi – co nastąpiło w 1947 roku – wyekspediował z Europy blisko sześć tysięcy Niemców. Ilu nazistów, a wśród nich poszukiwanych listami gończymi zbrodniarzy uratowało to Antynazistowskie Stowarzyszenie, wie tylko sam doktor Nix. Po raz pierwszy dostał się pod ostrzał podejrzeń w lipcu 1946 roku, kiedy to ułatwił ucieczkę z obozu internowanych w Rimini czterdziestu oficerom SS, wśród których znajdował się poszukiwany przez aliantów zbrodniarz Walter Rauff.

Wykrycie tej afery było niewątpliwie przykrym zaskoczeniem dla „specjalnego agenta" amerykańskiego kontrwywiadu CIC (Counter Intelligence Corps), nazwiskiem Mc Leary. W przeciwieństwie do La Visty był on zachwycony Nixem, raportując mocodawcom w Waszyngtonie: „Od 1 lipca 1944 roku doktor Nix współpracował znakomicie z alianckimi służbami wywiadowczymi w celu nadzorowania Niemców-nazistów na obszarze Rzymu...". Przysłowiową kropką nad „i" stała się rzekoma kradzież z biura stowarzyszenia dowodów osobistych in blanco, które później znaleziono u schwytanych zbrodniarzy wojennych. W grudniu 1947 roku doktor Nix został wreszcie aresztowany i jako osoba niepożądana osadzony w obozie internowanych we Fraschette.

Do końca nie przyznawał się do niczego. Z braku bezpośrednich dowodów winy, minister spraw wewnętrznych Scelba podpisał jego zwolnienie. Z dużą dozą sprytu i energii parował później drażliwe pytania dziennikarzy, ale że był z natury gadatliwy, zdarzało się, iż czasem powiedział trochę za dużo.

Na pytanie, czy wystawiał dowody osobiste uciekającym hitlerowcom, odpowiedział:

– Tak. Sami Amerykanie przysyłali mi zwolnionych z obozów Niemców, aby im wydać dowody. Dowód otrzymywał tylko ten, kto w jakiś sposób mógł się wylegitymować lub został przysłany przez godne zaufania osoby.

– Czy osoby te przysyłał również „brunatny biskup" Hudal?

– Przysyłał mi różnych ludzi, także takich, którzy nie byli tymi, za jakich się podawali. Jednakże ja wiedziałem, kim był Hudal i byłem ostrożny.

Jak wytłumaczyć, że wielu zdemaskowanych i schwytanych SS-manów legitymowało się dowodami Niemieckiego Stowarzyszenia Antynazistowskiego?

– SS-mani zdobyli formularze dowodów in blanco i sfałszowali mój podpis...

Trzecią instytucją, dzięki której wymykali się z Europy hitlerowscy zbrodniarze wojenni, był Międzynarodowy Czerwony Krzyż, a ściślej mówiąc – jego sekcja pomocy dla internowanych i uciekinierów, na której czele stał austriacki książę Johannes von Schwarzenberg. To on właśnie wymyślił bezcenny dla nazistów „dokument podróży", wystawiany „wszystkim osobom, które wojna w taki lub inny sposób zmusiła do opuszczenia własnego kraju". Osoby te podawały dowolne dane personalne, bez jakiegokolwiek poręczenia tożsamości, no i – oczywiście zmyślone – powody wyjazdu z Europy. Takich „dokumentów podróży" wydał von Schwarzenberg około 25 000, co w końcu zaniepokoiło nawet amerykański wywiad, zresztą nie w związku z międzynarodową akcją ścigania hitlerowskich przestępców. Obawy CIC i innych komórek kontrwywiadowczych wynikały z modnej podówczas teorii o planowanym przez komunistów przerzucaniu swoich agentów do Ameryki Południowej, a stamtąd do USA. Jeśli Josef Mengele, zaopatrzony w taki właśnie „dokument podróży", był rzeczywiście przez pewien czas na muszce amerykańskiego kontrwywiadu, to właśnie z tego, a nie z innego względu.

Zaopatrzone w genewskie dokumenty Czerwonego Krzyża „szczury Trzeciej Rzeszy" udawały się natychmiast do Rzymu.

Dlaczego nie do jakiegoś portu we Francji, Belgii czy Holandii? Rzecz w tym, że władze policyjne w tych krajach nie uznawały owych „dokumentów podróży". Inaczej było we Włoszech: tu policja uważała je za legalne, skoro tylko znalazł się na nich stempel Papieskiej Komisji Pomocy („Pontifica Commissione Assistenza"). A stempli komisja nie żałowała; żeby uprościć formalności wszystkim chętnym do wyjazdu za ocean, otworzyła nawet swoją filię w mieście portowym Genui...

Dziś nie ma już najmniejszych wątpliwości, że działalność biskupa Hudala, Nixa czy von Schwarzenberga byłaby nie do pomyślenia, gdyby nie patronował tym ludziom najwyższy autorytet Watykanu, „niemiecki papież" Pius XII. Jeśli po wojnie „il papa tedesco" zbierał jeszcze na audiencjach publicznych hołdy podekscytowanych tłumów, to zapewne dlatego, że pielgrzymi ci przybywali w większości z Ameryki Łacińskiej, z Azji, z Kanady – z krajów odległych od Europy, w których o nazistowskich zbrodniach niewiele wtedy wiedziano.

Eugenio Pacelli, były nuncjusz papieski w Bawarii, a później w hitleryzującym się Berlinie, za czasów swojego pontyfikatu (1939–1958) nigdy ani jednym słowem nie potępił brunatnych zbrodniarzy, choć rzesze prześladowanych katolików oświadczeń takich oczekiwały. Milczenie w tym względzie wynagradzał sobie przy każdej sposobności atakami na komunistów.

W 1950 roku Pius XII zwolnił wreszcie Hudala z funkcji rektora kolegium „Anima". Stało się to jednak dopiero po głośnym skandalu, jaki spowodował „brunatny biskup". Wyszło bowiem na jaw, że od lat osobiście opiekował się zamelinowanym w Rzymie generałem SS Karlem von Wächterem, poszukiwanym za zbrodnie popełnione w Austrii (udział w zamordowaniu kanclerza Dollfussa) i w Polsce, gdzie był gubernatorem „Okręgu Galicja". Frakcja papieska w Watykanie usiłowała Hudala usprawiedliwiać, ale przeważył głos monsignora Giovanniego Battisty Montiniego, późniejszego Pawła VI: „Nie należy bronić nazistowskiego biskupa!".

Gdy Josef Mengele przybył do Argentyny z fałszywym paszportem w kieszeni, były to jeszcze dobre dla nazistów, peronowskie

czasy. Dyktator Peron (pierwsza prezydentura w latach 1946–1955) po klęsce Hitlera wyciszył wprawdzie swój entuzjazm dla brunatnej ideologii, ale nieoficjalnie nadal roztaczał opiekuńcze skrzydła nad niemieckimi przybyszami. Miał w tym zresztą własny interes: jego plan rozwoju Argentyny wymagał współudziału ludzi o wysokich kwalifikacjach, a tych wśród uciekinierów z byłej Trzeciej Rzeszy nie brakowało. Byli więc przyjmowani chętnie i zasilali argentyński przemysł, gospodarkę hodowlaną, służbę zdrowia; stworzono im nawet możliwości działania w policji i armii. Dla przykładu: reżim Perona zaangażował do argentyńskiego przemysłu lotniczego głośnych w swoim czasie „asów Luftwaffe" – Rudla, Gallanda i Baumbacha oraz czołowego konstruktora samolotów Kurta Tanka.

Podobnie przyjazny stosunek okazywali peroniści wobec przedstawicieli wolnych zawodów, mógł zatem Mengele otworzyć w Buenos Aires gabinet lekarski i przyjmować pacjentów pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Przez ładnych kilka lat uprawiał spokojnie praktykę chirurga przy Calle Virrey Ortiz nr 970 i dopiero na początku 1960 roku gabinet ten zlikwidował i otworzył inny, już pod nazwiskiem Fritza Fischera.

Co go do tego skłoniło, czyżby wiadomość o listach gończych rozesłanych za nim już wtedy w Europie? A może fakt, iż po upadku Perona postacie byłych nazistów znalazły się w kręgu zainteresowań przeciwników politycznych dyktatora, którzy w 1955 roku przejęli władzę?

Jak się wydaje, przyczyna przejścia Mengelego do tej „konspiracji" była jeszcze inna: musiał widocznie zorientować się, że na jego trop wpadła izraelska ekipa wywiadowcza Isera Harela – tego samego, który niebawem miał porwać i przewieźć do Tel-Awiwu byłego szefa antyżydowskiego wydziału Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Adolfa Eichmanna. Szczególną zaś ostrożność Mengele zmuszony był zachowywać po dramatycznych wydarzeniach, jakie nastąpiły w miejscowości uzdrowiskowej San Carlos de Bariloche wiosną 1960 roku.

San Carlos de Bariloche odgrywa w Argentynie podobną rolę jak w Polsce Zakopane: przyjeżdża się tu na narty i na górskie

wspinaczki, z tym że sezon narciarski trwa przez okrągły rok. Położone w Kordylierach Patagońskich u stóp gór wysokich ponad 3 tysiące metrów miasteczko, malowniczo otoczone wodami jeziora Nahuel Huapi, szczególnie ulubili sobie imigranci niemieccy. W latach dwudziestych wykupywali tam grunty, budowali hotele i pensjonaty w bawarskim stylu, tak że San Carlos przypomina dziś do złudzenia, na przykład, Berchtesgaden. Na promenadach częściej słyszy się mowę niemiecką aniżeli hiszpańską, nic dziwnego więc, że przybysze z Niemiec czują się tu jak u siebie w domu i każdy, kogo stać na to, obowiązkowo niemal spędza tu urlop. Buenos Aires dzieli od San Carlos ładny kawałek drogi, bo miejscowość ta leży niedaleko granicy z Chile, jednakże lekarz Fritz Fischer rozporządzał najwidoczniej odpowiednimi dochodami, ponieważ przyjeżdżał na narty czasem dwa i trzy razy w roku.

W lutym 1960 roku nie poprzestał na nartach i samotnych wycieczkach w góry. Na hotelowym dancingu poznał piękną jasnowłosą kobietę i odtąd już prawie się z nią nie rozstawał. Przesiadywali razem godzinami w kawiarniach i barach, chodzili we dwójkę na wycieczki pod szczyt Cerro Catedral. Świadkowie tego romansu twierdzili, że wyglądało to na wzajemną miłość od pierwszego wejrzenia. Sprawiali wrażenie pary żywcem wyjętej ze scenariusza sentymentalnego filmu.

12 lutego rano zakochani, trzymając się za ręce, wyruszyli w góry. Około południa Fischer zdyszany i wzburzony przybiegł do miasteczka... sam. Krzyczał, że stało się coś strasznego: jego towarzyszka pośliznęła się, straciła równowagę i wpadła w szczelinę lodowca. Z całą pewnością nie żyje. „Fischer – jak zeznał później właściciel hotelu – robił wrażenie człowieka całkowicie załamanego. Zaprowadziliśmy go do pokoju i pilnowaliśmy dobrze, ponieważ była obawa, że z rozpaczy może sobie coś zrobić...”.

Fritz Fischer nie popełnił jednak samobójstwa. Po prostu wyjechał. Wyjechał w pośpiechu, nie czekając nawet na wydobycie z przepaści zwłok ukochanej kobiety. Ci, którzy wciąż jeszcze

wierzyli w jego miłość, byli przekonani, że uciekł, aby oszczędzić sobie bólu na widok zniekształconego trupa.

Tymczasem przyczyna ucieczki była zgoła inna, a ujawniły ją obdukcja lekarska oraz energicznie poprowadzone policyjne śledztwo. Wezwany do rutynowych oględzin zwłok lekarz stwierdził, że zmarła ma na lewym przedramieniu wytatuowany numer, którego do tej pory nikt nie zauważył, gdyż zawsze nosiła sukienki i bluzki z długimi rękawami. Doktor nigdy przedtem nie widział takiego numeru, nie miał pojęcia, co on oznacza, wezwał więc policję.

Policjanci wykazali się większą wiedzą w tej materii niż lekarz i stosunkowo szybko ustalili, że był to numer tatuowany w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, ściślej – w Auschwitz. W trakcie przeszukiwania rzeczy zmarłej znaleziono jej paszport. Okazało się, że nazwisko jej brzmiało Nora Aldot i była obywatelką Izraela, zatrudnioną ostatnio w izraelskiej misji handlowej w Kolonii.

Sprawę podejrzanego wypadku w górach przejął teraz sędzia śledczy z Buenos Aires, Jorge Luque. Od początku powziął on podejrzenia, że Nora Aldot była agentką izraelskiego wywiadu i kogoś śledziła. Tylko kogo? Czy przypadkiem nie owego Fritza Fischera, który zniknął bez śladu wkrótce po tym dramatycznym wydarzeniu? I dalej: był to wypadek czy zbrodnia? Wymiana informacji z policją izraelską i zachodnioniemiecką doprowadziła sędziego Luque’a do rewelacyjnych odkryć. Nora Aldot nazywała się w 1944 roku Nouritt Eddat i pod tym nazwiskiem więziona była w obozie zagłady Oświęcim-Brzezinka, gdzie naczelny lekarz kacetu Josef Mengele dokonał na niej zabiegu przymusowej sterylizacji. Rysopis SS-Hauptsturmführera Mengelego, który należało nieco tylko zmodyfikować, biorąc pod uwagę upływ czasu, nie pozostawiał wątpliwości: Fritz Fischer to osławiony oświęcimski „Anioł Śmierci”.

Dochodzenie w sprawie tajemniczej śmierci Nouritt Eddat po kilku miesiącach zostało umorzone, głównie dlatego, że rzekomy Fritz Fischer, pięćdziesięcioletni niemiecki lekarz o siwiejących skroniach, wytwornych manierach i charakterystycznym melodyjnym głosie, był nadal nieuchwytny. Zresztą – napisał później

jeden z zachodnioniemieckich publicystów: „argentyński wymiar sprawiedliwości wykazał niewiele zainteresowania ostatecznym wyświetleniem tej sprawy”. W aktach śledztwa pozostał tylko zapis następującej hipotezy: Nouritt Eddat w ostatnich dniach swojego „romansu” wiedziała już, z kim ma do czynienia, Fischer-Mengele zaś w bliżej nie znanych okolicznościach dostrzegł ów oświęcimski numer na jej ręku i zorientował się, że ona „wie”. Uznał, że nie pozostało mu nic innego, jak dokonanie mordu: podstępnie wywabił Eddat w góry i zepchnął do przepaści. Sędzia Jorge Luque był stuprocentowo przekonany, że Josef Mengele dopuścił się w Argentynie kolejnej zbrodni. Nie był tylko pewien, czy była to jego jedyna zbrodnia dokonana po wojnie. Wobec groźby zdemaskowania mógł czynić to częściej.

Podczas gdy w biurach argentyńskich sędziów śledczych romantyczna historia rzekomego Fischera przekształcała się w opowieść kryminalną, Josef Mengele przebywał nadal w Buenos Aires, spacerował spokojnie ulicami tego kosmopolitycznego, czteromilionowego wtedy giganta, gdzie wyłowienie przestępcy nie jest sprawą prostą. Nazywał się teraz doktor Helmut Gregor-Gregori i miał już w kieszeni dokument stwierdzający, że jest obywatelem Paragwaju. Uzyskał ten papier dzięki poręczeniu majora armii paragwajskiej, barona Aleksandra von Ecksteina, oficera pochodzenia niemieckiego, oraz niejakiego Wernera Junga, oficjalnie kupca, a w swoim czasie przewodniczącego ekspozytury NSDAP w Paragwaju.

Należy przypuszczać, że o postępach śledztwa w sprawie wypadku w San Carlos de Bariloche Mengele nie wiedział, prasa bowiem o tym milczała. Nie wiedział także, iż wywiad izraelski od dłuższego czasu depcze mu po piętach. Dopiero znacznie później miał się dowiedzieć, że uniknął wielkiego niebezpieczeństwa w Buenos Aires dzięki... Adolfowi Eichmannowi odpowiedzialnemu, podobnie jak on sam, za masowe zbrodnie dokonane na Żydach, tyle tylko że innymi metodami.

Był to z pewnością największy paradoks w powojennej historii hitlerowskich ludobójców, że jednemu zbrodniarzowi udaje się ocalić głowę tylko dlatego, że drugi, podobnego pokroju, swoją głowę traci.

23 maja 1960 roku, a więc w trzy miesiące po tragicznej śmierci Nouritt Eddat, w Izraelu ogłoszono, że został ujęty i stanie przed sądem izraelskim Adolf Eichmann, odpowiedzialny za śmierć milionów Żydów. Gdzie i jak aresztowano Eichmanna? Mengele był tą kwestią żywo zainteresowany, ponieważ istniało sporo zbieżności w ich sytuacji: obaj byli poszukiwani przez aliancki wymiar sprawiedliwości za zbrodnie podobnego rodzaju, obaj wreszcie mieszkali w Buenos Aires, gdzie dotąd żyło im się nie najgorzej, w każdym bądź razie bez kłopotów prawnych i finansowych. Trzeba było przeto dowiedzieć się jak najwięcej, w jakich okolicznościach Eichmann wpadł w ręce komanda izraelskiego wywiadu i znalazł się w Izraelu, gdzie miał odpowiedzieć za swoje postępki przed miejscowym sądem. Prasa skąpo jeszcze na ten temat pisała, jednakże co nieco było już wiadomo.

O tym, że wywiad izraelski wpadł na trop Eichmanna, zadecydował... przypadek (a może nie przypadek). Simon Wiesenthal, austriacki Żyd, pięć lat wojny przesiedział w obozie koncentracyjnym Mauthausen. O Eichmannie nigdy wtedy nie słyszał, była to bowiem postać zakonspirowana nawet w górnych hitlerowskich kręgach władzy, podobnie jak w ostatnich miesiącach egzystencji Hitlera jego prawa ręka – Martin Bormann. Dowiedział się o nim dopiero po wojnie, kiedy przystąpił do współpracy z Biurem do Spraw Zbrodni Wojennych utworzonym przy armii amerykańskiej. Tam, w zeznaniach świadków, nazwisko Eichmanna powtarzało się ciągle, gdyż to właśnie Eichmann był głównym teoretykiem i sztabowym wykonawcą rozkazów Hitlera i Himmlera dotyczących „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”.

Powróciwszy do Austrii, do rodzinnego Linzu, Wiesenthal poświęcił osiem lat tropieniu Eichmanna instynktownie przeświadczony, że zbrodniarz ten żyje i gdzieś – prawdopodobnie w Ameryce Południowej – się ukrywa. Zdemaskowanie i pochwycenie Eichmanna, głównego sprawcy eksterminacji fizycznej około 6 milionów europejskich Żydów, stało się czymś w rodzaju hobby Wiesenthala, czasem nieco lekceważonym przez światową organizację ruchu syjonistycznego – Agencję Żydowską – a później przez władze nowo utworzonego państwa Izrael. W wykryciu

Eichmanna pomogło mu inne jego hobby – filatelistyka. Zbieracz znaczków pocztowych Simon Wiesenthal na jednej z aukcji filatelistycznych w Innsbrucku zetknął się z pewnym austriackim baronem, również kolekcjonerem. Baron zaprosił Wiesenthala do swojego zamku w Tyrolu, w celu zaprezentowania własnej kolekcji znaczków, ale pewnego dnia rozmowa zeszła na temat zgoła inny – zagłady Żydów w Europie. Padło wówczas nazwisko: Eichmann.

– Coś panu pokażę – powiedział baron – pewnie to pana zainteresuje.

I z czeluści bibliotecznego regału wyciągnął list, jaki otrzymał niedawno od przyjaciela, argentyńskiego oficera pochodzenia niemieckiego, lecz bynajmniej nie hitlerowca. Argentyńsko-niemiecki przyjaciel pisał między innymi: „Wśród znajomych, jakich tutaj spotkałem, jest były zastępca Fritscha, major B. z pułku berlińskiego, i jeszcze jeden facet, którego widziałem już dwa razy... Jest to nikt inny, tylko ta nikczemna świnia Eichmann, który deportował Żydów. Mieszka niedaleko Buenos Aires i pracuje w przedsiębiorstwie wodociągowym".

Był to początek końca Eichmanna. Po drobiazgowych dochodzeniach, nie wolnych od fałszywych tropów (szczegółów nie trzeba tu przytaczać, są raczej znane), Wiesenthal uzyskał wreszcie od swoich przyjaciół ważną informację: zamieszkała do niedawna w Niemczech Zachodnich Vera Eichmann, rzekoma wdowa po Adolfie, wyjechała do Buenos Aires i tam ponownie wyszła za mąż za osobnika nazwiskiem Klements, zatrudnionego... w przedsiębiorstwie wodociągowym pracującym dla aglomeracji Buenos Aires. Rząd izraelski skierował do tego miasta komando wywiadu pod wodzą Isera Harela. Pewnego dnia wracający z pracy „Klements" został porwany, uśpiony narkotykami i potajemnie przewieziony do Jerozolimy na pokładzie samolotu „Bristol Britania".

Mengele miał więc sporo do myślenia. On także zostawił w Niemczech Zachodnich rodzinę, która była na tyle nieostrożna (jak on sam zresztą), że kontaktowała się z nim listownie, a nawet przez specjalnych wysłanników.

Brawurowe porwanie Eichmanna, godne podziwu z punktu widzenia sprawności jednostek specjalnych wywiadu Izraela, wywołało istną burzę w świecie polityki i dyplomacji. Rząd Argentyny zaprotestował ostro przeciwko naruszeniu jej suwerenności przez ludzi wykonujących polecenia władz Izraela. Ówczesny premier izraelski Dawid Ben Gurion w liście do prezydenta Frondiziego tłumaczył się gęsto wskazując, że był to przypadek zupełnie wyjątkowy, tak jak wyjątkowym zbrodniarzem był Eichmann, kat europejskich Żydów. Na wniosek Argentyny, oskarżającej Izrael o pogwałcenie prawa międzynarodowego i żądającej zadośćuczynienia, zebrała się w trybie pilnym Rada Bezpieczeństwa ONZ. Na forum tym przedstawicielka Izraela Golda Meir raz jeszcze wyraziła ubolewanie i nadzieję, że ten „odosobniony przypadek naruszenia praw Argentyny, z którą Izrael utrzymuje jak najbardziej przyjazne stosunki, więcej się nie powtórzy". W rezultacie Rada Bezpieczeństwa uchwaliła rezolucję potępiającą niezbyt energicznie Izrael. Rada stwierdziła również, że „podobne akty [porwania przestępców – M.A.] mogłyby – jeśli się powtórzą – stanowić zagrożenie dla pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego". Rada wreszcie zaleciła Izraelowi, aby zgodnie z Kartą Narodów Zjednoczonych i zasadami prawa międzynarodowego dał Argentynie odpowiednie zadośćuczynienie.

Zadośćuczynienie? Jakie? Czyżby Eichmann miał być z powrotem wydany Argentynie? Tego jednak Buenos Aires w sposób jednoznaczny nie zażądało. Do negocjacji przystąpili dwaj wybitni i dobrze się znający prawnicy: doktor Pardo radca prawny ministerstwa spraw zagranicznych Argentyny i jego izraelski odpowiednik – Shabtai Rosenne. Izrael miał wtedy istotnie bardzo dobre stosunki z Argentyną, sprawa zakończyła się więc polubownie. Ambasador Izraela w Buenos Aires jako persona non grata opuścił Argentynę i 3 sierpnia 1960 roku oba kraje uznały „incydent za zamknięty".

Komunikat o zakończeniu sprawy mocno zaniepokoił doktora Gregora-Gregori. Jeśli Eichmann nie zostanie zwrócony Argentynie, to cała gadanina o tym, że „incydent był wyjątkowy i niepowtarzalny" może się okazać zwykłym dyplomatycznym frazesem

i jutro lub pojutrze wywiad izraelski dobierze się jemu, Mengelemu, do skóry. Nie jest też wykluczone, że przy pierwszej sposobności zostanie on aresztowany i wydany prokuraturze Republiki Federalnej Niemiec, która właśnie oficjalnie o to wystąpiła. Ach, ci następcy Perona! W sierpniu 1960 roku Mengele alias Gregor-Gregori spakował walizki i wyjechał do Paragwaju. Jego paszport paragwajski nosił numer 193 348.

Gdyby Mengele znał dokładnie przebieg tajnych rokowań w sprawie Eichmanna, nie musiałby się tak bardzo z wyjazdem śpieszyć. W rozmowach Pardo–Rosenne nazwisko Mengelego padło niejednokrotnie, jednakże ostateczny rezultat tej wymiany zdań był dla niego pomyślny. Prokurator generalny Argentyny, choć nie peronista, odrzucił wniosek RFN o ekstradycję Mengelego twierdząc, że „rzekome zbrodnie" doktora, w wyniku zmiany układów politycznych w Europie, naświetlane są w Niemczech Zachodnich w specjalny sposób. Izrael również odstąpił (przynajmniej na razie) od planów „transportowania" Mengelego do Europy wzorem „operacji Eichmann". Premier Ben Gurion potraktował swoje zobowiązania wobec Argentyny poważnie i nakazał szefowi wywiadu Mossad, Harelowi, wycofanie z Buenos Aires komanda, które miało uprowadzić Mengelego z jego mieszkania w eleganckiej dzielnicy Los Olivos. Tak więc w ostatnim okresie pobytu w Argentynie Mengele był mniej niż kiedykolwiek zagrożony, i to pośrednio dzięki Eichmannowi, o czym ani jeden, ani drugi nie wiedział.

Paragwaj! Stuprocentowo bezpieczny azyl dla hitlerowskich zbrodniarzy! Upalnym powietrzem Asunción oddychali oni z ulgą, w poczuciu całkowitej swobody i bezkarności. Przybyło do Paragwaju co najmniej 20 tysięcy tych, których nazwiska znajdowały się na międzynarodowych listach przestępców. Obok nich korzystały – i korzystają – z paragwajskiej opieki rzesze niemieckich wypędków, pospolitych kryminalistów, aferzystów, defraudantów ściganych we własnym kraju listami gończymi. Spora to w sumie czereda jak na trzymilionową ludność tego państwa.

Dlaczego akurat tu – w Paragwaju – przestępcy niemieccy znajdowali tak szeroki i serdeczny azyl?

Złożyło się na to kilka przyczyn, z których pierwszą jest istnienie licznej i prężnej grupy imigracyjnej z Niemiec, a zwłaszcza z Bawarii. Jedna dziesiąta ludności tego kraju jest pochodzenia niemieckiego i zapuszczała tutaj korzenie od lat dwudziestych naszego stulecia. Spotyka się niemałe osady i miasteczka o nazwach niemieckich, jak Hohenau czy Neuland, inne o nazwach hiszpańskich, jak Villarica, gdzie jednak mówi się i – jak twierdzą niektórzy – myśli po niemiecku. Zwarte to grupy, nastawione nacjonalistycznie (w stosunku do Niemiec, a nie do Paragwaju). W latach kariery Hitlera widziały w nim męża opatrznościowego, który umacnia niemieckość w okupowanych krajach, podobnie jak oni, imigranci, w dalekim Paragwaju. Po klęsce brunatnego wodza napomykali czasem, że „i w czasach Hitlera działy się świństwa", ale ciche i niewyraźne były to słowa potępienia, nie takie jak wobec komunistów, których uważali za przyczynę wszelkiego zła na świecie. W zbrodnie hitleryzmu w zasadzie nie wierzyli i nie wierzą, nic więc dziwnego, że każdego byłego esesmana czy gestapowca witali jak bohatera narodowego, którego zły los wypędził z kraju i któremu należy się wszelka pomoc. Co robią ci imigranci? Są rolnikami, kupcami, właścicielami fabryczek, specjalistami w wątłym zresztą paragwajskim przemyśle.

Synem imigranta z Bawarii jest sam prezydent Paragwaju Alfredo Stroessner i jego przychylny stosunek do nazizmu i hitlerowskich uciekinierów z Europy miał i ma znaczenie decydujące, zarówno w sprawie doktora Mengelego, jak i podobnych mu zbrodniarzy, nieco tylko mniejszej kategorii. Stroessner, który uchwycił władzę w wyniku zorganizowanego przez siebie zamachu stanu, rządzi tym krajem nieprzerwanie od 1954 roku przy pomocy kliki wiernych mu wojskowych, wśród których uprzywilejowaną pozycję zajmują generałowie i oficerowie pochodzenia niemieckiego. O tym, jakimi metodami rządzi, nie ma potrzeby się rozwodzić: po tylu latach sprawowania władzy dał się poznać jako klasyczny dyktator pierwszej rangi, wobec którego późniejsi, tacy jak „Papa Doc", Idi Amin czy Somoza to – wedle określenia jego przeciw-

ników – „nieporadni nowicjusze". Wprowadzony przezeń stan wyjątkowy trwał permanentnie i pozwalał policji uśmiercać i torturować opozycjonistów w każdej chwili i w każdym miejscu oraz wypędzać ich z kraju do chwili, kiedy opozycja fizycznie przestała istnieć. Czy takie metody rządzenia mogły się nie podobać byłym gestapowcom, esesmanom i w ogóle wyznawcom hitleryzmu? Czuli w nim bratnią duszę, oni zaś wzbudzali w nim szczery podziw. Oto druga przyczyna ich znakomitego samopoczucia w tym kraju.

Reżim Stroessnera miał dla nich jeszcze jedną dodatkową zaletę: oparty był zawsze nie tylko na terrorze, lecz i na korupcji. Wiadomo od lat, że w Paragwaju za pieniądze można było kupić wszystko – od tytułu barona czy stopnia generała, po „licencję" na bezkarne uprawianie przemytu lub innego przestępczego procederu, nie mówiąc już o licencjach na najbardziej nawet rabunkową działalność gospodarczą. W 1985 roku zezwolenie na pobyt w Paragwaju otrzymywało się za 200 dolarów łapówki, obywatelstwo również za taką sumę, a paszport za 700; w pierwszych latach powojennych wyrażało się to mniejszymi liczbami, dolar stał bowiem wyżej.

Jeszcze jedną okolicznością sprzyjającą eks-hitlerowcom była łatwość otrzymania różnych posad i zajęć – również za sprawą Stroessnera. Uchodząc przed jego zbirami uciekło za granicę ponad milion Paragwajczyków, zatem dla ludzi z kwalifikacjami nie brakowało pracy na różnych szczeblach i w różnych instytucjach... z policją włącznie. A jakże znakomicie do tej policyjnej roboty się nadawali!

Znając paragwajskie uwarunkowania doktor Helmut Gregor-Gregori nie miał zamiaru kamuflować się dalej. Wkrótce po przybyciu do Asunción wrócił więc do prawdziwego nazwiska i tylko z kurtuazji chyba zmienił imię z Josefa na José. Jak w Buenos Aires, tak i tu otworzył gabinet lekarski, popularny wśród niemieckich pacjentów. Koniunktura nie trwała jednak zbyt długo, niecałe dwa lata. W 1962 roku ówczesny ambasador Niemiec Zachodnich w Paragwaju wystąpił do Stroessnera z wnioskiem o ekstradycję zbrodniarza. Wprawdzie wniosek został odrzucony („don José Mengele jest obywatelem paragwajskim bez kryminalnej przeszłości" – brzmiało oświadczenie Asunción), a Stroessner wpadł w paroksyzm wściekłości i wyprosił ambasadora ze swojego gabinetu, jednakże „Anioł Śmierci" wolał zakonspirować się, przynajmniej formalnie.

Wywiad izraelski, który nie przestał go tropić, ustalił kolejne jego adresy w Asunción: mieszkanie przy Avenida Mac Arthur, dom przy Avenida Republica Dominicana, pensjonat „Astra". Asunción jako aglomeracja jest nędznym miastem, ale posiada także dzielnice kapiące od luksusu, i w takich właśnie mieszkał zawsze Mengele. Sporządzono również listę pseudonimów, których używał podczas trzyletniego pobytu w Asunción i później. Nazywał się więc Walter Hasek, Karl Geuske, Doktor Henrique Wollmann, Fausto Rindon, José Aspiazi, Lars Ballestroem, Ernst Sebastian Alvez, Friedrich Edler von Breitenbach... Początkowo śledzenie go nie było nazbyt trudne, gdyż nosząc taki lub inny pseudonim nie taił, kim jest naprawdę. Dodawały mu otuchy napisy, które nieznane ręce kaligrafowały na ścianach ambasady RFN: „Żydzi precz od Mengelego – to rozkaz!".

Tymczasem w prokuraturach europejskich oraz Izraela rosły rejestry jego zbrodni. Świadkowie na procesie Eichmanna opowiadali o jego pomysłowości w typowaniu więźniów do komór gazowych, już nie tylko na rampie Auschwitz, gdzie załatwiał to krótko, wskazując ofiarę szpicrutą. Przed tak zwanym blokiem dziecięcym (Kinderblock) kazał zainstalować specjalny przyrząd do selekcji żydowskich chłopców. Były to wkopane w ziemię dwa pale z poprzeczką ustawioną na wysokości przeciętnego wzrostu 16-letniego chłopca; nieletni więźniowie przepędzani byli pod nią kolejno, kto o poprzeczkę zawadził głową, ten na razie ocalał, nadawał się bowiem do pracy, wszyscy mniejsi szli do gazu. Miał również doktor Mengele swoje zajęcia na oddziale dla niemowląt; tym wstrzykiwał do oczu różne barwniki celem zbadania, czy tą metodą można zmienić na stałe kolor tęczówki. Były to oczywiście dodatkowe zajęcia, prowadzone obok „normalnych"

badań genetycznych, w których wyniku więźniowie albo umierali, albo stawali się kalekami na całe życie...

Ponawiane energicznie wnioski o ekstradycję sprawiły, że Mengele opuścił Asunción i zaszył się gdzieś w interiorze, co Stroessner przyjął z pewnością z niejaką ulgą; mógł teraz mówić, że doktora w Paragwaju nie ma. Tymczasem doktor ciągle był w tym kraju. Szperacze z Mossad ustalili niebawem, że ukrywa się u swego przyjaciela Albana Kruga, mieszkańca niemieckiej osady Hohenau nad rzeką Alto Parana. O tym, że „don José" – bo tak się kazał nazywać – mógł się tam czuć bezpiecznie, niech świadczy fakt, iż niemal wszyscy młodzi mężczyźni w tej osadzie noszą na drugie imię Adolf, nadawane im na cześć Führera.

Wiosną 1964 roku wywiad izraelski był już bliski ujęcia Mengelego. Zdarzyło się to w miejscowości Capitan Miranda, gdzie spędzał weekend. Uzbrojone w pistolety komando wkroczyło w nocy do hotelu „Tirol del Paraguay", aby wyciągnąć go z łóżka. Niestety, apartament nr 26, w którym zamieszkał, okazał się pusty. Ktoś ostrzegł go na czas. Kto? Zapewne sam właściciel hotelu, były esesman z dywizji „Wiking", niejaki Armand Reynards.

Był to ostatni, stwierdzony ponad wszelką wątpliwość ślad pobytu Mengelego w Paragwaju. Przerażony zajściem w hotelu „Tirol", zbrodniarz zaszywa się gdzieś w buszu, prawdopodobnie w prowincji Gran Chaco, dzikiej i trudno dostępnej, położonej w trójkącie granicznym z Argentyną i Brazylią. Osadnicy niemieccy, ci najbardziej energiczni, uprawiają tam bawełnę i ścinają w dżungli cenne drzewa quebracho. Wybór Gran Chaco świadczy o desperacji doktora Mengelego, bo życie w tej prowincji – gdzie czyhają jaguary i anakondy, a rzeki roją się od krwiożerczych piranii – nie jest ani łatwe, ani przyjemne. Jedną z kryjówek Mengelego była podobno baza lotnicza Pratts Gill nad Rio Pilcomayo.

„Prześladowania" doktora Mengelego, który zmuszony został do ucieczki w tak niesprzyjające człowiekowi otoczenie, wywołały wzburzenie wśród społeczności pochodzenia niemieckiego. To właśnie tam, w Paragwaju, w bawarskich klubach i tawernach

narodziło się określenie „kłamstwo oświęcimskie". Obóz Auschwitz w ogóle nie istniał, a jeśli nawet istniał, to na pewno zorganizowano go wzorowo, aby reedukować w nim różnego rodzaju wywrotowców – powiadali niemieccy koloniści. A sześć milionów zamordowanych Żydów? Śmiechu warte! Przecież w całej Europie nie było nawet połowy tej liczby Żydów... Oburzenie intensyfikowało się w miarę, jak poza granicami Paragwaju rosła liczba instytucji i osób prywatnych podejmujących próby wyśledzenia Mengelego, za którego ujęcie wyznaczono wysoką nagrodę. Najwięcej gromów ze strony niemieckich imigrantów padało na Simona Wiesenthala, głośnego już „łowcę zbrodniarzy", szefa żydowskiego Centrum Dokumentacyjnego w Wiedniu.

I co ciekawe: właśnie wtedy, na początku lat siedemdziesiątych, zaczęła kształtować się legenda o wszechobecnym i absolutnie nieuchwytnym doktorze Mengelem. Stał się on kimś w rodzaju Zorro czy też hiszpańskiej „Czarnej Maski" będąc oczywiście pozbawionym całkowicie szlachetnych cech tych fikcyjnych postaci. Niektórzy publicyści twierdzili później, że to fascynacja złem, którego Mengele był wcieleniem, wzbogaciła jego legendę o mnóstwo fantastycznych szczegółów. Duński lekarz Bjorne Berbom twierdził, iż rozpoznał go jako osobistego lekarza prezydenta Stroessnera. Z rozlicznych i mało udokumentowanych doniesień wynikało, iż Mengele hodował pszczoły, pijał wyłącznie piwo „Bahama", pomagał Stroessnerowi w akcji eksterminacyjnej Indian, chorował na raka, rozporządzał czterema „gorylami" i mercedesem 280 SF, lubił grać w skata etc., etc. Widziano go w ponad 20 miejscach: w Argentynie, Paragwaju i innych krajach – USA, Szwajcarii, Kanadzie, Hiszpanii, Portugalii, Grecji i we Włoszech, dostrzeżony został wreszcie w rodzinnym Günzburgu, gdzie paradował w przebraniu zakonnika.

Do tej „demaskatorskiej" akcji włączyły się także stacje telewizyjne różnych krajów zachodnich, emitując wprawdzie nie ujęcia filmowe, ale sekwencje nieruchomych zdjęć robionych ponoć z ukrycia. Rekord pobił portugalski tygodnik kryminalistyczny „O Crime", który doniósł w marcu 1985 roku, iż w Lizbonie znaleziono zwłoki Mengelego, zastrzelonego prawdopodobnie podczas

porachunków między handlarzami narkotyków. Wówczas to Mengele „umarł" po raz drugi i uznano go za nieżyjącego, aż do czasu, gdy wyszło na jaw, że tygodnik „O Crime" świadomie popełnił mistyfikację, dobrze wiedząc, iż zabity przemytnik narkotyków, Meksykanin, przypadkowo nosił również nazwisko Mengele.

W powodzi publikacji o oświęcimskim „Aniele Śmierci" trafiały się jednak pozycje zastanawiające. Do takich należał wywiad z doktorem Mengelem przeprowadzony w roku 1983 przez specjalnego wysłannika włoskiego magazynu Ilustrowanego „Oggi". Reporter Hubert Lassier sfotografował się z jakimś mało rozpoznawalnym osobnikiem w kapeluszu o zaciemniającym twarz szerokim rondzie i ciemnych okularach i twierdził z całą pewnością, iż był to doktor Mengele. Rozmowa odbyła się nieopodal farmy w Gran Chaco, gdzie obaj panowie popijali sobie piwo. Oto co powiedział ów człowiek, rzekomy czy prawdziwy doktor Mengele.

„Auschwitz był luksusowym obozem, ze szpitalem, salą koncertową i domem publicznym. Komory gazowe? Nigdy o nich nie słyszałem. Nawet gdyby ktoś chciał coś takiego zorganizować, to przecież nie dysponowano odpowiednią ilością paliwa do niszczenia zwłok. Proszę zapytać w krematorium paryskim, ile ropy potrzeba, żeby spalić jedne tylko zwłoki. Ja w każdym bądź razie nie zabiłem ani jednego człowieka. Nie wysyłałem Żydów do komór gazowych, ponieważ takowe nie istniały, wybierałem tylko więźniów do pracy. Do swoich eksperymentów medycznych używałem wyłącznie ciężkich przestępców i tak skazanych na śmierć."

Tak brzmiało to w skrócie. Lassier załączył do wywiadu próbkę pisma swego rozmówcy. Zdradzało ono rzeczywiście duże podobieństwo z rękopisami doktora Mengelego, które znajdowały się w posiadaniu prokuratury we Frankfurcie nad Menem.

Co ciekawsze jednak w niektórych wypowiedziach ludzi związanych niegdyś z hitlerowskim aparatem zbrodni takie właśnie twierdzenia powtarzały się często. Ku powszechnemu zaskoczeniu zabrał w tej sprawie głos doktor Hans Münch, ten sam, którego sąd w Krakowie uniewinnił jako jedynego z czterdziestu

oskarżonych członków załogi Auschwitz. Oświadczył on, że jego szef, doktor Mengele „wykorzystywał do swoich eksperymentów wyłącznie więźniów, którzy i tak byli skazani na śmierć". Podobnie wypowiedziało się na piśmie kilku byłych więźniów, których „urobił" jeszcze w 1960 roku brat Josefa, Alois Mengele.

Nie ma przeto wątpliwości: albo rozmówca dziennikarza Lassiera był rzeczywiście doktorem Mengelem, albo też jego rzecznikiem, dobrze zorientowanym, jakich argumentów należy używać w dążeniu do rehabilitacji złowieszczego doktora. Nie jest wykluczone, że był to przybysz z Europy, niejaki Sedlmeier, prokurent firmy „Mengele i Synowie", którego w tym samym mniej więcej czasie wysłała do Paragwaju rodzina doktora w bliżej nie określonej misji. Tak czy inaczej, wydaje się niemal pewne, że na przestrzeni kilkunastu lat ktoś prowadził zorganizowaną obronę Mengelego na dwóch kontynentach równocześnie – w Europie i Ameryce Południowej. Kto?

Simon Wiesenthal wskazywał na rodzinę Mengelego w Günzburgu: to ona za pośrednictwem Sedlmeiera, a może i innych wspierała propagandowo i finansowo „nieszczęśliwego Josefa", gdyż propaganda „kłamstwa oświęcimskiego" trafiała na niezwykle podatny grunt wśród paragwajskich Niemców!

Czasem Wiesenthal mówił tajemniczo o opiece nad Mengelem jakiegoś „wielkiego nieznajomego". Co miał na myśli? Patronat pojedynczej wpływowej osoby? Grupy ludzi? Państwa? – nie wiadomo...

W końcu lat siedemdziesiątych wszelkie ślady Mengelego urywają się ostatecznie. Wprawdzie czasem ktoś go jeszcze widuje to u boku faszyzującego generała Hugona Banzera w Boliwii, to u boku zarządców więzienia dla więźniów politycznych Libertad w Urugwaju – w sumie jednak legenda o nieuchwytnym doktorze zamiera, jak gdyby nikt już nie miał interesu w jej kultywowaniu.

Wszystko to mogło prowadzić do przekonania, że informacja, jaką prokuratura we Frankfurcie nad Menem otrzymała od Liselotte i Wolframa Bossertów (jaką drogą – nie wiadomo), była prawdziwa. Mengele od dłuższego już czasu przebywający w Brazylii zatrzymał się u nich. 7 lutego 1979 roku udał się na

plażę Bertigoa, utonął i został pochowany pod nazwiskiem Wolfganga Gerharda. Brzmi to prawdopodobnie. 68-letni człowiek mógł przecież dostać w wodzie udaru serca i utonąć, zdarza się to i młodszym. Zastanawia jednak czas, w którym rewelacja Bossertów dotarła do Europy: lipiec 1985 roku.

Był to czas dla Mengelego wyjątkowo nieprzyjazny. W lutym 1985 roku zebrał się w Jerozolimie tak zwany Trybunał Mengelego i dokonano tam symbolicznego sądu nad zbrodniarzem. Zeznawali świadkowie, nie tylko zresztą byli więźniowie Auschwitz, także agenci wywiadu, osoby prywatne, wszyscy ci, którzy mieli z nim styczność w kacecie lub po wojnie. Wyrok, oczywiście, mógł być tylko jeden – kara śmierci.

Zapyta ktoś, dlaczego ten zaoczny proces odbywał się dopiero teraz, po czterdziestu latach bezskutecznego ścigania zbrodniarza. Wielu obserwatorów politycznych odpowiedziałoby natychmiast: Izrael zorganizował tę spektakularną imprezę – bo tak chyba Trybunał Mengelego można nazwać – aby odwrócić uwagę społeczną u siebie i gdzie indziej od własnych ciemnych sprawek w Libanie, od eksterminacji palestyńskich wysiedleńców w obozach Sabra i Szatila, gdzie nacjonaliści z libańskiej Falangi byli tylko wykonawcami.

Niezależnie od tego, czy takie były właśnie motywy działania izraelskich sędziów czy też może inne, Trybunał Mengelego raz jeszcze zwrócił uwagę publiczną na jego osobę i wszystkie związane z nią podteksty. „Anioł Śmierci” wrócił na łamy światowej prasy. Przypominano jego zbrodnie, ludzi, którzy go ścigali, i tych, którzy go chronili i wspomagali. Rozgorzała na nowo gorączka poszukiwań Mengelego, tym razem na realistycznym, jeśli nie powiedzieć – prozaicznym tle: chodziło o nagrody za głowę doktora. Na krótko przed sesją trybunału w Jerozolimie rząd krajowy Hesji podniósł wysokość nagrody za jego ujęcie z 50 tysięcy do miliona dolarów. Pewna anonimowa grupa Amerykanów zwiększyła tę sumę o kolejny milion. Jeszcze jeden milion dołożyła sekta Moon (nikt nie wie dlaczego, być może również w celu odwrócenia uwagi od własnych przestępstw?). W marcu amerykański senator Edward Kennedy zażądał od Kongresu

wyasygnowania na ten cel jeszcze jednego miliona dolarów. Dawało to okrągłą sumkę czterech milionów, nic też dziwnego, że ruszyły w teren najprzeróżniejsze ekipy poszukiwaczy. Zgłosił nawet swoją gotowość izraelski multimilioner Samuel Flatto Szaron – sam notabene podejrzany o przestępstwa, tyle że finansowe. Zapowiedział on, że „Anioła Śmierci” będzie szukał w Afryce Środkowej. Pojawiły się pogłoski, iż własną ekipę formuje tajemniczy „Komitet Dwunastu” – dwunastu byłych więźniów Auschwitz, dziś ludzi bogatych i wpływowych. Wytworzyła się wkrótce walka konkurencyjna. Londyńska firma „Saladin Security”, specjalizująca się w angażowaniu „goryli” do ochrony wybitnych osobistości, złożyła ofertę dostarczenia Mengelego już tylko za zaliczką 20 tysięcy funtów. Największą jednak sensację wywołała wiadomość, iż w poszukiwaniu weźmie udział wywiad amerykański, co zapewne wiązało się z poczynaniami Edwarda Kennedy'ego.

Amerykanie i Mengele – to rozdział sam w sobie.

Wywiad amerykański miał sporo okazji do aresztowania doktora Mengelego i postawienia go przed sądem. Po raz pierwszy – jak okazało się po latach – amerykańska żandarmeria ujęła go w Wiedniu, gdzie w 1947 roku kręcił się wokół jakichś interesów rodzinnej firmy w Günzburgu. Przekazano go do miejscowej placówki CIC, stąd jednak po przesłuchaniu został zwolniony. Zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel” twierdzi, iż stało się tak, „ponieważ potrzebny był Brytyjczykom jako agent”. W 1949 roku raz jeszcze był przesłuchiwany w Günzburgu przez augsburską placówkę CIC i znowu został zwolniony. Jeśli przyjąć nawet, że oficerowie amerykańskiego wywiadu dwukrotnie nie wiedzieli, jakiego ptaszka mają w ręku, to już przy trzecim kontakcie nie można było mieć najmniejszej wątpliwości. W roku 1960, zaraz po przybyciu do Asunción, Mengele pod własnym nazwiskiem zamieszkał u swego przyjaciela Wernera Junga, w mieszkaniu położonym o kilkadziesiąt metrów od ambasady amerykańskiej. Jest tajemnicą poliszynela, że każda ambasada w obcym kraju stara się dowiedzieć jak najwięcej o obiektach z nią sąsiadujących i o ludziach, którzy je zamieszkują. Czyżby więc w stosunku do Junga i Mengelego zastosowano inne kryteria?

I oto na początku 1985 roku amerykański minister sprawiedliwości William French Smith oznajmia, że jego departament włączy do poszukiwań Mengelego cały aparat FBI, CIA, wywiad wojskowy i brygady do walki z handlarzami narkotyków. No i wniosek Edwarda Kennedy'ego o uchwalenie miliona dolarów nagrody...

Gra była dość przejrzysta. W Stanach Zjednoczonych, jak wiadomo, po aktualnych wyborach następują od razu przygotowania do następnych. Odnotowując pojawienie się w Izraelu nowej fali poszukiwań „Anioła Śmierci" (sesja Trybunału Mengelego), trzeba było wyciągnąć z tego wnioski użyteczne dla własnych politycznych interesów. Wszem i wobec wiadomo, jak wielką rolę w układach politycznych USA odgrywa tak zwane żydowskie lobby. W Ameryce przebywa wielokrotnie więcej Żydów – i to na pozycjach znaczących – niż w Izraelu. Agent wywiadu czy kontrwywiadu zawsze postępuje w taki sam sposób: przesyła raporty o sprawach i ludziach, którymi interesują się ich szefowie, inne obserwacje przemilcza. Amerykańskie służby specjalne w ogóle się Mengelem nie interesowały, począwszy od roku 1985 przystąpiły do działania...

Czy nie za wiele waliło się na skołataną głowę doktora Mengelego, żyjącego w ukryciu od 40 lat? Z Amerykanami nie ma żartów. Trzeba więc było utonąć w brazylijskiej rzece, naprawdę lub symbolicznie.

Gdyby Mengele żył w momencie ogłoszenia komunikatu o jego śmierci, miałby 74 lata. Wielu ekspertów twierdzi, iż nawet gdyby go odnaleziono żywego, a nie jako topielca, identyfikacja jego osoby byłaby nader trudna. Upływ czasu, operacje plastyczne twarzy, zaginione czy też zniszczone przez kogoś odciski palców – oto elementy zapory, jaka wznosiłaby się przed ewentualnymi sędziami. Istnieje tylko jedno niekwestionowane jego powojenne zdjęcie, wykonane w roku 1950, wszystkie inne są wątpliwej autentyczności. Nigdy nie uchwyciła go kamera telewizyjna, raz tylko reporter brazylijskiej TV, Adolfi Cicero, widział go ponoć, jak w pobliżu Eldorado nad rzeką Parana schodził z pokładu jachtu o nazwie „Wiking" – i wycelował nań kamerę, jednak

słońce świeciło prosto w obiektyw i zdjęcie nie wyszło. Szkoda. Czasem sylwetka w ruchu bardziej może przydać się do identyfikacji aniżeli drobiazgowe opisy poszukiwanej persony...

Już po „trzeciej śmierci" doktora Mengelego, rzekomej czy też prawdziwej, ujawniona została jedna z tajemnic jego pokrętnego życiorysu. Przedmiotem powszechnej uwagi stały się wtedy nie tyle losy diabolicznego lekarza (bo wielu w tę śmierć uwierzyło), ile sama jego osobowość, rozpatrywana w aspekcie zawodowym i moralnym. W Niemieckiej Republice Federalnej opublikowano dokumenty, które pozwalają ze znacznie większą ścisłością naświetlić od dawna intrygujące kwestie: jaką rolę odgrywał Mengele w obozie Auschwitz? Na czym polegały zbrodnicze eksperymenty? Przeprowadzał je z własnej inicjatywy jako osobnik zwyrodniały czy też może z czyjegoś polecenia? Choć pisano już na ten temat i mówiono tak wiele, teraz dopiero wiadomo, że do tamtych ocen wkradło się sporo nieporozumień i niedokładności.

Wspomnienia więźniów zdają się sugerować, że Josef Mengele zajmował się głównie typowaniem więźniów zdolnych jeszcze do pracy (osławione jego „selekcje na rampie"), i tych zostawiał przy życiu, innych skazywał na śmierć. To rzeczywiście prawda, ale generalny cel tych selekcji był inny, różniący się od tych, jakie przeprowadzali tu i tam zwykli esesmani robiąc to skutecznie, mimo iż żaden nie był lekarzem obozowym w stosunkowo wysokiej randze kapitana SS. O cóż więc chodziło?

Historia ta, dobrze już dziś udokumentowana, rozpoczyna się w 1943 roku w Berlinie. Młody i dobrze zapowiadający się asystent profesora Otmara von Verschuera, dyrektora Instytutu Antropologii, Dziedziczności i Eugeniki imienia Cesarza Wilhelma otrzymuje „trudne, ale jakże ważne zadanie": ma się udać do obozu Auschwitz, który będzie mógł traktować jako wielkie laboratorium badań nad czystością rasy lub nad jej patologią. Wysłannikiem, któremu powierzono tę doniosłą misję, jest właśnie doktor filozofii i medycyny Josef Mengele.

Żyjący dziś jeszcze syn profesora Helmut von Verschuer twierdzi, że jego ojciec nie wiedział, jakimi metodami młody lekarz

będzie swoje badania prowadzić. Oświadczenie to nie jest zgodne z prawdą, o czym świadczy chociażby fakt, że Mengele otrzymuje od razu wysokie stanowisko głównego lekarza obozowego, z prawem uruchomienia wydzielonego laboratorium, do którego nikt oprócz niego nie ma prawa wstępu. Oficjalnie laboratorium nosi nazwę „Oddziału Szpitalnego Obozu Cyganów Auschwitz II". Jak to osobliwe laboratorium wyglądało, opisuje były więzień numer A 8450, węgierski patolog doktor Miklos Nyiszli, z którego Mengele uczynił swego pomocnika.

„Dwa pomieszczenia w południowo-zachodniej części obozu Auschwitz II (Birkenau) zostały przerobione na prawdziwy instytut patologii, który mógłby znajdować się w jakimkolwiek dużym mieście: wyposażone w stół sekcyjny z marmuru, mikroskopy, instrumenty laboratoryjne i bogatą bibliotekę fachową".

Doktor Nyiszli opowiada, kto i w jakich okolicznościach na ten stół sekcyjny trafiał. Oto przykład. Pewnego dnia Mengele stał na rampie i dokonywał selekcji, którą można było nazwać podwójną: najpierw kierował do gazu wszystkich chorych i słabych. Wśród pozostałych dostrzegł dwóch więźniów, którzy go zainteresowali – garbatego ojca i syna zbudowanego zupełnie normalnie. Co za wspaniały materiał do badań nad dziedzicznością! Mengele oddaje ich w ręce podoficera SS Ericha Muhsfelda (skazanego po wojnie na śmierć przez Trybunał Narodowy w Krakowie), a ten zabija obu strzałami w tył głowy. Doktor Nyiszli otrzymuje rozkaz spreparowania szkieletów, co też czyni. Oczyszczone szkielety zostają zapakowane do skrzyń i wysłane do Instytutu Antropologii imienia Cesarza Wilhelma w Berlinie-Dahlem z dopiskiem: „Ważne dla gospodarki wojennej – pilne".

Takich i temu podobnych przesyłek wędrowało mnóstwo – do Instytutu Antropologii w Berlinie, do innych placówek badawczych Trzeciej Rzeszy, jak choćby do „Niemieckiego Towarzystwa Naukowego" kierowanego przez profesora Ferdynanda Sauerbruchsa. „Auschwitz-laboratorium doktora Mengelego, wspomina węgierski lekarz, miało niewyczerpany materiał badawczy: bliźnięta, karły, olbrzymy, Cyganie i Żydzi, antropologiczny mikrokosmos... Mengele niezliczone godziny spędzał obok mnie, zgięty

nad mikroskopem, wśród probówek i szczepów zapełniających płytę jego stołu. Cierpliwie stał przy stole sekcyjnym w fartuchu pochlapanym krwią i badał, poszukiwał, jakby był opętany."

Historyk amerykański Robert Jay Liftfob, pracujący nad książką o lekarzach w Auschwitz, nie miał wątpliwości, że większość zbrodniczych eksperymentów (wstrzykiwanie wirusów i serum, uśmiercanie fenolem) przeprowadzał Mengele na zlecenie naukowców z Berlina, pracujących nad „genetyczno-biologicznym uzdrowieniem organizmu niemieckiego narodu". Jak to się stało, że nikt dotąd o tym nie mówił i tylko Mengele uznany został za zbrodniarza przeciw ludzkości? Był on – teraz jest to już udowodnione ponad wszelką wątpliwość – emisariuszem tamtych znanych i uznanych autorytetów skierowanym do najbrudniejszej roboty, której oni oficjalnie wykonywać nie chcieli.

Po wojnie milczeli ze względów zrozumiałych, ale też nikt jakoś nie próbował dobierać się im do skóry. Dopiero „trzecia śmierć" doktora Mengelego spowodowała, że przypomniano ich nazwiska. Oto one: profesorowie Heyde, Mauz, Nitsche, Panse, Pohlisch, Reisch, Schneider, Villinger, Zucker – psychiatrzy, którzy na rozkaz Himmlera sortowali swoich pacjentów i „małowartościowych" skazywali na śmierć przesyłając ich personalia do Gestapo i SS. Dalej, wspomniany Otmar von Verschuer i jego uczeni współpracownicy z Instytutu Antropologii: Heinrich Schade, niezłomny teoretyk „dziedziczności rasowej", Hans Joachim Rauch, specjalista od preparowania mózgów zamordowanych przez hitlerowców ludzi, Hans Grebe, drugi asystent w Instytucie Antropologii, przyjaciel Mengelego. I wreszcie profesor Wolfgang Abel, w swoim czasie kierownik wydziału w Instytucie imienia Cesarza Wilhelma, jedyny spośród tego barwnego grona naukowców-zbrodniarzy, który po wojnie zrezygnował dobrowolnie z kariery medycznej i zarabiał odtąd na życie malowaniem portretów.

Wielu z nich nie żyje. Na dobrą sprawę powinni być pochowani niedaleko od rzeczywistej czy też symbolicznej mogiły Josefa Mengelego na cmentarzu w Embu.

DESANT NA „PUSTYNI I”

26 kwietnia 1980 roku na ekranach telewizorów całego świata ukazały się szczątki helikopterów oraz żołnierze irańscy wciskający do plastykowych worków zwęglone zwłoki ośmiu amerykańskich komandosów. Reportaż był wstrząsający, opinia publiczna, zwłaszcza amerykańska, zaszokowana. Pod adresem autorów planu, który dyplomacja USA nazwała oficjalnie „akcją ratunkową”, a który poza tym nosił kryptonimy wojskowe „Delta” lub „Pustynia I”, posypały się liczne pytania i zarzuty podyktowane zresztą różnymi przyczynami i motywami. Czy rzeczywiście była to akcja ratunkowa w celu uwolnienia zakładników w Teheranie, czy coś więcej? Czy tragiczny finał na irańskiej pustyni nastąpił w wyniku niefortunnych defektów technicznych, działań wrogich żywiołów (burza piaskowa), czy też po prostu na skutek nieudolności dowództwa desantu? Rozzłoszczeni i rozgoryczeni sojusznicy Stanów Zjednoczonych w Europie pytali ponadto: dlaczego nas o tej akcji nie powiadomiono, dlaczego wprowadzono nas w błąd twierdząc, że żadne przedsięwzięcia militarne przeciwko Iranowi nie będą podejmowane co najmniej do końca maja 1980?

Waszyngtoński Biały Dom i Pentagon (ministerstwo obrony USA), gdzie urzędowali autorzy „akcji ratunkowej”, zrobiły to, co w tej sytuacji mogły zrobić najlepszego – milczały. Po zwięzłych słowach ubolewania wypowiedzianych przez prezydenta Cartera i kilku jego najbliższych współpracowników sprawa jak gdyby poszła w zapomnienie. Zresztą ujawnienie jej podłoża byłoby zbyt trudne i politycznie niewygodne, jako że był to jeden z epizodów szerszego dramatu, zwanego „rewolucją islamską” w Iranie, Osoby dramatu: szach Mohammed Reza Pahlawi, Ruhollah Chomeini i amerykański prezydent Jimmy Carter. W tym trójkącie już od kilku lat toczyła się gra, a zakładnicy w Teheranie i komandosi z „Pustyni I” stali się jej ofiarami.

Już za nowej islamskiej władzy, w końcu 1979 roku, przebywający w Teheranie dziennikarze zachodni zaproszeni zostali do pałacu Niawaran, głównej siedziby byłego szacha, gdzie odbywała się aukcja porzuconego przezeń majątku. Pod młotek licytacyjny szły kolejno: stosy bezcennych perskich dywanów, obrazy Marca Chagalla, siedemnastowieczny model okrętu chińskiego ze szczerego złota, dwa aparaty telefoniczne, również ze złota, dwupiętrowa biblioteka rzadkich dzieł, kolekcja fortepianów, wreszcie meble antyczne z różnych epok. Niebawem za mniejsze tylko dywany, uzyskano na aukcji 12 milionów dolarów. Takich pałaców miał Reza Pahlawi kilkanaście. Opuścił je w pośpiechu 16 stycznia 1979 roku, udając się wraz z rodziną „na wypoczynek”.

Szach był człowiekiem fantastycznie bogatym: to, co zostawił w Iranie, było tylko niewielką cząstką jego majątku. Oblicza się, że ulokował za granicą około 20 milardów dolarów, uzyskanych ze sprzedaży ropy naftowej. W ciągu 37 lat swego panowania ukształtował taki model władzy, w którym nie było rozgraniczenia między skarbem państwa a jego osobistym majątkiem. W tym względzie nie był zresztą oryginalny; podobne podejście do zysków istnieje w wielu krajach dyktatorskich. Tyle tylko że nie są one tak zasobne jak Iran. Te niewyobrażalne zasoby finansowe szacha miały niebawem ciężkim brzemieniem spaść na zakładników w Teheranie.

Jednym z ostatnich gości szacha w pałacu Niawaran był brytyjski pisarz i dziennikarz Andrew Duncan. Znał on Rezę Pahlawi już od kilku lat, podziwiał jego imperatorską godność (choć czasem go ona śmieszyła i określał ją jako sztywność), przyglądał się z zaciekawieniem umundurowanej służbie, która wszystkie polecenia wykonywała natychmiast i z dokładnością automatów. W listopadzie 1978 zastał jednak innego szacha. „Mniej było formalistyki – wspomina – nie podano herbaty. Szach był ubrany w dwurzędowy ciemny garnitur, co upodabniało go do przedsiębiorcy pogrzebowego. Wyglądał na zmęczonego, wychudzonego, w porównaniu do tego, jakim widziałem go przed rokiem”.

Nic dziwnego, dla szacha był to ciężki rok. Z dnia na dzień nasilały się wystąpienia i manifestacje przeciwko niemu. Oskarżenia były liczne, ciężkie i – co ważniejsze – słuszne. Despotyzm, niesprawiedliwość, obce wpływy – oto plagi, jakie muszą znosić Irańczycy pod panowaniem szacha. Reza Pahlawi nie potrafi gospodarować. Reforma rolna, którą przeprowadził, przyniosła korzyść jedynie mniejszości chłopów, wkrótce zresztą opanowanych przez wielkie spółki. Import zboża ze Stanów Zjednoczonych, bez należytej ochrony celnej, sprawił, że drobne gospodarstwa rolne popadały w ruinę, a ich właściciele emigrowali do miast, pomnażając szeregi bezrobotnych. Podobnie z drobnymi producentami i rzemieślnikami: obca konkurencja zwalniana od ceł i podatków utrudniała im życie. W sumie wymyślony przez szacha plan „modernizacji" Iranu wzbogacał jedynie członków rodziny Pahlawich (oni to bowiem byli reprezentantami firm zagranicznych), wielkich kupców bazarowych, no i oczywiście spekulantów. Wszelkiego rodzaju korupcja za panowania szacha wprost kwitła.

Na domiar złego, szach nieustająco topił setki milionów dolarów w zbrojeniach. Najnowocześniejsza broń kupowana głównie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii zalegała arsenały i nikt nie potrafił konkretnie odpowiedzieć na pytanie, po co ją sprowadzano.

– Czy pan wie – zapytał Andrew Duncan podczas owej listopadowej rozmowy – że na ulicach palą pańskie portrety?

– Tak, ale robi to mniejszość.

– Naprawdę pan tak sądzi?

– Moi informatorzy twierdzą, że większość nie myśli w ten sposób.

„Odpowiedź brzmiała blado i nieprzekonywająco – odnotował Duncan. – W tym momencie wydało mi się, że stracił wolę walki i obojętny jest na to, w jakim kierunku potoczą się sprawy. Kiedy spytałem go, czy może zagwarantować, że pozostanie na tronie jeszcze ze dwa miesiące, odparł – »nie«".

Szach nie wierzył już zatem ani w swoją armię, ani w policję, a były to do niedawna znaczące siły. Armia cesarska, supernowocześnie uzbrojona, liczyła pół miliona ludzi. Żandarmeria narodowa, licząca 70 tysięcy ludzi, miała za zadanie utrzymywać spokój na wsi, a 60 tysięcy policjantów spełniało taką samą rolę w miastach. No i SAVAK, przede wszystkim SAVAK!

Nazwa ta (skrót od Sazemane Atelaat Va Amniyate Kechvar – Organizacja Informacji i Bezpieczeństwa Narodowego) przez lata całe wywoływała grozę i wstręt, podobnie jak u nas w swoim czasie – Gestapo. SAVAK liczyła ponad pół miliona członków i informatorów. Zadaniem tej organizacji było zabijanie bez sądu ludzi szachowi niewygodnych. Mawiało się w Iranie, że „SAVAK najpierw strzela, a potem dopiero zadaje pytania". Nie było to zupełnie ściśle, bo w większości wypadków ludzi najpierw torturowano. Oblicza się, że za panowania szacha około 500 000 osób było aresztowanych, więzionych lub internowanych, a niemałą część z tego zastrzelono lub zakatowano na śmierć w trakcie tortur, które w SAVAKU były zwyczajną praktyką.

Czegóż więc obawiał się szach w końcu 1978 roku, mając za sobą tak potężny aparat represji?

Miał dobrą intuicję, względnie dobre rozeznanie sytuacji. Armia, oddana niegdyś na śmierć i życie swojemu wodzowi naczelnemu (był nim oczywiście cesarz), nie była już dawną armią. Do jej szeregów zaczynały docierać idee szyickiego islamu, czyli opozycyjne. Nawet SAVAK, osłabiana od wewnątrz hasłami szyityzmu, traciła powoli właściwą sobie „energię" i „sprężystość"...

Podczas gdy szach zastanawiał się, czy już pakować kufry (ze złotem), czy też jeszcze jest na to za wcześnie, w Waszyngtonie rozważano, co z „kryzysem irańskim" począć. Inaczej mówiąc, popierać dalej Rezę Pahlawiego, czy postawić na nim krzyżyk? Dobry to był sojusznik, solidny nadzorca interesów amerykańskich nad Zatoką Perską, ale czyż nie jest stałą zasadą polityki, że przegrywających należy poświęcić na rzecz ludzi nowych, silniejszych, mających przed sobą przyszłość?

Dyskusje były częste, żywe, czasami zaciekłe, zawsze prowadzone w najściślejszym gronie Carterowskich prominentów, i oczywiście supertajne. W zasadzie nad problemem irańskiego kryzysu miał pracować zespół złożony z czterdziestu osób, ale

w praktyce było ich... trzy, sporadycznie cztery. W skład specjalnej komisji do spraw Iranu wchodzili: sekretarz stanu Cyrus Vance, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa Zbigniew Brzeziński i szef CIA Stansfield Turner. Depeszami i telefonami o sytuacji szacha wspomagał ich amerykański ambasador w Teheranie William Sullivan. „Dochodzącymi" byli: specjalista od spraw Bliskiego Wschodu (w Departamencie Stanu) Henry Precht oraz minister energetyki Schlesinger.

A prezydent Carter? On sam nie brał udziału w żadnym posiedzeniu i zapowiedział, że podejmie odpowiednią decyzję dopiero, gdy zajdzie potrzeba. Zresztą obecność jego wcale nie była potrzebna, wiadomo bowiem było, że poglądy prezydenta reprezentuje Brzeziński, tyle że tego nie ujawnia.

Brzeziński (czytaj również – Carter) twardo stał na stanowisku, że chwiejącego się cesarza trzeba podtrzymać za wszelką cenę; wymagają tego zasady lojalności wobec sojuszników. Przy okazji wyszło na jaw, że małżonka prezydenta, Rosalynn, która mieszała się do polityki, gdzie tylko mogła, od dłuższego czasu prowadziła korespondencję z cesarzową Iranu. Pisała do niej ciepło, podtrzymywała na duchu, zapewniała, że całe Stany Zjednoczone stoją za szachem i wszystko skończy się pomyślnie.

Cyrus Vance i jego zastępca Precht byli zdecydowanie przeciwni dalszemu hołubieniu skompromitowanego cesarza. Ich zdaniem należało już teraz nawiązać kontakty z siłami opozycji, ponieważ tron irański i tak skazany jest na zagładę. Popierał ich w tym ambasador Sullivan, śląc pesymistyczne raporty na temat szacha, w których podkreślał, że wpływy przebywającego wciąż jeszcze na emigracji Chomeiniego nieustannie rosną. Tak więc trójka – Jimmy i Rosalynn Carterowie oraz Brzeziński przeciwko trójce – Vance, Sullivan, Precht.

Zapytywano, w jaki sposób stary, brodaty ajatollah przekazuje do Iranu z bardzo odległej Francji swoje wskazówki. W odpowiedzi Sullivan nadesłał depeszę o treści wręcz zaskakującej. Otóż Chomeini, ortodoksyjny duchowny, który chce z powrotem wprowadzić średniowieczne obyczaje muzułmańskie i gardzi wszystkim, co zachodnie, bez najmniejszych oporów posługuje się „diabelskimi wynalazkami chrześcijan". Swoje przemówienia przekazuje do Iranu via BBC, która udostępniła mu – oczywiście za grube pieniądze – audycje w języku perskim. Najróżniejszymi kanałami ajatollah przerzuca do kraju setki kaset magnetofonowych z nagraniami jego wystąpień, pisane instrukcje, listy do wpływowych osobistości opozycji etc., etc. Idea „republiki islamskiej" jest więc w Iranie doskonale znana i coraz bardziej popularna.

Co w takiej sytuacji mają począć Stany Zjednoczone? Początkowo komisja wpadła na zgoła nierealny pomysł, aby... nawiązać kontakt z Chomeinim. Ale Sullivan w swoich raportach szybko wyperswadował Waszyngtonowi tę koncepcję: antyamerykanizm szyickiego duchowieństwa jest tak żywiołowy, iż wszelkie propozycje Białego Domu odbiją się jak groch o ścianę. Nie można również liczyć – dodawał Sullivan – że załamany, bierny szach rozprawi się z opozycją przy użyciu siły zbrojnej...

Niezwykle ryzykowne posunięcie proponował Schlesinger. Ponieważ konieczne jest – argumentował – przywrócenie ładu w rejonie Zatoki Perskiej, należy tam właśnie, dokonać demonstracji amerykańskiej siły wojskowej. Miał na myśli użycie floty wojennej oraz tak zwanych sił szybkiego reagowania, inaczej mówiąc – oddziałów desantowych.

Absurdalny ten pomysł, zawierający groźbę dla pokoju nie tylko w tym rejonie świata, komisja, o dziwo, przyjęła i pchnęła do Iranu specjalnego wysłannika, generała Huysera, aby wybadał na miejscu, jak zachowa się szach w przypadku amerykańskiej inwazji. Na ten sondaż było już jednak za późno; w chwili gdy Huyser wsiadał do samolotu, ambasador Sullivan zdążył przekonać cesarza, że „byłoby lepiej, gdyby ustąpił". Stało się! Reza Pahlawi zaakceptował tę gorzką propozycję, nie miał zresztą innego wyjścia. 16 stycznia 1979 roku spod pałacu Niawaran ruszyła w kierunku lotniska kawalkada samochodów pod silną ochroną wojska. Szach wraz z rodziną „udając się na wypoczynek" odleciał w nieznanym kierunku.

1 lutego 1979 roku ajatollah Ruhollah Chomeini (właściwe nazwisko: Musawi Hendi) triumfalnie powrócił do kraju po 16 latach

pobytu na emigracji. Premier rządu tymczasowego Szapur Bachtiar, popierany przez Amerykanów, nie chciał do tego powrotu dopuścić. Nakazał więc zamknąć międzynarodowe lotnisko w Teheranie, gdzie miał lądować Boeing 407 linii lotniczych Air France z czcigodnym imamem na pokładzie. Wszelkie jednak usiłowania Bachtiara spełzły na niczym. Samolot wylądował planowo, a tłumy zgromadzone na trasie przejazdu Chomeiniego skandowały: „Zendeh bad, imam! Payandeh bad! Imamie, żyj wiecznie! Obyś żył wiecznie!"

Chomeini, 79-letni podówczas starzec w czarnym turbanie i z długą siwą brodą, nie twierdził, że jest imamem, ale pozwalał się tak tytułować. Według wierzeń szyitów imam jest wybrańcem bożym, kimś w rodzaju pośrednika między Allachem a ludem, najwyższym Przywódcą Duchowym, a zarazem i państwowym, osobistością stojącą ponad rządem i premierem, ponad parlamentem. Historia szyizmu od czasów Mahometa zna tylko dwunastu imamów, Chomeini miał być trzynastym.

Imam zjechał do Teheranu, ale nie osiadł w żadnym z opuszczonych pałaców byłego szacha. Celowo obrał sobie siedzibę na przedmieściu Dżemeran, raczej ubogim, zamieszkał w betonowym bloku, który z czasem zyskał sobie miano „bunkra imama". Jak łatwo się domyślić, określenie to puścili w obieg cudzoziemcy, zachodnioeuropejscy i amerykańscy dziennikarze, z szyderstwem traktujący sposób bycia i życia „średniowiecznego fanatyka". Zawsze tajemniczy imam nie zdradzał swoich planów; po miesiącu przeniósł się do Kum, świętego miasta szyitów, gdzie roi się od mauzoleów wyższych muzułmańskich duchownych, a wśród nich siostry ósmego imama.

Tam Chomeini rozpoczął z ajatollahami konsultacje na temat metod wdrażania w życie idei „Republiki Islamskiej". W owym czasie świat zachodni niewiele jeszcze o nim wiedział; tyle tylko, że podstawą jego polityki zagranicznej jest antyimperializm i antyamerykanizm. Nieco więcej dowiedziano się w końcu roku 1979, kiedy to w ogólnonarodowym referendum Irańczycy zaakceptowali nową konstytucję, zgodnie z którą ajatollah Chomeini stał się Przywódcą Duchowym (Fakih) uprawnionym do mianowania lub degradowania generałów i oficerów, zatwierdzania kandydatur na prezydenta republiki i premiera, dobierania kadry urzędników państwowych etc., etc.

Na początku listopada imam rzucił hasło zrozumiałe dla wszystkich albo prawie wszystkich Irańczyków: SAVAK to szach, a szach to Amerykanie. Każdy dyplomata amerykański jest szpiegiem i wrogiem niezależnego Iranu. Cóż więc należy zrobić? Zamiar imama błyskawicznie odczytali studenci z Teheranu: tłumnie ruszyli na ambasadę USA, gdzie przebywało wówczas ponad 60 osób, zresztą nie tylko dyplomatów. W atmosferze grozy spędzono wszystkich Amerykanów do jednego z budynków, nad którym zaciągnęła straż dwustuosobowa grupa studentów, oczywiście uzbrojonych. Nie było ofiar śmiertelnych, poturbowano jedynie, i to niezbyt ciężko, kilku dyplomatów. Uwięzionym oświadczono, że są zakładnikami i zostaną zwolnieni dopiero wtedy, gdy Stany Zjednoczone dostarczą do Teheranu szacha oraz przekażą wywieziony przez niego majątek. Było to 4 listopada 1979 roku. Po kilku dniach studenci zwolnili kilku zakładników: Amerykanów pochodzenia azjatyckiego i jednego Murzyna. W niewoli pozostały 53 osoby.

Było to niezwykłe wydarzenie – szok dla Ameryki i nie tylko dla niej. Pogwałcone zostały normy prawa międzynarodowego, ze świętą zasadą eksterytorialności ambasad na czele. Był to szok także dla samych Irańczyków, nawet tych stojących na szczytach władzy nowej Republiki Islamskiej. Ówczesny minister spraw zagranicznych Bani Sadr (później wybrany na prezydenta), oburzony wybrykiem studentów, udał się do okupowanej ambasady, aby napiętnować niewłaściwość takiego postępowania. Zachował się zapis przebiegu tego dramatycznego spotkania.

Dwustu młodych fanatyków otoczyło Bani Sadra ciasnym kołem. Padały pod jego adresem pytania wykrzykiwane w namiętnej tonacji.

– Czy jest pan za wytoczeniem procesu zakładnikom, których przetrzymujemy?

– Nie – odpowiada Bani Sadr. – Nie możecie wszczynać procesu przeciwko oficjalnym przedstawicielom obcego państwa,

których na dobitek ujęliście na obszarze korzystającym z immunitetu dyplomatycznego...

– Przecież do szpiedzy!

– Nawet szpiegów konwencja genewska zabrania karać inaczej, jak wydaleniem z kraju.

– Nie jesteśmy zobowiązani przestrzegać konwencji zredagowanej przez imperialistów! – krzyczy któryś ze studentów.

– Koran uczy nas – odpowiada spokojnie Bani Sadr – że porozumienia zawarte nawet z kufarami (niewiernymi) są święte. Jest w to zaangażowany nasz honor.

– Uważa pan, że Amerykanie szanują prawo międzynarodowe? Czy kiedykolwiek przestali gwałcić prawa ustanowione przez siebie samych i to najczęściej we własnym interesie?

– Macie rację. Postępowanie rządu Stanów Zjednoczonych w Iranie w ciągu prawie ćwierćwiecza było oburzające, ale my jako dobrzy muzułmanie nie powinniśmy kopiować postępowania Waszyngtonu... Biorąc zakładników osłabiliście słuszność naszej sprawy, przyczyniliście się do stłumienia naszego głosu w Stanach Zjednoczonych i na całej ziemi!

Zaległo długie milczenie. Studenci byli zdumieni i przejęci argumentacją człowieka, którego uważali za teoretyka islamskiej rewolucji. Gdy Bani Sadr opuszczał ambasadę, tu i tam odezwały się oklaski. 27 listopada na znak protestu podał się do dymisji. Okupacja ambasady trwała dalej.

Jakże odmienne stanowisko w tej sprawie zajmował ajatollah Chomeini. Nie przejmował się protestami ONZ i innych organizacji międzynarodowych, nie przejmował się apelami o zwolnienie zakładników, kierowanymi do Teheranu przez różne instytucje humanitarne. W odpowiedzi na apel papieża Jana Pawła II pisał:

„Jeżeli chodzi o uwolnienie Amerykanów, musimy zdać sobie sprawę z tego, czego chcemy i czego pragnie naród... Nasz naród chce jednego człowieka, który przebywa w Ameryce, który przez 37 lat kazał narodowi cierpieć, który naród zdradził, który przez 37 lat trwonił bogactwa narodu... Naród, który tak bardzo cierpiał za rządów tego zbrodniarza, chciałby, aby on powrócił i aby wytoczono mu sprawiedliwy proces.”

W jego „Przesłaniu do chrześcijan całego świata” czytamy:

„Carter jako herszt ciemiężycieli świata zażądał, aby w całych Stanach Zjednoczonych bito w dzwony na rzecz szpiegów, a przeciwko ciemiężonemu narodowi Iranu. Właściwym będzie, jeżeli uderzycie w dzwony z nakazu Boga i Jezusa Chrystusa na rzecz uciskanych narodów, wydziedziczonych przez tyranów w rodzaju Cartera... Narodzie Stanów Zjednoczonych! Nie dawaj posłuchu propagandzie prezydentów, gdyż jedynym ich celem jest zdobycie władzy, i wiedz, że nasza młodzież obchodzi się ze szpiegami miłosiernie, albowiem islam każe być miłosiernym dla pojmanych, nawet jeśli są to ciemiężyciele lub szpiedzy. Narodzie Stanów Zjednoczonych! Żądaj od Cartera przekazania zbrodniarza – obalonego szacha, albowiem w jego ręku jest klucz do uwolnienia zakładników.”

Nie można więc było liczyć na wielkoduszność imama, na to, że ukróci samowolę studentów i każe wypuścić zakładników, co mógłby uczynić jednym tylko skinieniem ręki.

Szach tymczasem, niby tropiony zając, zmienia co pewien czas miejsce pobytu, nie chcąc narażać na represje ajatollahów obywateli państw, które udzieliły mu azylu. Pierwszym punktem etapowym jego wygnania było Maroko. Gdy Chomeini zażądał ekstradycji szacha, ten przenosi się wraz z rodziną na Wyspy Bahama. Prasa irańska pisze, że kpi sobie z władzy islamskiej w kraju, gra w tenisa i w dalszym ciągu trwoni majątek narodowy. Oprócz znanych już zarzutów tyranii, oskarża się go o zażywanie heroiny, o nieustanną pogoń za kobietami, o homoseksualizm, prymitywizm umysłowy, impotencję i sado-masochizm, o to wreszcie, że potajemnie przeszedł na judaizm.

4 listopada 1979 roku, gdy studenci wtargnęli do ambasady USA, szach istotnie był w Stanach Zjednoczonych, ale w nowojorskim szpitalu Cornell Medical Center, gdzie poddał się operacji wycięcia woreczka żółciowego. Operacja tylko nieznacznie przedłuży mu życie: Reza Pahlawi jest chory na raka i dni jego są policzone...

Sąd muzułmański w Teheranie skazał szacha zaocznie na karę śmierci. Gdy Oriana Fallaci, niestrudzona reporterka prasy włos-

kiej, przebiła się przez kordony Strażników Rewolucji Islamskiej i Chomeini zgodził się udzielić jej wywiadu, jedno z pierwszych pytań brzmiało:

– Czy to pan, imamie, rozkazał, by na szachu wykonano wyrok śmierci za granicą? Czy to pan powiedział, że ten, kto to zrobi, będzie uważany za bohatera, a jeśli zostanie zabity w czasie akcji, pójdzie do raju?

– Nie! – oburzył się imam. – Ja nie! Pragnę, by szach został sprowadzony do Iranu i publicznie sądzony za to, że przez pięćdziesiąt lat [? – M.A.] popełniał zbrodnie przeciwko narodowi perskiemu, łącznie ze zbrodnią zdrady i kradzieży kapitałów. Jeśli szach zostanie zabity za granicą, stracimy te pieniądze, jeśli natomiast będziemy go sądzić tutaj, odzyskamy je. Nie, nie chcę, by został zabity za granicą. Tu go chcę mieć!

Mijają tygodnie i miesiące, a w sytuacji zakładników nic się nie zmienia. Nie pomogły sankcje gospodarcze Cartera, który nakazał wstrzymać wszelkie zakupy irańskiej ropy i produktów naftowych. Nie wywarły na Chomeinim wrażenia manewry floty amerykańskiej w północnej części Morza Arabskiego, opodal wybrzeży Iranu. Nie wzbudził grozy kierujący się ku brzegom Iranu lotniskowiec „Kitty Hawk" w otoczeniu czterech krążowników i kilkunastu niszczycieli. Ameryka czuje się upokorzona, bezsilna. Pozostało jej tylko jedno wyjście: interwencja militarna w takiej lub innej formie, ale serio, ze wszystkimi konsekwencjami takiego czynu. Chomeini być może miał już na ten temat konkretne wiadomości albo też intuicyjnie obrót sprawy przeczuwał, skoro we wspomnianym już liście do Jana Pawła II pisał:

„Pan Carter chwyta się jak tonący wszelkich możliwości. I tak szerzy się pogłoski, że czeka nas interwencja militarna... Chciałbym naświetlić dwa punkty: nie boimy się ani akcji militarnej, ani bojkotu gospodarczego, jesteśmy bowiem szyitami, wspólnotą wiernych, która z radością wita męczeństwo. Nasz naród także dziś zgodzi się na męczeństwo. Gdyby pan Carter mógł nakazać wylądować tu oddziałom wojskowym – chociaż tego nie może – albo gdyby supermocarstwa porozumiały się w sprawie wysłania wojsk do Iranu, to mamy 35 milionów ludzi, którzy w ogromnej

większości gotowi są ponieść śmierć męczeńską. Z tymi 35 milionami wyruszymy do walki...

Instynkt nie zawiódł imama: akcja militarna istotnie szykowała się, tyle tylko że zakrojona nie na tak szeroką skalę, jak się spodziewał. Szczegóły „akcji ratunkowej" zakładników, opublikowane dopiero po trzech latach od dnia desantu, stały się prawdziwą rewelacją, pochodziły bowiem od samego pomysłodawcy owego przedsięwzięcia – Zbigniewa Brzezińskiego. Wyznania doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego ogłoszone drukiem na łamach tygodnika „The Observer" są niewątpliwie szczere, bo stawiają nawet ich autora w niekorzystnym świetle, ale chyba niepełne, o czym świadczy z kolei raport zamieszczony w dzienniku „The Washington Post". Ale o tym później, na razie posłuchajmy, co mówi Brzeziński.

„Już w dwa dni po wzięciu naszych zakładników w ambasadzie w Teheranie, w listopadzie 1979 roku, uruchomiłem proces planowania operacji ich odbicia".

To on przekonał prezydenta Cartera do całego przedsięwzięcia, a następnie poinstruował ministra obrony Harolda Browna, jak ma tę akcję wykonać. W złożonym 10 kwietnia 1980 roku memorandum pt. „Uwolnienie zakładników" Brzeziński sugerował Carterowi, że jeśli akcja zostanie nazwana „ratunkową", a nie „militarną", nie narazi to Stanów Zjednoczonych na konflikt wojenny z Iranem czy ewentualnie na szerszą jeszcze skalę. Twierdził przy tym, że dalsze tolerowanie niewoli zakładników podrywa prestiż Stanów Zjednoczonych, które ukazują się światu bezsilne, skoro nie potrafią ratować własnych obywateli z tego rodzaju opresji.

Carter „kupił" koncepcję Brzezińskiego i już następnego dnia, 11 kwietnia, zwołał posiedzenie Krajowej Rady Bezpieczeństwa. W tajnej naradzie, która odbyła się w gabinecie prezydenta, udział wzięli: Warren Christopher, zastępujący sekretarza stanu Cyrusa Vance'a (ten był na urlopie), wiceprezydent Robert Mondale, minister obrony Harold Brown, szef CIA admirał Stansfield Turner, generał David Jones, sekretarz prasowy prezydenta Jody Powell oraz oczywiście sam autor planu Zbigniew Brzeziński.

Prezydent Carter usiadł nie na swoim zwykłym prezydialnym miejscu, ale trochę z boku, jak gdyby chciał sprawić wrażenie, że sam nie ma wiele do powiedzenia i liczy raczej na opinie zaproszonych.

Obrady otworzył prezydent stwierdzając krótko, że na szybkie wynegocjowanie uwolnienia zakładników liczyć już nie można i nadszedł czas powzięcia ostatecznych decyzji w tej sprawie.

Warren Christopher zabrał głos jako pierwszy. Najwidoczniej znał już plan Brzezińskiego (odbicia zakładników siłą), ponieważ zwrócił uwagę, że istnieją jeszcze możliwości innego niż militarne rozwiązania. Można na przykład zwrócić się w tej sprawie do ONZ, można także wywrzeć nacisk na Irańczyków, zabraniając ich statkom zawijania do portów amerykańskich, a samolotom lądowania w USA. Christopher najwyraźniej referował poglądy swojego patrona Cyrusa Vance'a, który od początku był przeciwny awanturze wymyślonej przez Brzezińskiego.

Harold Brown odrzucił propozycje Christophera, ponieważ „nie wywrą większego wrażenia" na Irańczykach. Opowiedział się za próbą odbicia.

„Wiceprezydent Mondale – wspomina Brzeziński – oświadczył prosto i z całą mocą, że odbicie jest najlepszym sposobem wyjścia z sytuacji, która stała się nieznośnie upokarzająca".

Z kolei zabrał głos sam Brzeziński. Powiedział krótko, że prezydent doskonale zna jego pogląd na sprawę, toteż on tylko proponuje, aby operacja odbicia odbyła się możliwie jak najszybciej. Dodał jeszcze znaczące zdanie: „Powinniśmy rozważyć uderzenie odwetowe, gdyby nie powiodła się próba odbicia". Czyżby więc wojna? Inaczej tego zinterpretować się nie da.

W wielce charakterystyczny sposób zachował się admirał Turner. Podobnie jak generał Jones skupił swoją uwagę na realnych możliwościach wykonania akcji, ale nie taił trudności z nią związanych, przeciwnie – mocno je podkreślał. Skądinąd wiadomo było, iż na zlecenie prezydenta od dłuższego czasu uruchamiał wszystkie sprężyny CIA w Iranie i werbował, podobno z powodzeniem, nowych znaczących agentów w Teheranie. Czyżby teraz nie był pewien wartości swojej pracy? A może przeczuwał już

to, co później odkryła prasa – że ci z takim trudem zwerbowani agenci zostaną poświęceni „na ołtarzu sprawy"?

Prezydent Carter przerwał te rozważania. Oświadczył, iż rzecz całą przedyskutował w pełni... ze swoją żoną Rosalynn, a także z kilkoma zaufanymi osobami i wie jedno: Stany Zjednoczone muszą podjąć próbę odbicia zakładników!

Kości zostały więc rzucone. Brzeziński zrelacjonował w swoich wspomnieniach jeszcze następne zebranie Krajowej Rady Bezpieczeństwa, już z udziałem Cyrusa Vance'a, który nie zmienił zdania i nadal sprzeciwiał się powziętej decyzji. Dyskusję na ten temat z Brzezińskim przeniósł jeszcze do ogrodów Białego Domu, gdzie rozpoczęła się jakaś ceremonia z udziałem dziennikarzy i fotografów. Obaj panowie dłońmi zasłaniali usta, aby stojący z dala specjaliści od czytania z układu warg – bo tacy w prasie amerykańskiej istnieją – nie mogli się domyślić, o czym mowa.

Opowieść Brzezińskiego kończy scena godna utrwalenia w filmie rekonstruującym wydarzenia godzin popołudniowych dnia 24 kwietnia 1980 roku. Carter, szary na twarzy, postarzały o dziesięć lat, wisi przy telefonie, skąd nadchodzą coraz paskudniejsze wieści z terenu operacji „Pustynia I". Na czym ta operacja miała polegać w planie militarnym?

Akcję lądowania na irańskiej pustyni miało wykonać 90 komandosów pierwszego rzutu pod dowództwem pułkownika Beckewitha. W przypadku gdyby ich siły okazały się słabe, przygotowany był drugi rzut – 100 komandosów, a także trzeci – ewentualnie 200. A więc cała wojskowa inwazja! Oddział „Delta" pułkownika Beckewitha miał się przybliżyć do Teheranu „skokami", na pokładach ośmiu helikopterów z lotniskowca „Nimitz". Paliwo dla helikopterów dostarczałyby samoloty transportowe C-130. Oczywiście zarówno helikoptery, jak i samoloty poruszałyby się na terytorium Iranu tylko nocą, w najściślejszej tajemnicy, a w przypadku nieuchronnej groźby wykrycia miały „przyozdobić się" znakami wojskowego lotnictwa irańskiego. Pierwszym skokiem helikoptery powinny osiągnąć „Pustynię I", ostatnim – pewną miejscowość (kryptonim „Charley") położoną kilkadziesiąt kilometrów na południowy wschód od Teheranu. Stąd komandosi zamierzali przemy-

cić się zakrytymi ciężarówkami do stolicy, gdzie w trzecim dniu akcji, na dziesięć minut przed północą miał nastąpić atak na ambasadę z uwięzionymi zakładnikami. Dla ludzi CIA były tu przewidziane decydujące działania.

Ludzie CIA to właśnie agenci zwerbowani przez Turnera spośród irańskich studentów strzegących zakładników oraz członków formacji paramilitarnych, zwanych Strażnikami Rewolucji. Studenci-dywersanci mieli za zadanie współdziałać z komandosami w akcji uwalniania Amerykanów w ambasadzie, a Strażnicy Rewolucji powinni robić to samo w budynku ministerstwa spraw zagranicznych, gdzie przetrzymywano trzech najwyższych rangą dyplomatów USA. Ponadto Strażnicy (naturalnie ci zwerbowani) wykonaliby jeszcze jedno zadanie: w przypadku gdyby komandosów zaatakował spontanicznie tłum cywilów i przeszkadzał im w obu akcjach, ruszyliby ku ambasadzie krzycząc, że idą odpierać amerykański atak. W rzeczywistości zaś osłanialiby oddział „Delta" i uwolnionych zakładników, w drodze do miejscowego stadionu, gdzie miały już czekać helikoptery ewakuacyjne.

Plan operacji był, jak widać, mocno skomplikowany i w wielu punktach opierał się na współpracy dywersantów albo zwerbowanych w Iranie, albo gotowych do przerzutu z zagranicy... Jedno i drugie zadanie powierzono oczywiście Turnerowi, który wywiązał się z nich – co do tego oceny są jednoznaczne – bardzo dobrze. Bo czyż nie było sukcesem pozyskanie dla CIA wysokiego funkcjonariusza irańskiego ministerstwa obrony, który na krótko przed datą desantu wydał rozkaz przerzucenia ruchomych wyrzutni rakietowych oraz stacji radarowych z rejonu „Pustynia I" na północno-zachodnie pogranicze Iranu? Czy nie było sukcesem wyszukanie wśród skrajnie fanatycznych studentów takich ludzi, którzy zgodzili się – dobrowolnie lub pod groźbą szantażu – ułatwić komandosom bezszmerowe wejście do amerykańskiej ambasady? A „kosmetyczne przeobrażenie" irańskich emigrantów w Strażników Rewolucji (spory oddział wchodzący w skład ugrupowania „Delta") – czyż niemała to praca?

Taki był plan. A jego wykonanie? Z doświadczenia wiadomo, że żadna akcja typu dywersyjnego nie przebiega tak, jak to ustalono w planie. Rzeczywistość zaskakuje mniejszymi lub większymi niespodziankami, czasem całym łańcuchem niespodzianek. Dlatego też każda operacja powinna mieć kilka wariantów, ale o tym już nie pomyślano...

Postarzały i poszarzały Carter słyszy w telefonie, że miejsce lądowania samolotów i helikopterów, określone kryptonimem „Pustynia I", leży istotnie na pustyni, ale... w pobliżu drogi. Pierwsza niespodzianka: przejechał tędy autobus wiozący około czterdziestu pasażerów, którzy na pewno nie byli na tyle tępi, aby nie zauważyć amerykańskich samolotów i helikopterów. Utrzymanie w tajemnicy obecności komandosów, co było podstawą planu, jest więc już niemożliwe.

Godzina 15.30. Carter oczekuje dalszych wiadomości i otrzymuje je o 16.45. Są to jednak informacje hiobowe. Zatelefonował Brown: „Myślę, że mamy sytuację upoważniającą do przerwania operacji. Jeden śmigłowiec ma problemy z hydrauliką, mamy już mniej niż sześć śmigłowców niezbędnych do przeprowadzenia akcji". Niebawem nadeszła wiadomość, że jeszcze jeden helikopter natrafił na burzę piaskową... Wszystkie te ponure sygnały Brzeziński notował klęcząc przed biurkiem prezydenta, nikt bowiem nie miał czasu pomyśleć o przyniesieniu dodatkowego krzesła.

O ośmiu komandosach, którzy zginęli w wypadku podczas tankowania paliwa, już po odwołaniu operacji, Brzeziński w ogóle nie wspomina. „Osobiście – konkluduje – nie miałem żadnych rozterek politycznych czy moralnych z powodu operacji odbicia".

Czy rzeczywiście nie było podstaw do rozterek natury tak politycznej, jak i moralnej? Uważna lektura raportu zamieszczonego w dzienniku „The Washington Post" w dwa lata po niefortunnym desancie prowadzi do wniosku, że – owszem – były, i to o takim ciężarze gatunkowym, że obojętnie mógł obok nich przejść jedynie człowiek zafascynowany do końca własnym pomysłem, to znaczy Brzeziński. Cyrus Vance nie tylko przeżywał rozterki, lecz wyraźnie o nich mówił. Mówił również o wielkim ryzyku całego przedsięwzięcia, przede wszystkim z punktu widzenia bezpieczeństwa Amerykanów przebywających w Iranie.

W sprawie zakładników nie mogło być żadnych złudzeń. Wszakże sam Chomeini oświadczył, że w przypadku próby ich uwolnienia każe wszystkich zabić. Jeśli nawet groźby tej później nie spełnił, to przecież mógł ją spełnić. Poza tym, w Iranie przebywało w owym czasie jeszcze tysiąc innych Amerykanów – pracowników towarzystw naftowych i dziennikarzy, których mogłyby spotkać podobne represje. Słowem, rząd Stanów Zjednoczonych znalazłby się w jeszcze gorszym położeniu niż przed „akcją ratunkową", bo obok ujawnienia militarnej nieudolności spotkałby się z zarzutami igrania życiem amerykańskich obywateli.

Na temat zaplanowanej akcji komandosów Cyrus Vance wypowiedział znamienne zdanie: „Nie zapominajcie, że przez wiele lat pracowałem w Pentagonie i wiem, że wojskowi nigdy nie powiedzą, iż czegoś nie potrafią wykonać".

Miał również swoje rozterki – jakże zrozumiałe dla wszystkich fachowców z dziedziny wywiadu i dywersji – szef CIA, admirał Turner. Dziennikarze Scott Armstrong i Bob Woodward pierwsi wpadli na ślad afery, która godziła bezpośrednio w Turnera. Jego zadowolenie z dobrego przygotowania „akcji ratunkowej" musiało ustąpić miejsca wściekłości, gdy z prasy dowiedział się o decyzji, jaką podjęto za jego plecami: rozkazy wojskowe przewidywały fizyczną likwidację przez komandosów wszystkich, dosłownie wszystkich studentów strzegących ambasady, a więc także agentów CIA! Podobny los miał spotkać fałszywych Strażników Rewolucji, jeśliby tego wymagały okoliczności... Krótko mówiąc: gdyby „akcja ratunkowa" nie utknęła na samym wstępie i potoczyła się zgodnie z planem CIA, agencja ta, znana dotąd z lojalności wobec swoich szpiegów i dywersantów, popadłaby w kryzys bez wyjścia, a cała odpowiedzialność spadłaby na Turnera.

Wśród rewelacji Armstronga i Woodwarda znalazła się jedna, szczególnie pikantna: Zbigniew Brzeziński, czując się widocznie osamotniony w swoim parciu ku realizacji „ratunkowego planu", poprosił w pewnym momencie prezydenta Cartera, aby ten zezwolił mu lecieć wraz z desantem pułkownika Beckewitha! Jego zdaniem podkreśliłoby to wagę całej operacji. Prezydent Carter ofertę tę odrzucił bez dyskusji. A szkoda, byłby to bezprecedensowy od dawien dawna przypadek, gdy autor politycznej koncepcji ataku sam rusza na czele szturmowego oddziału...

Milczenie Białego Domu na temat kulis „akcji ratunkowej", jej politycznych motywów i niefortunnego wykonania trwało również w początkach kadencji Reagana, nie tyle może z kurtuazji wobec poprzedniej ekipy i Jimmy Cartera osobiście, ile z uwagi na drażliwość przedmiotu, który – jakkolwiek by doń podchodzić – zasługuje na miano największego chyba blamażu w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych.

Opinia publiczna nie zadowoliła się frazesami i zapragnęła poznać prawdę. Prawda zaś była nadal otoczona mgłą tajemnicy. Admirał Stansfield Turner, choć nie był już szefem CIA, zażądał oficjalnie przeprowadzenia dochodzeń w tej kwestii... Chciał on postawić przed komisją dochodzeniową szereg pytań, z których najgłówniejsze brzmiały: „Co sprawa ta mówi na temat sposobu podejmowania decyzji na najwyższym szczeblu? Co mówi na temat sprawności militarnego działania, sprawności naszych układów organizacyjnych i ich motywacji? Co wreszcie mówi na temat problemów związanych z przeprowadzaniem całkowicie tajnych operacji wojskowych?" Turner od razu trafił na oponentów wszelkich dochodzeń, na czele z generałem Davidem Jonesem, który notabene był od początku do końca odpowiedzialny za całą militarną stronę „akcji ratunkowej".

– Po co wracać – mówił Jones – do tamtych wydarzeń? Nie będziemy mieli już takiej sytuacji jak ówczesna, irańska. Tego rodzaju sytuacje nigdy się nie powtarzają. A poza tym – dodawał – operacja ratunkowa była już badana przez specjalny zespół oficerów Pentagonu i wielostronnie omawiana w prasie...

Nigdy nie podjęto postulowanych przez Turnera dochodzeń, ale gdyby je wdrożono, nietrudno sobie wyobrazić ich przebieg. Kongres nie pominąłby okazji do napiętnowania byłego prezydenta Jimmy Cartera za mafijność, za utajniony i zakonspirowany tryb podejmowania decyzji o ogólnonarodowym znaczeniu. Po drugie, roztrząsano by ponownie przyczyny fiaska desantu, zwłaszcza te natury technicznej. Po trzecie, zahaczono by raz jeszcze o sprawy CIA, o jej stosunek do zagranicznych agentów etc.

Wątpliwe jednak, czy padłoby zasadnicze pytanie: po co w ogóle, wobec znikomych szans powodzenia, tę akcję – rzekomo ratunkową – podejmowano? Tutaj bowiem wnioski mogłyby zaprowadzić zbyt daleko i wywołać antyprezydenckie nastroje, podobne tym, jakie wynikły po aferze Watergate. Na to Stany Zjednoczone nie mogły już sobie pozwolić.

Bezpośrednio po blamażu na irańskiej pustyni część prasy amerykańskiej zaczęła interesować się tym tematem, później jednak kwestię porzuciła, kierując się – dobrowolnie czy pod naciskami – racją stanu.

Co uderzało w tonacji rozważań nad tym dramatycznym i nieprzyjemnym wydarzeniem? Przede wszystkim to, że przestało się mówić o humanitarnej stronie operacji, a przypominano li tylko przymiotnik „ratunkowa". Jak się okazało, w Białym Domu humanitarny aspekt sprawy prawie w ogóle nie był rozpatrywany. Zakładnicy, komandosi, zagraniczni agenci CIA... owszem, brano ich pod uwagę, ale tylko jako pionki na szachownicy. Liczyła się natomiast zbieżność pewnych dat, z czego każdy z ówczesnych decydentów zdawał sobie sprawę. W listopadzie 1980 roku przypadała pierwsza smutna rocznica uwięzienia zakładników w teherańskiej ambasadzie, ale zarazem był to termin... wyborów prezydenckich.

Przedwyborcza sytuacja Cartera nie wyglądała najlepiej. Nieudane pertraktacje o uwolnienie zakładników zbiegły się z fiaskiem bojkotu Olimpiady w Moskwie, a równocześnie piętrzyły się trudności gospodarcze: rósł wskaźnik inflacji, kryzysu energetycznego nie udawało się rozwiązać. Notowania Cartera w przedwyborczych sondażach zaczęły wyglądać mizernie, opinia skłaniała się raczej ku Kennedy'emu. Trzeba więc było coś wymyślić, jakiś spektakularny czyn albo co najmniej zamiar takiego czynu. Mógł być nim właśnie „ratunkowy desant" – zdaniem Cartera – pożyteczny politycznie bez względu na wynik. Dawał on świadectwo dobrej woli prezydenta w tej bolesnej sprawie. Gdyby wszystko się udało, Carter miałby nową kadencję w kieszeni, jeśli nie – samo chociażby uzewnętrznienie chęci działania przynosiło jeszcze jakieś szanse na wyborcze zwycięstwo, w każdym razie większe niż w przypadku obojętnego tolerowania niewoli zakładników.

Czy nie o tym rozmawiał prezydent z żoną Rosalynn przed wydaniem rozkazu „Pustynia I"? Cyrus Vance nie wierzył w cuda i przypłacił to własną dymisją. Carter liczył na cud i zszedł z areny nie żegnany z żalem przez nikogo. Wyszło bowiem na jaw, że wszystko to razem nie miało nic wspólnego z humanitaryzmem, a cała „akcja ratunkowa" pomyślana była jako ratunek, ale... głównie dla Jimmy Cartera.

52 zakładników więzionych było w Teheranie przez 444 dni. Wolność przyszła niejako automatycznie. Szach, korzystający ostatnio z azylu w Panamie, opuścił ten kraj i udał się do Egiptu, gdzie zmarł na raka. Odpadł więc główny „przedmiot" konfliktu. Jeśli chodzi o majątek szacha nie było szansy na to, aby banki szwajcarskie ujawniły konta i przekazały walory do Iranu; byłoby to podważeniem żelaznych zasad, na których Szwajcaria opiera swoją neutralność i dzięki którym od lat zbiera poważne zyski. 29 marca 1981 roku władze Stanów Zjednoczonych wystosowały za pośrednictwem ambasady Szwajcarii w Teheranie specjalne posłanie do prezydenta Bani Sadra i ministra spraw zagranicznych Sadeka Gotbzadeha, wzywające do przejęcia przez organa państwowe kontroli nad zakładnikami. Według oświadczenia irańskiego ministra spraw zagranicznych, list Cartera zawierał samokrytyczną ocenę działalności USA i przeprosiny za ingerencję w wewnętrzne sprawy Iranu. Po piętnastu miesiącach niewoli zakładnicy zostali załadowani do samolotów i odesłani do RFN.

W prasie europejskiej ukazały się opisy lądowania byłych zakładników w RFN, gdzie oczekiwały na nich rodziny, po czym kilka jeszcze wzmianek o treści raczej ciekawostkowej, jak na przykład informacja, że władze przyznały im odszkodowanie w wysokości 12 dolarów, czyli sumę rozbrajająco niską, za każdy dzień spędzony w niewoli. Sprawę uznano odtąd za temat czysto lokalny, to znaczy amerykański, mało ważny na tle rozgrywających się wypadków w skali światowej, między innymi w Polsce (rok 1981).

Tymczasem dramat byłych zakładników trwał nadal, fascynując lekarzy, socjologów, niektórych polityków i wojskowych oraz kilku

dziennikarzy – przynajmniej tych, którym pozwalał na to czas i których skłaniały do tego odpowiednie zainteresowania.

Sygnałem, który wywołał zainteresowanie dziennikarzy, stał się przypadek podoficera Korpusu Piechoty Morskiej, Donalda Hohmana. Był to ten sam zakładnik, który po uwolnieniu pierwszy wysiadł z samolotu na zachodnioniemieckim lotnisku i wobec tego został obfotografowany przez reporterów i wysłanników stacji telewizyjnych. Don Hohman poleciał potem wraz z innymi byłymi współwięźniami do Stanów, gdzie witano ich z nie mniejszą pompą i serdecznością niż kiedyś wracających bohaterów kosmosu.

W tłusty czwartek roku 1981 Hohman wystąpił jako główna persona na festiwalu świątecznym w rodzinnym Nowym Orleanie. Świeżo awansowany do stopnia starszego sierżanta stał na trybunie i przyjmował defiladę seksownych panienek w historyczno-fantastycznych strojach, gdy oto nagle wystrzelono salwę petard i sztucznych ogni... Hohman padł na ziemię płacząc i miotając się w konwulsjach. Badany przez lekarzy wyznał, że tłumy na trybunach i strzały przypomniały mu bojówki rewolucyjnych studentów atakujących ambasadę w Teheranie. Zwłaszcza tłumy! Już później, po decyzji uwolnienia Amerykanów, oblegały one ambasadę, niemal bez przerwy żądając głów zakładników...

Czy szok Hohmana był rzeczywiście pierwszym, jaki odnotowano u byłych zakładników, trudno powiedzieć. Specjalna komórka Departamentu Stanu, zwana Komisją Odszkodowań, skąpo udzielała informacji w tej kwestii, chociaż wiadomo było, że gromadziła obszerną dokumentację na ten temat. Idąc jednak po nitce do kłębka, niektórym dziennikarzom udało się zgromadzić sporo materiału; źródłem informacji byli głównie eks-zakładnicy i ich rodziny, a także psychiatrzy.

„To, co stało się w Nowym Orleanie – mówił Don Hohman – to jeszcze nie wszystko. Odkrywam teraz u siebie coś, czego przedtem nigdy nie odczuwałem, mianowicie nienawiść do ludzi. Bardzo się boję, aby te uczucia nie przeniosły się na moje dzieci". Prześladowały go zwłaszcza wizje kilku sfingowanych egzekucji, kiedy to z zawiązanymi oczyma prowadzony był na rzekome

miejsce stracenia, scenę kończono zawsze oświadczeniem, że „wyrok chwilowo został odroczony".

Podobne przeżycia – plus jeszcze tak zwaną rosyjską ruletkę, to znaczy strzał w głowę na los szczęścia z rewolweru załadowanego podobno tylko jednym pociskiem – miał za sobą sierżant (tejże piechoty morskiej) John Mc Keel. Skutek tych przeżyć był podobny, choć u niego może bardziej ukierunkowany: „To straszne, ale nie mogę powstrzymać radości, gdy radio donosi o nowym trzęsieniu ziemi w Iranie".

Joseph Hall – jeden z dyplomatów – popadł w klasyczną manię prześladowczą, posuniętą do tego stopnia, że nie tylko uniemożliwiało mu to pracę zawodową, ale w ogóle normalne życie w rodzinie. We śnie i na jawie słyszał krzyki studentów, którzy na koniec chcieli prowadzić na egzekucję jego żonę i dzieci. Szczęśliwy był tylko wtedy, gdy nie wychodził z domu, co oczywiście źle znosiła jego żona, która twierdziła, że mógłby pozbyć się dolegliwości i przywidzeń, gdyby spróbował prowadzić czynną, typowo amerykańską działalność w takiej lub innej dziedzinie. Rozwód za obopólną zgodą był dwukrotnie prawie zdecydowany.

Innego rodzaju problemy, powodujące ciężką neurastenię, miał oficer służby bezpieczeństwa w Teheranie, Bill Daugherty. Z tytułu swojej funkcji pełnionej w ambasadzie był przesłuchiwany szczególnie ostro. Jemu właśnie najczęściej grożono „rosyjską ruletką" oraz stosowano dodatkową formę zastraszenia: zapowiadano, że jeśli nie będzie mówił, specjalna bojówka irańska, działająca na terenie Ameryki, dosięgnie jego rodzinę tam, na miejscu. Nie wiadomo, jakie tajemnice służbowe ujawnił, stawiał sobie jednak ciągle pytanie: czy powinien był zachować postawę żołnierza czasu wojny czy też czasu pokoju? Amerykańskie regulaminy wojskowe wskazują tu na zasadnicze różnice wymogów. W okresie piętnastu miesięcy jego uwięzienia Iran i USA ani przez chwilę nie były w stanie wojny, nawet wówczas gdy terytorium irańskie zostało naruszone przez nieszczęsną wyprawę helikopterów.

Wielu byłych zakładników popadło w nieszkodliwe manie na tle nieumiejętności ponownego przystosowania się do normalnych warunków życia. Przytaczano często przypadek jednego

z nich – nie ujawnionego z nazwiska – który stał się namiętnym kolekcjonerem kalesonów. Przeżył on 444 dni w tych samych kalesonach i później, aby sobie to powetować, skupował je tuzinami, dziesiątkami tuzinów, wyładował nimi wszystkie szafy, nawet komodę żony, która biegała do psychiatry z trwożliwym pytaniem, do czego to jeszcze dojdzie?

Kolegium medyków, zajmujących się byłymi zakładnikami, zestawiło raport, który obejmował okres 8 miesięcy, licząc od dnia uwolnienia. Zanotowano: osiem rozwodów, sześć przypadków wrzodów żołądka, dziesiątki przypadków stałej migreny, bezsenności, nadciśnienia, obok oczywiście zaburzeń psychicznych. Dwóm pacjentom w ostatniej chwili uniemożliwiono samobójstwo.

Morehead Kennedy, były radca ekonomiczny ambasady w Teheranie, postanowił napisać książkę o zakładnikach na podstawie własnych przeżyć i obserwacji kolegów. W książce tej miał zamiar udowodnić tezę, że z tej straszliwej przygody – jeśli tak to można nazwać – nikt nie wyszedł bez urazów psychicznych czy fizycznych. Były jednak – jego zdaniem – różnice w głębokości tych urazów: znacznie większą odporność wykazali doświadczeni i bardziej wykształceni cywile aniżeli wojskowi, przeważnie młodzi i postawieni w sytuacji bez precedensu...

Uwolnienie zakładników było dla Stanów Zjednoczonych – przez krótki czas co prawda – największą sensacją od czasów afery Watergate, a równocześnie apoteozą bohaterstwa, równą manifestacjom na cześć zdobywców Księżyca, a jeszcze wcześniej – co tylko najstarsi pamiętali – na cześć powracającego z Europy pułkownika Lindbergha. Trwało nieustające święto, kręcono wywiady telewizyjne, sypała się lawina wywiadów prasowych, nadchodziły setki depesz z gratulacjami. Wielu bohaterów tych festynów, zwłaszcza młodszych wiekiem, uwierzyło, że już tak będzie zawsze, że jest to sława nieprzemijająca, która pozwoli łatwiej i lepiej urządzić się w życiu. Przeliczyli się. Po raz ostatni eks-zakładnicy ukazali się w telewizji z okazji święta narodowego w dniu 4 lipca 1981. Jedni przeżywali to zapomnienie łatwiej, inni trudniej, wszystkich jednak oburzyła owa groteskowa decyzja o 12-dolarowym odszkodowaniu. Od tego czasu zaczęli upatrywać głównego wroga nie tyle w Irańczykach, ile we własnych władzach, które nie szczędziły wprawdzie wielkich słów pod ich adresem, postanowiły natomiast oszczędzać pieniądze.

Studenci islamscy, bohaterowie 444 dni po drugiej stronie barykady, również szybko poszli w zapomnienie we własnym kraju. Co gorsza, wielu z nich zaczęło zadawać sobie pytanie, czy przypadkiem nie manipulowano nimi w zupełnie innych celach aniżeli wymuszenie powrotu szacha i jego majątku?

W ambasadzie amerykańskiej – zgodnie z instrukcjami wyższych duchownych – zajmowali się nie tylko zastraszaniem zakładników, lecz także penetrowaniem jej gmachu w poszukiwaniu tajnych dokumentów. Podobno je znaleźli. Na podstawie „tajnych zapisków amerykańskich” aresztowanych zostało wielu polityków i innych osobistości niechętnych Chomeiniemu i jego grupie. Do więzienia poszedł Amir Entezam, wicepremier za czasów Bazargana, musiał uciekać za granicę Hasan Nazih, były dyrektor „National Iranian Oil Company” i Ratmatollah Mognadam-Mraghi, przywódca małej partii radykalnej. Ajatollah Szariat Madari, liberał, został raz na zawsze odsunięty od udziału w rządach i zmuszony do milczenia. Kilku deputowanych z wyboru pozbawiono mandatów, usunięto ze sceny politycznej admirała Ahmeda Madaniego. Wszyscy oni figurowali ponoć w kartotekach amerykańskiej ambasady jako współpracownicy CIA. Czy byli nimi naprawdę? Oto jeszcze jedna zagadka dramatycznej sprawy zakładników.

POWRÓT KATA

2 lutego 1983 roku na lotnisku wojskowym w Orange, niedaleko Awinionu, wylądował samolot specjalny z niecodziennym pasażerem na pokładzie. Na trapie ukazał się niewysoki, starszy pan, siwawo-łysawy, o chytrym, przenikliwym spojrzeniu; na rękach miał kajdanki, a za plecami kilku mocarnych konwojentów w cywilnych ubraniach. W takich to okolicznościach przybywał do Francji, oficjalnie po raz drugi, pod prawdziwym nazwiskiem Klaus Barbie, hitlerowski przestępca wojenny, znany jako „kat z Lyonu". Po raz pierwszy gościł na ziemi francuskiej przed czterdziestu laty, ale wówczas po to, aby innym zakładać kajdanki.

Orange jest malowniczym miasteczkiem, chlubiącym się rzymskimi zabytkami klasy zerowej – amfiteatrem i Łukiem Triumfalnym. Klaus Barbie znał je dobrze z tamtych dobrych czasów, kiedy to w przerwach między torturowaniem ludzi i nadzorami egzekucji korzystał z uroków życia i podróżował po Francji mercedesem, najczęściej w towarzystwie prostytutek-kolaborantek. Teraz nie miał jednak czasu na snucie wspomnień: przeprowadzono go od razu do helikoptera, który bezzwłocznie wystartował, aby usiąść niebawem na dziedzińcu fortu Montluc w Lyonie.

Osławiony „kat z Lyonu" znalazł się więc w „swoim" mieście, gdzie będzie oczekiwał na rozprawę sądową. Osadzony w celi więzienia Saint-Paul de Lyon, tego samego, w którym w latach 1942–1944 torturował i mordował Francuzów i Żydów, nie śpieszył się zapewne do spotkania z prokuratorem, ponieważ znał doskonale listę zbrodni, za które przyjdzie mu odpowiadać. Odpowiedzialny za tortury i deportacje 7591 osób oraz za zamordowanie 4342 bojowników francuskiego ruchu oporu (Résistance), był już dwukrotnie zaocznie sądzony we Francji i dwukrotnie skazany na śmierć.

Ekstradycja Klausa Barbiego z Boliwii do Francji, która doszła wreszcie do skutku po wielu latach zabiegów Paryża, wywołała wielkie zainteresowanie i poruszenie światowej opinii publicznej. Okazało się bowiem w końcu namacalnie, po raz pierwszy od czasu uprowadzenia Adolfa Eichmanna, że obecność byłych hitlerowskich zbrodniarzy wojennych w krajach Ameryki Południowej nie jest legendą konstruowaną przez ludzi żądnych sensacji, lecz uchwytną prawdą. Zaciekawienie osobą Klausa Barbiego nie było przy tym spowodowane fascynacją złem – co sugerowali niektórzy. Było to i jest raczej słuszne dążenie do uzyskania odpowiedzi na pytanie podstawowe: czy zbrodniarz tej rangi, co Klaus Barbie, podlegał w miarę upływu czasu jakiejś wewnętrznej ewolucji i czy będzie próbował inaczej spojrzeć na swoje okupacyjne czyny? Jak czuje się dzisiaj w świecie zagrożonym wprawdzie trzecią wojną, lecz mimo wszystko, utrzymującym pokój? Jak z perspektywy czasu ocenia faszyzm, niemal powszechnie dziś potępiany? Klaus Barbie, osadzony w więzieniu, lecz zdrów na ciele i umyśle, teraz może na te pytania odpowiedzieć.

Na niektóre zresztą już odpowiedział, notabene rozczarowując wszystkich, którzy spodziewali się od niego nowego spojrzenia na stare sprawy. W kwestii odpowiedzialności osobistej Barbie nie poczuwa się do żadnej winy i nie żałuje niczego. Na krótko przed aresztowaniem w La Paz, co miało miejsce 25 stycznia 1983 roku, Klaus Barbie vel Klaus Altmann Hansen udzielił wywiadu boliwijskiej gazecie „Hoy".

Czy czuje się zbrodniarzem wojennym?

– Broniłem tylko mojego narodu – odpowiedział – wtedy gdy francuski ruch oporu zabijał tysiące moich rodaków.

Czy to prawda, że był żołdakiem bez skrupułów?

– Obecny doradca prezydenta Mitterranda, Regis Debray, był w 1967 roku partyzantem w Boliwii i jest odpowiedzialny za śmierć co najmniej dwustu boliwijskich żołnierzy. W swoim czasie prezydent Barrientos musiał go unieszkodliwić. Ja także zwalczałem partyzantkę francuską, z tą tylko różnicą, że Niemcy i Francja były wtedy w stanie wojny.

Co myśli o żądaniu jego ekstradycji do Francji?

– Boliwia nie ma umowy o ekstradycji ani z Francją, ani z Niemcami Zachodnimi. Wątpię, czy prezydent Hernan Siles-Zuazo zgodzi się na wydanie mnie, chociaż dużo się o tym mówi...

Co zaś do zarzucanych mu czynów – czy się do nich przyznaje?

– Nigdy nie taiłem, że byłem majorem SS...

Stało się zatem jasne, że w sprawie swoich czynów Barbie-Altmann nie powie niczego nowego, w każdym razie tutaj, we Francji, nie będzie się nad nimi zbyt szeroko rozwodził. Wiele rzeczy trzeba więc za niego dopowiedzieć.

Klaus Barbie urodził się 25 października 1913 roku w Bad Godesberg (Północna Westfalia). O latach jego młodości istnieją skąpe tylko przekazy: był członkiem Hitlerjugend z legitymacją nr 272 284. Musiał odznaczać się wzorową nazistowską postawą, bo przyjęto go w szeregi SS, a stamtąd oddelegowano do Gestapo. W roku 1942, mając lat 29, jest już oficerem policji politycznej, z opinią „dobrego znawcy kryminalistyki i wywiadu". Pozytywne referencje jego szefów sprawiają, iż powierza mu się Referat IV (zwalczanie ruchu oporu) niezwykle ważnej placówki Gestapo i Sonderdienst (Służby Specjalnej) w okupowanym Lyonie. Jest to znaczne wyróżnienie. „Wojna jest wojną" – powie po latach przed kamerami telewizji boliwijskiej – a ja byłem dowódcą jednostki najlepszego oddziału maszyny militarnej Trzeciej Rzeszy – Gestapo i Sonderdienst". Dodał także, iż był „specjalistą wybranym osobiście przez Hitlera".

Jeśli nawet z tą osobistą decyzją Führera Barbie trochę przesadza, to faktem jest, iż placówka Gestapo w Lyonie miała pierwszorzędne znaczenie dla hitlerowskiego okupanta i obsadzano ją najsprawniejszymi ludźmi.

Dlaczego akurat Lyon, a nie Paryż? Spójrzmy na mapę Francji, a wszystko stanie się jasne. Paryż leży na północy, trudno przeto było kontrolować stąd terytoria południowe obfitujące w lasy i góry, wymarzone dla działań partyzanckich. Co więcej: po kapitulacji Francji w 1941 roku Paryż znalazł się w strefie okupowanej, podczas gdy Lyon był największym wówczas miastem tak zwanego Państwa Francuskiego, pozostającego pod kontrolą głównie kolaboranckich władz marszałka Pétaina. Mimo iż petainowcy gorliwie wykonywali rozkazy hitlerowskich rezydentów, Francuzi w nie okupowanej strefie mogli poruszać się swobodniej i skuteczniej montować ruch oporu. W 1942 roku fikcja z podziałem na Francję okupowaną i „wolną" skończyła się definitywnie, ale Gestapo w Lyonie miało w dalszym ciągu większe możliwości wypadów zarówno na północ, jak i na południe.

Historyczny paradoks sprawił, że francuska Résistance z podobnych przyczyn również wybrała Lyon na siedzibę swojej głównej kwatery. Wydawało się, że łatwiej stąd będzie montować sieci ruchu oporu, tak w kierunku północnym, jak i południowym. Niedaleka przyszłość miała wykazać, jak wielki był to błąd.

Klaus Barbie i jego ekipa wyspecjalizowana w tropieniu „przestępców" znaleźli się w sąsiedztwie Krajowej Rady Ruchu Oporu, na której czele stał Jean Moulin, wydelegowany przez generała de Gaulle'a z zadaniem zjednoczenia patriotów różnych ugrupowań i poglądów politycznych pod hasłem nieprzejednanej walki z okupantem. Lyon liczył wtedy 700 tysięcy mieszkańców, był największym po Paryżu miastem francuskim, lecz mimo wszystko pozostawał ośrodkiem prowincjonalnym, gdzie schwytanie podejrzanych o antyhitlerowski „bandytyzm" było znacznie łatwiejsze niż w wielomilionowej aglomeracji paryskiej. Za ten błąd w strategii konspiracyjnej Jean Moulin musiał zapłacić własnym życiem – ale o tym później...

Główna kwatera lyońskiego Gestapo znajdowała się w hotelu „Terminus". Mieściło się tam kilka wydziałów tej policji, jednakże większą część budynku zajmował Referat IV, najważniejszy. Nad nim właśnie objął dowództwo Klaus Barbie. Nazwa hotelu – „Terminus" – już wtedy była synonimem grozy hitlerowskiego terroru, ale dopiero Barbie sprawił, iż stała się symbolem piekła. Referat IV używał wszystkich środków prowadzących do neutralizacji francuskiego ruchu oporu: od penetracji oddziałów podziemnych przez własnych konfidentów, aż po najwymyślniejsze tortury aresztowanych, kończące się zazwyczaj egzekucjami pod murem fortu Montluc.

Trudno jest dzisiaj znaleźć świadków osobistego wkładu Klausa Barbiego w dzieło ludobójstwa; w większości kończyli oni życie po kilku przesłuchaniach w hotelu „Terminus”. Inni wysyłani byli do obozów koncentracyjnych, gdzie spotykał ich ten sam los. Niektórym jednak udało się przetrwać. Gottlieb Fuchs, na przykład, przeżył dzięki temu, że uwięziony jako „bezpaństwowy Żyd” pełnił w Referacie IV funkcję tłumacza. Utkwił mu na zawsze w pamięci następujący obraz: w pokoju przesłuchań dwóch podoficerów Gestapo zanurza nagiego więźnia na przemian w dwóch zbiornikach – jeden napełniony jest wrzątkiem, drugi lodowatą wodą. Śmieją się przy tym, jak gdyby to była beztroska zabawa. Siedzący obok za biurkiem Klaus Barbie nie śmieje się, widać jednak, że oglądanie tej „zabawy” sprawia mu sadystyczną przyjemność...

Po latach Barbie powiedział w jednym ze swoich rozlicznych wywiadów dla prasy boliwijskiej: „Nigdy nikogo nie zabiłem”. Być może to prawda, jeśli miał na myśli morderstwo własnymi rękami... Do Lyonu zjechał jako strateg penetracji francuskiego podziemia i trzeba przyznać, że na tym polu odnosił znaczne sukcesy, głównie dzięki umiejętnej współpracy z miejscowymi kolaborantami, których nie brakowało. Na krótko przed swoim aresztowaniem Jean Moulin napisał w raporcie do generała de Gaulle’a:

„Jestem teraz poszukiwany zarówno przez Gestapo, jak i przez Vichy [Vichy – skrótowe określenie kolaboranckiego rządu marszałka Pétaina, który to „rząd” miał swoją siedzibę w miejscowości uzdrowiskowej o tej właśnie nazwie – przyp. M.A.]. Gestapo, dzięki metodom działania niektórych elementów ruchu oporu, wie wszystko o mojej osobie i o mojej działalności”.

Owe zagadkowe słowa „niektóre elementy” będą analizowane znacznie później, już po wojnie, gdy przed sądami staną pierwsi Francuzi oskarżeni o kolaborację z lyońskim Gestapo.

Aresztowanie Jeana Moulina (pseudonim „Max”), szefa Krajowej Rady Ruchu Oporu i reprezentanta generała de Gaulle’a w okupowanej Francji, było niewątpliwie największym sukcesem Klausa Barbiego w jego złowieszczej, policyjnej karierze. Stało

się to 21 czerwca 1943 roku, w dzielnicy Caluire na przedmieściu Lyonu. Na plac Castellane zajechał konwój samochodów, z których wysypali się uzbrojeni po zęby gestapowcy. Błyskawicznie otoczyli willę należącą do doktora Frederica Dugoujona i z okrzykami „ręce do góry, tu policja niemiecka!” – wtargnęli do środka. Obezwładnili zebranych tam ośmiu członków Rady Ruchu Oporu, a wśród nich „Maxa”.

Tylko jednemu z obecnych na tym konspiracyjnym zebraniu udało się zbiec. Był nim młody oficer organizacji podziemnej René Hardy, na którego później padnie podejrzenie o zdradę... Według zeznań świadków tego wydarzenia, głównie policjantów francuskich, akcją w Caluire dowodził osobiście dobrze im znany SS-Obersturmführer Klaus Barbie, mały ruchliwy człowieczek z pistoletem w ręku.

Natychmiast przystąpiono do przesłuchiwania aresztowanych. Żaden z nich nie wyszedł żywy z hotelu „Terminus”. Barbie oczywiście „zajmował się” przede wszystkim „Maxem”. Jęki torturowanych słychać było na zewnątrz budynku. Wspomniany Gottlieb Fuchs pamięta, że w trakcie przesłuchań „Maxa” wpadł do swojego biura podniecony Klaus Barbie krzycząc: „Jeżeli ten pies do jutra nie zdechnie – sam go zakatrupię!” Czy stało się tak rzeczywiście, nie wiadomo. „Max” zniknął, jak gdyby rozpłynął się w powietrzu, nigdy nawet nie znaleziono jego zwłok. Barbie natomiast otrzymał pochwałę od swego najwyższego zwierzchnika, prawdopodobnie samego Himmlera, któremu o ujęciu „Maxa” zameldował 29 czerwca naczelny dowódca Sicherheitsdienst (policyjnej Służby Specjalnej) – Kaltenbrunner. Himmler z pewnością nie szczędził Barbiemu wyrazów uznania, był to bowiem wielki gestapowski triumf z czasów wojny, z którym porównać można tylko aresztowanie w Warszawie generała Grota-Roweckiego.

Opromieniony policyjną glorią Barbie ze zdwojoną energią przystępuje do niszczenia „odwiecznych wrogów Trzeciej Rzeszy”, to znaczy bojowników ruchu oporu i Żydów. Ci ostatni odwieczni wrogowie mają od 3 do 13 lat. Żydowski Dom Dziecka „Colonie Enfant” w Izieu otaczają gestapowskie komanda z Lyonu. Na rozkaz majora Barbiego do bydlęcych wagonów załado-

wano 44 dzieci i 10 ich opiekunów. Kierunek transportu: obóz przejściowy w Drancy, a później kacety położone w Rzeszy i na terytorium okupowanej Polski. Jest to już kwiecień 1944 roku, a więc początek dogorywania hitlerowskich Niemiec, które odnoszą porażki na wszystkich frontach, a zwłaszcza na wschodnim. Logika nakazywałaby temu „pilnemu i rozważnemu oficerowi" (tak Barbiego określił Himmler w raporcie przedłożonym Hitlerowi) złagodzenie kursu, choćby w obawie przed jutrzejszą odpowiedzialnością. Ale logika nazistowskich zbrodniarzy jest specyficzna: każe im wzmóc dzieło zagłady. 11 sierpnia 1944 roku, kiedy alianci w zwycięskim marszu zbliżają się do Paryża. Klaus Barbie nie chce nic o tym wiedzieć i „rozważnie" kieruje do obozu w Ravensbrück i Auschwitz ostatni transport Francuzów i francuskich Żydów – 650 osób. Po czym pakuje walizki i wyjeżdża z Lyonu do Baden-Baden, gdzie będzie kurował się z dolegliwości nabytych z przepracowania.

Adwokat francuski Serge Klarsfeld i jego żona Beata poświęcili się walce o to, by zbrodnie popełnione w imię ideologii hitlerowskiej nie poszły w niepamięć. Serge jest francuskim Żydem (jego ojciec zginął w Auschwitz), Beata – „Niemką pochodzenia aryjskiego". W swoim czasie ich informatorzy deptali po piętach doktorowi Mengelemu, teraz, w 1971 roku, ustalili, że przebywający w Boliwii niejaki Altmann to Klaus Barbie, „kat z Lyonu". Udało im się odtworzyć jego dzieje w pierwszych powojennych miesiącach.

Gdy Amerykanie wkroczyli do zachodniej strefy Niemiec, Klaus Barbie był funkcjonariuszem policji kryminalnej w Dortmundzie. Po rozpoznaniu, wylądował w obozie internowanych w Oberursel, jednakże na krótko. Wyciągnęli go stamtąd... sami Amerykanie, a ściślej mówiąc – ludzie z CIC. Rozpoczął się bowiem okres napięcia zwany zimną wojną i gestapowcy w rodzaju Barbiego mieli w amerykańskich planach wyznaczone dla siebie role, wcale niedrugorzędne.

Altmann-Barbie nie był pierwszym gestapowcem i zbrodniarzem wojennym zaangażowanym do służby w CIC. Dla Amerykanów pracował już Hans Dietrich Ernst – były szef Gestapo

w Angers (czterokrotnie skazany zaocznie na śmierć przez sądy francuskie). Obaj, Barbie i Ernst, uchodzili za znakomitych ekspertów od zwalczania „komunistycznych agentów", zwłaszcza francuskich. Barbie otrzymał ponadto rojącą się od superlatywów rekomendację od niejakiego Kurta Merka, do niedawna zagorzałego hitlerowca, a obecnie współpracownika amerykańskiego kontrwywiadu.

Francja niepokoi Amerykanów. Dzieją się tam rzeczy niewytłumaczalne: premier Charles de Gaulle dobiera sobie wicepremiera komunistę – Maurice'a Thoreza. Partia komunistyczna działa legalnie, rosną jej wpływy. Do czego to dojdzie? „Ekspansja komunistyczna" z Francji zagrozi niebawem Amerykanom i Anglikom okupującym zachodnie strefy Niemiec, bo przecież lewica francuska znajdzie oparcie w środowiskach komunistycznych byłej Rzeszy! Agent nr X-3054-IV-K (Altmann-Barbie) otrzymuje zadanie penetracji środowiska komunistów w Augsburgu, no i oczywiście we Francji.

Rozeznanie sytuacji politycznej Paryża przez Amerykanów było jednak całkowicie błędne. Generał de Gaulle nie kochał komunistów i jeśli wicepremierostwo powierzył Thorezowi, to tylko po to, by wyrazić uznanie komunistycznym bojownikom ruchu oporu i – co ważniejsze – by obserwować z bliska sekretarza generalnego FPK i w miarę możliwości nim kierować.

Z amerykańskiej naiwności politycznej Altmann korzysta nader umiejętnie. Jego pozycja w CIC umocniła się na tyle, iż nie musi ukrywać, że jest „rzeźnikiem z Lyonu" i naprawdę nazywa się Klaus Barbie. Trasy jego podróży w charakterze amerykańskiego szpiega nie są jeszcze dokładnie znane. Był ponoć kilkakrotnie we Francji, jeździł nawet do Rumunii, gdzie penetrował grupy pochodzenia niemieckiego (w okręgu Braszów). Trudne chwile zaczęły się dla niego w roku 1946, kiedy to w Kassel ukradł olbrzymiej wartości biżuterię. Niemiecka policja kryminalna nieświadoma, z kim ma do czynienia, przystąpiła do przesłuchań. CIC zachowała się jednak przytomnie: skradzioną biżuterię zwróciła właścicielowi, a sprawa została zatuszowana.

Nie dla wszystkich. Agenci wywiadu francuskiego, działający

wówczas na terenie Niemiec Zachodnich, nie byli amatorami. Rozszyfrowali bez większego trudu, że niejaki Altmann to właśnie Barbie. We Francji rozpoczęły się wtedy procesy jawnych kolaborantów i utajonych zdrajców. Przed sądem stanął po raz pierwszy (rok 1947) René Hardy, ów młody człowiek podejrzany o naprowadzenie Barbiego na ślad Jeana Moulina – „Maxa". Francuski sędzia śledczy wyprawił do Niemiec Zachodnich komisarza służby bezpieczeństwa Luisa Bibesa, aby przesłuchał Altmanna-Barbiego, bo przecież to on wiedział najlepiej, kto sypnął „Maxa".

Bibes wspomina tę swoją „delegację" z wielkim zażenowaniem. Zjawił się w głównej kwaterze CIC w okupowanych Niemczech, mając na piśmie zestaw 240 pytań do Klausa Barbiego.

– Moje zadanie było bardzo delikatne – mówi Bibes. – Oficerowie amerykańscy byli obecni przez cały czas, sprawdzali każde pytanie, jakie miałem mu zadać, i nie wolno mi było postawić ani jednego pytania nie uzyskawszy wcześniej ich zgody.

Cenzorem pytań był porucznik White Way.

– Mogę potwierdzić – mówi Bibes – że kiedy go spotkałem, Barbie był mocno osłanianym agentem amerykańskim, zaangażowanym w działalność szpiegowską na rzecz CIC. Każdy zorientowany w sprawie wiedział, że szpieguje na rzecz Amerykanów. Władze amerykańskie nie podejmowały żadnej próby, żeby to ukryć.

Bibesa, który zażądał ekstradycji Klausa Barbiego do Francji, odprawiono z kwitkiem. René Hardy został uniewinniony z braku dowodów zdrady i sprawa Barbiego poszła na razie w niepamięć. W 1950 roku Hardy ponownie stanął przed sądem, oskarżony raz jeszcze o wydanie „Maxa". Raz jeszcze uniewinniono go, a Wysoki Komisarz USA w amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec, John J. McCloy, oświadczył, iż nie może dostarczyć Barbiego na rozprawę sądową we Francji, ponieważ... nie zna jego adresu. Mogło to być zgodne z prawdą. 4 maja 1950 roku odbyło się bowiem w Stuttgarcie supertajne zebranie kierownictwa CIC, na którym postanowiono, że Barbie nadal pozostanie w służbie amerykańskiego kontrwywiadu, tyle tylko że władze polityczne nie powinny nic o tym wiedzieć.

Prawdziwa czy też odgórnie akceptowana nielojalność CIC wobec swoich władz nie położyła kresu francusko-amerykańskiej wojnie dyplomatycznej o ekstradycję Barbiego. Ambasador Francji w Waszyngtonie podkreślał ciągle w swoich notach, że Barbie figuruje pod numerem 239 na alianckiej liście zbrodniarzy wojennych numer 1, a więc na tej liście, którą Amerykanie sami podpisali.

Strona amerykańska zrezygnowała już wtedy, jak się wydaje, z zaprzeczania, że Altmann to nikt inny jak Barbie, i uderzyła w nowe nuty.

– Barbie – sugerowano – jest potrzebny, ponieważ wie dużo nie tylko o służbach specjalnych aliantów, lecz także o własnych rodakach, a ci właśnie szykują nazistowską wojnę powstańczą organizowaną przez hitlerowskie podziemie, zwane Wehrwolfem...

Gdy argument ten nie trafił do przekonania rozdrażnionym Francuzom – niebawem zresztą okazał się pozbawiony podstaw – Amerykanie wysunęli następny, bardziej już trafny. Edward Darbringhaus, szef jednostki CIC w Niemczech Zachodnich (obecnie profesor na uniwersytecie Wayne w Detroit), oświadczył, że płaci Barbiemu 1700 dolarów miesięcznie, ponieważ ma on duże doświadczenie w działalności szpiegowskiej przeciwko Rosjanom i partiom komunistycznym w Europie. Nie rozwiązywało to jednak sprawy. Barbie stawał się coraz bardziej kłopotliwy. Musiał zniknąć z Niemiec i zniknął.

Objawił się w marcu 1951 roku we Włoszech. Wraz z żoną i synem zamieszkał w hotelu „Nazionale" w Genui, legitymując się w recepcji „dokumentem podróży" wystawionym przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża na nazwisko Klausa Altmanna, mechanika, urodzonego w miejscowości Kronstadt (nazwa całkowicie fikcyjna, bo taka miejscowość w Niemczech nie istnieje, jest tylko Kronsztad w ZSRR). W jaki sposób dokument ten uzyskał?

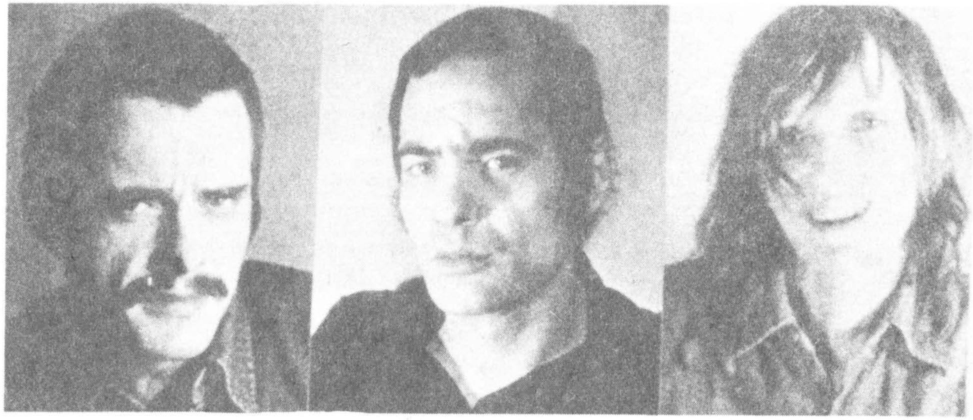
Tym razem nie bezpośrednio z rąk „brunatnego biskupa" Hudala, lecz jego przyjaciela – osobistego i ideologicznego – chorwackiego księdza Stefana Draganowića, jednego z głównych

współorganizatorów „szczurzej linii”, zwanej także „drogą klasztorów”. Otrzymał ów dokument bez większej fatygi dzięki referencjom... amerykańskiego kontrwywiadu, który, jak się okazało, z usług Draganowića także korzystał. Współpraca taka wydawała się wtedy czymś nieprawdopodobnym, a przecież była faktem. W 32 lata później jezuita Robert A. Grahams, wybitny ekspert polityki Watykanu w okresie drugiej wojny światowej, opublikował na łamach prasy włoskiej fragment raportu CIC, znajdujący się w jego posiadaniu.

„Ojciec Draganowić jest nam znany i zakwalifikowany w naszych aktach jako faszysta i zbrodniarz wojenny [z czasów działalności w Chorwacji – M.A.], utrzymujący kontakty z ludźmi tego samego pokroju. Uważamy jednak, że przekazanie uciekiniera do jego organizacji pomocy jest zgodne z naszym demokratycznym sposobem myślenia”.

Osobliwy to sposób myślenia, tak w stosunku do zbrodniarza Barbiego, jak i jego włoskiego opiekuna – zbrodniarza Draganowića! Otoczony taką opieką „Altmann, mechanik z Kronstadtu”, nie musiał się niczego obawiać i spokojnie oczekiwał przez dziesięć dni na statek, który miał go zabrać wraz z rodziną do Ameryki Południowej. Tak też się stało. Ojciec Rocque Romano, franciszkanin, który z ramienia Draganowića opiekował się „uchodźcą”, ubolewał tylko, że statek argentyński „Corrientes” był przepełniony i Altmann-Barbie musiał płynąć w kabinie III klasy.

Niebawem rodzina Altmannów znalazła się w Buenos Aires, gdzie Klaus nawiązał od razu kontakty ze środowiskiem niemieckich emigrantów. Wytworzyła się tam sytuacja nieco groteskowa, godna odnotowania. Po pierwsze, Barbie nie usiłował tak jak wielu zbiegłych gestapowców wkręcić się do argentyńskiej policji. W przeciwieństwie do swych kolegów oświadczył, że będzie żył z pracy rąk i uruchomił dobrze prosperujący tartak. Po drugie, miejscowa grupa niemiecka usilnie mu w interesach pomagała w przekonaniu, iż jest to nie Barbie, lecz Danecker, szef sekcji antyżydowskiej w Gestapo także poszukiwany w Europie zbrodniarz wojenny. Barbie niczego nie dementował i... z pomocy korzystał.

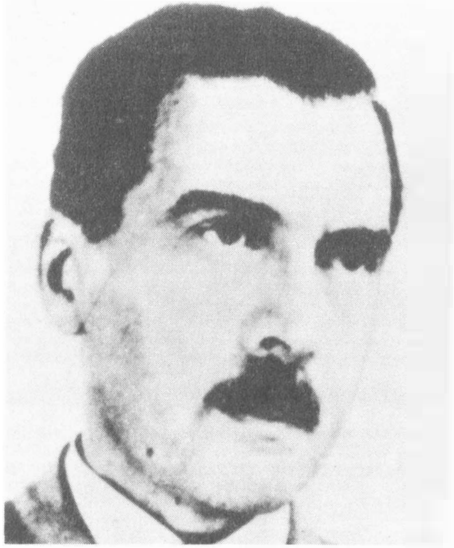


Ofiary nie wyjaśnionej śmierci w więzieniu Stammheim: Jan Carl Raspe, Andreas Baader, Gudrun Ensslin.



Policja i specjalne oddziały strzegą osobistości politycznych i gospodarczych w RFN.



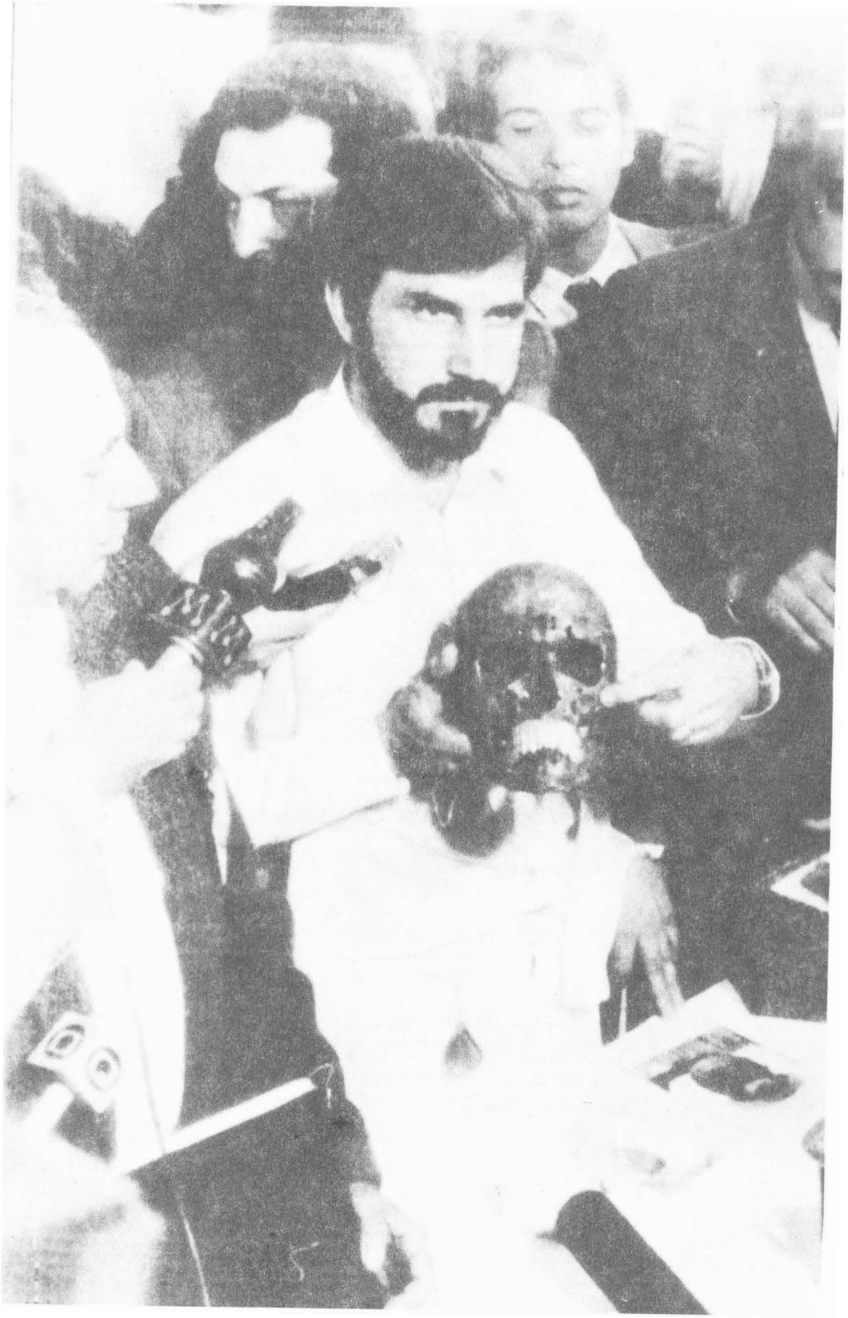


Josef Mengele w okresie służby w Auschwitz

... i po wojnie – w Ameryce Południowej.



Josef Mengele z Liselotte Bossert i dwójką jej dzieci na krótko przed domniemaną śmiercią.



Szczątki ekshumowanych zwłok Josefa Mengele (?)



Szczątki helikopterów z niefortunnego desantu.



Irański prokurator ajatollah Chalchali prezentuje na konferencji prasowej amerykański sprzęt desantowy.





Ostatnie zdjęcie Jeana Moulina zamordowanego przez „rzeźnika z Lyonu”.



Barbie vel Altmann w czasie pobytu w Boliwii.

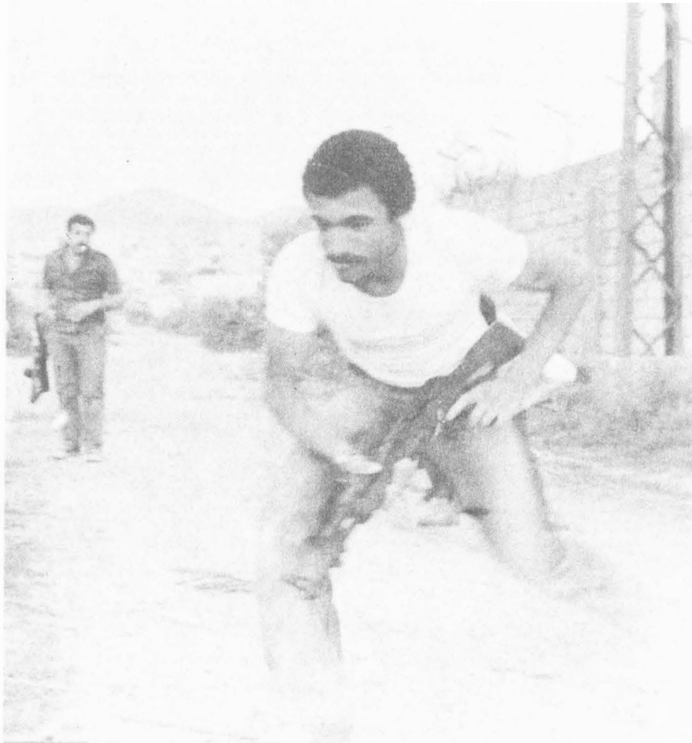


Rok 1987 – Barbie przed sądem w Lyonie



Trwa wojna domowa w Libanie.

Milicjant palestyński broni wejścia do obozu uchodźców.



Niedobitki Palestyńczyków opuszczają spacyfikowany obóz Szatila.

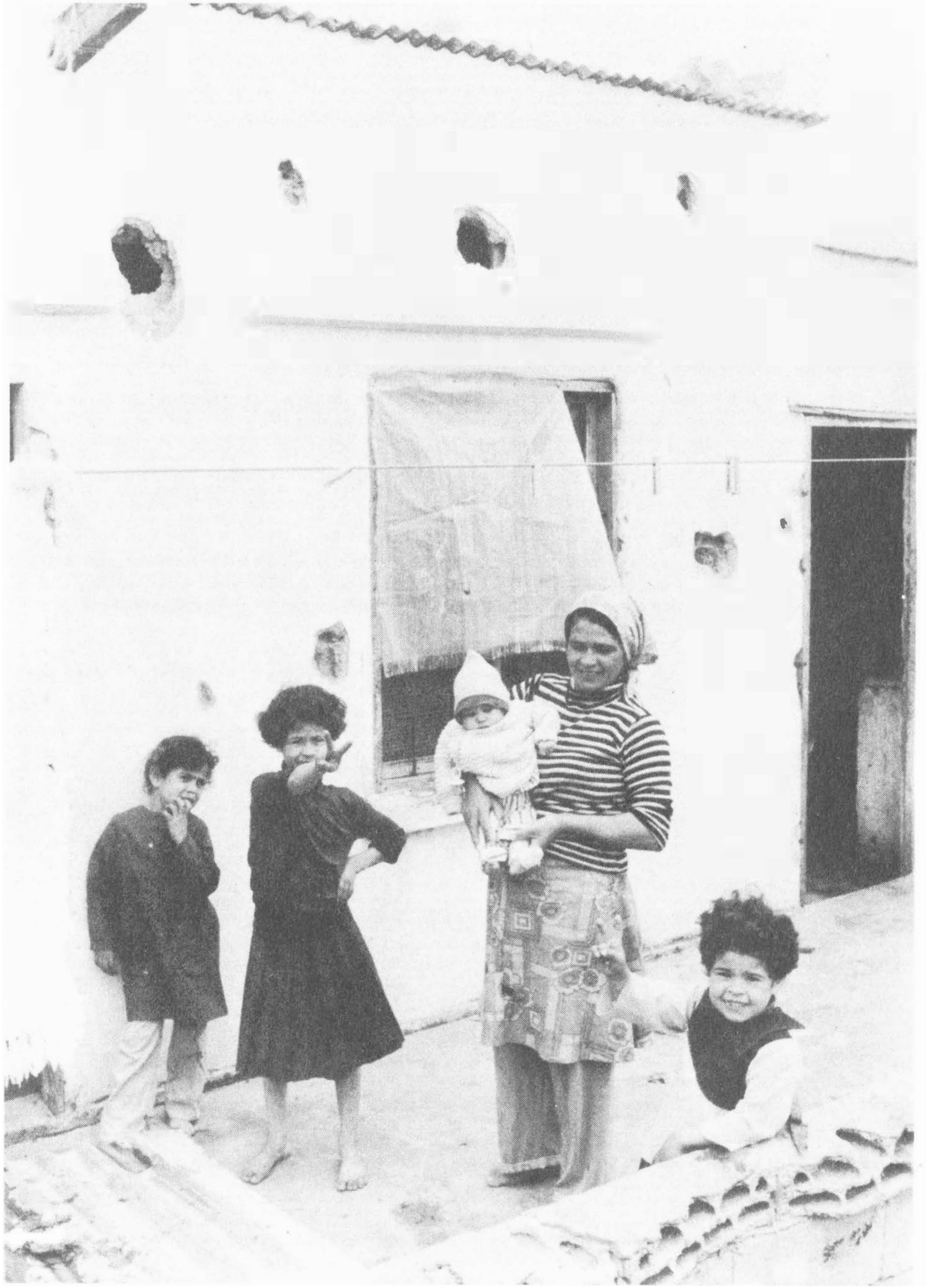




Bejrut. Ciężarówki z żywnością i lekami dla palestyńskich uchodźców.

Pracownicy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ratują rannych Palestyńczyków.





W obozie uchodźców palestyńskich nędza i beznadziejność.



Żołnierze argentyńscy wyruszają na Falklandy – Malwiny.

Oddział argentyński przed atakiem.



Kolejne oddziały argentyńskie przybywają na Falklandy-Malwiny.

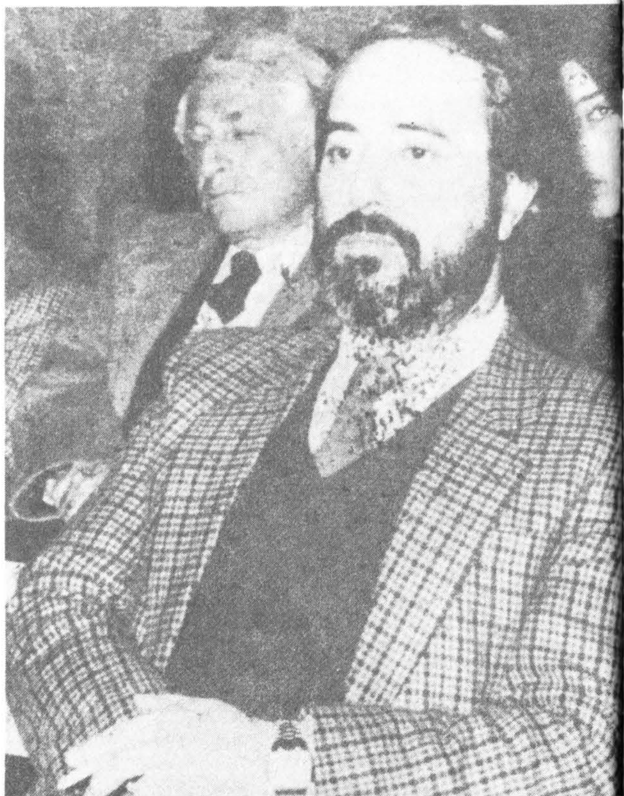


Flaga brytyjska znów na Falklandach.





Palermo. Atak policji na podziemną kryjówkę mafii.



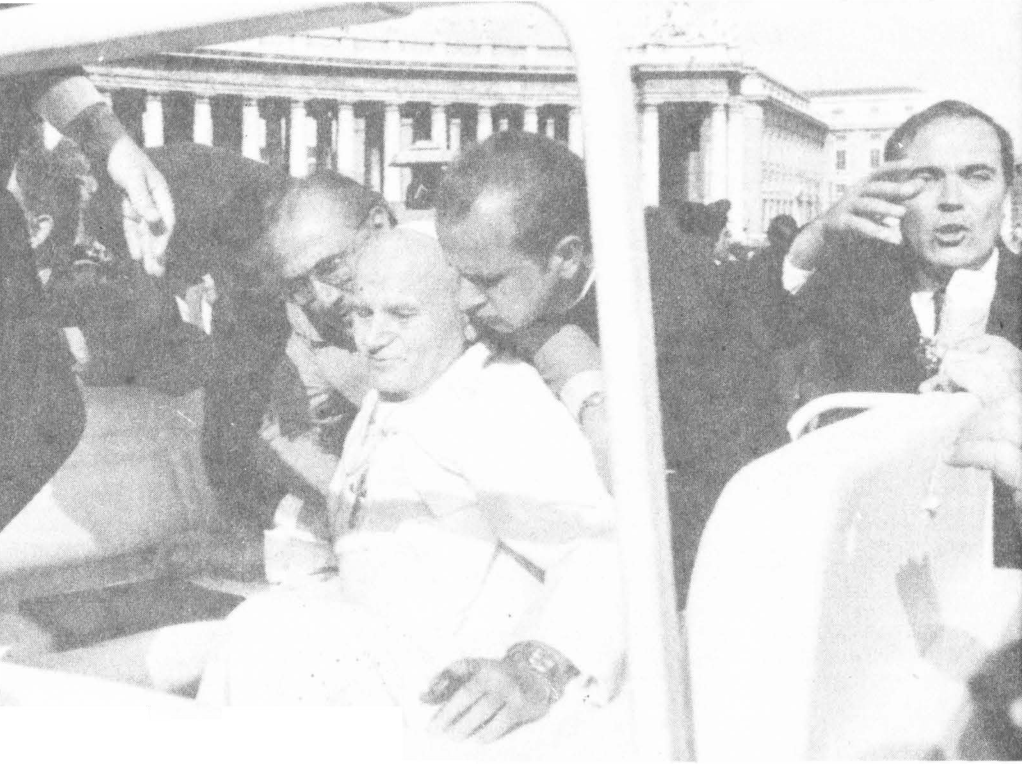
Pogromca mafii sędzia Giovanni Falcone.



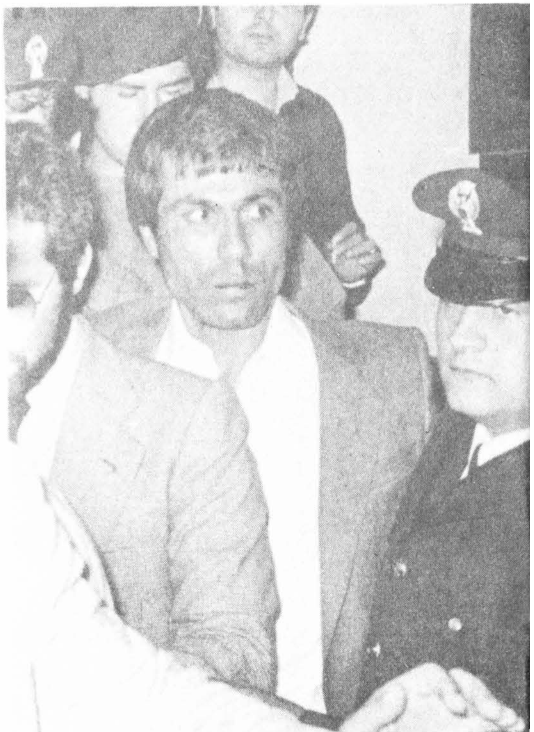
Tommaso Buscetta – pierwszy szef mafijny, który zaczął sypać.

Luciano Liggio przed sądem w Palermo w roku 1985.





13 maja 1981 r. – Jan Paweł II ugodzony kulami tureckiego zamachowca.



Zamachowiec Ali Agca ujęty na miejscu zbrodni.

Nie jest dostatecznie wyjaśnione, dlaczego w 1952 roku porzucił swoje nieźle prosperujące w Argentynie przedsiębiorstwo i przeniósł się do Boliwii. Wspomniani już małżonkowie Klarsfeld twierdzą, że wyjechał wraz z grupą chorwackich faszystów, którzy otrzymali w La Paz ofertę pracy w policji politycznej. Za ich pośrednictwem i on taką propozycję dostał, bardzo konkretną, bo w charakterze specjalisty od zakładania podsłuchów. Zdaniem Klarsfeldów zatrudniono go tym razem bez pomocy amerykańskich służb specjalnych. Może było i tak, choć inna wersja głosi, iż został on w Buenos Aires rozpoznany i właśnie Amerykanie doradzili mu przeprowadzkę do Boliwii. Tak czy inaczej, w tym to kraju przeżył złoty okres swojej egzystencji.

W La Paz, tej najwyżej położonej stolicy świata (na wysokości prawie 4000 m), żyje się niełatwo, zwłaszcza „gringom", czyli Amerykanom z Północy, no i oczywiście Europejczykom. Dostają zawrotów głowy, mdleją, poruszają się jak przysłowiowe muchy w smole. Żadna, nawet najlepsza na świecie drużyna piłkarska nie wygrałaby tutaj meczu z Boliwią. La Paz jest znośnym miejscem zamieszkania wyłącznie dla Boliwijczyków, a jednak Klaus Barbie osiedlił się właśnie tu. Dlaczego? Nie wiadomo.

W La Paz żyło się niełatwo także i z innych względów: był to okres wielkich napięć społecznych i politycznych, okres zamieszek i starć ulicznych – normalnych zresztą w tym kraju, w którym w ciągu 150 lat jego niepodległego istnienia dokonano 190 zamachów stanu. Władzę uchwycił teraz Ruch Nacjonalistyczno-Rewolucyjny (MNR) zapowiadając likwidację latyfundiów i stosunków feudalnych na wsi, nacjonalizację kopalń, reformę rolną – słowem zmiany, które przerażały reakcjonistów, zwłaszcza tych usadowionych w armii i skłonnych do zbrojnego oporu. Z kolei proletariat wiejski i miejski niezadowolony z wolnego tempa wprowadzania w życie tych reform robił swoje: samowolnie parcelowano latyfundia i zajmowano kopalnie cyny. Parcelowało się wówczas nie tylko ziemię, ale również budynki, magazyny, stada bydła. Słowem, bałagan i anarchia osiągnęły apogeum.

Pierwsze kroki Barbiego na boliwijskiej ziemi nie są znane, można jednak przyjąć, że stronił od polityki, przynajmniej tej

„wielkiej". Rewolucyjne, jak by nie było, poczynania ówczesnego rządu na pewno nie wzbudzały zachwytu byłego nazisty, dezorganizacja zaś i anarchia musiały go drażnić, nie zapomniał bowiem niemieckiego starego hasła „Ordnung muss sein" (porządek musi być!). Prawdopodobnie korzystając z zamętu, robił jakieś ciemne interesy i przygotowywał się do dużego skoku, którego dokonał wreszcie w roku 1957. Wtedy to, po uzyskaniu obywatelstwa boliwijskiego, założył towarzystwo „Transmaritima Boliviana", w którym rząd miał 51% udziałów. Cel działalności przedsiębiorstwa był niebagatelny: miało ono rozwijać handel zagraniczny Boliwii pozbawionej dostępu do morza od czasu przegranej wojny z Chile.

A więc, zbrodniarz wojenny znaczącym biznesmenem! Jednakże Barbie niedługo utrzymał się w tej nowej roli. Niebawem oskarżony został o fałszerstwo oraz defraudację 10 000 dolarów i powędrował do więzienia. Wypuszczono go wprawdzie po kilku tygodniach, ale opinia fałszerza i krętacza towarzyszyła mu aż do roku 1971, kiedy to rządy w Boliwii objął generał Hugo Banzer i kazał uwolnić Barbiego od winy i kary...

Wyrok uniewinniający Altmanna-Barbiego hucznie oblano w tawernie „Bavaria" w Santa Cruz. Nikt nie dziwił się tam łaskawości nowego prezydenta, wszystko wszystkim było wiadome. To przecież „grupa Altmanna", a inaczej mówiąc – dowodzona przez niego banda byłych hitlerowskich zbrodniarzy, sfinansowała i zorganizowała zamach stanu, dzięki któremu generał Banzer został szefem państwa.

Hugo Banzer Suarez, Niemiec z pochodzenia, wielbiciel Hitlera i jego metod rządzenia. Faszystowskie ambicje Banzera kosztowały życie ponad 1000 osób, poległych podczas trzydniowych walk o władzę w sierpniu 1971 roku...

Warto przyjrzeć się bliżej tawernie „Bavaria" i ludziom, którzy tam bywali. Urządzona w bawarskim stylu knajpa, ściany miała wytapetowane flagami ze swastyką i afiszami „z epoki". Właścicielem był niejaki Joaquim Fiebelkorn, były najemnik z Legii Cudzoziemskiej, znany w Boliwii kolekcjoner hitlerowskich mundurów. Wokół niego zasiadali przy kuflach piwa byli hitlerowcy,

poszukiwani za zbrodnie wojenne: Manfred Kuhlmann, Heinz Lauer, Hans Landowski, Franz Josef Böfle, Manfred Kanter, Kay Gwinner (Niemiec chilijski), Hans Stellfeld, Carsten Vollmer, Wolfgang Walterkirche. Czasem wpadał także na drinka Jean Leclerc, Francuz, były członek OAS, teraz handlarz narkotykami. Bywał też niekiedy Elio Ciolini, osobnik nieokreślonej narodowości i nieokreślonego zawodu.

W rocznice dawnych hitlerowskich świąt bywalcy przychodzili w mundurach SS, wypijali niezliczone ilości piwa, śpiewali „aryjskie" pieśni. Cała ta dzielna grupka miała się znakomicie. W zamian za pomoc w zamachu stanu banzerowskie władze pozwalały im spokojnie uprawiać handel kokainą, przemycać broń i robić temu podobne, korzystne interesy na wielką skalę.

Klaus Barbie – faktyczny szef tej bandy – rzadko tu bywał. Za czasów Banzera stał się pierwszoplanową figurą polityczną, trzymał się więc od dawnych współtowarzyszy z daleka – tak mu nakazywał jego nowy status. Mianowany doradcą prezydenta do spraw bezpieczeństwa i obrony przebywał raz w Cochabamba, gdzie miał luksusową rezydencję, innym razem w apartamentach w La Paz, wreszcie w swojej hacjendzie niedaleko Santa Cruz. Przyjmował polityków, przemysłowców, dziennikarzy, hojnie sypał pieniędzmi, których mu nie brakowało (oficjalnie był właścicielem przedsiębiorstwa budowlanego i firmy transportowej, nieoficjalnie – banda z „Bavarii" wzmacniała go zyskami z handlu kokainą). Otrzymał paszport dyplomatyczny, co pozwoliło mu jeździć do Europy i zawierać tam kontrakty na dostawy sprzętu wojskowego. Osobliwy był to sprzęt: w Szwajcarii zakupił na przykład 11 czołgów, które firma MOWAG polecała jako „szczególnie przydatne dla utrzymania porządku w ośrodkach miejskich"...

Złoty okres boliwijski trwał. Barbie nie przejął się wcale, gdy w tym właśnie czasie Serge i Beata Klarsfeld dostarczyli władzom Francji i RFN niezbite dowody, że Klaus Altmann Hansen to Klaus Barbie, „rzeźnik z Lyonu". Francuski wniosek o ekstradycję zbrodniarza złożony w 1972 roku został przez Banzera oczywiście odrzucony. Argumenty La Paz były następujące: Boliwia nie podpisywała z Francją układu o ekstradycji przestępców, prze-

stępstwa zarzucane Barbiemu, to znaczy zbrodnie wojenne, nie są objęte boliwijskim prawem karnym i wreszcie, nawet gdyby Barbie był zbrodniarzem – po 20 latach czyny tego rodzaju ulegają przedawnieniu.

Banzer odszedł, ale jego umundurowani następcy nie zmienili zdania. Barbie ciągle był nietykalny. Gdy w 1981 roku dwaj amerykańscy dziennikarze z tygodnika „Newsweek" jego zdaniem, zbyt natrętnie napastowali go o udzielenie wywiadu, zadzwonił do policji politycznej i spowodował ich aresztowanie. W udzielonym z kolei wywiadzie dla zachodnioniemieckiego tygodnika „Stern" powiedział:

– Nie lubię, gdy zakłóca mi się spokój. Cieszę się tutaj bardzo dobrą reputacją i za każdym razem, kiedy wojskowi potrzebują pomocy, zwracają się do mnie.

Kres „złotego wygnania" Klausa Barbiego nastąpił w roku 1982, kiedy to w Boliwii i we Francji równocześnie nastąpiły zmiany polityczne o zasadniczym znaczeniu. W La Paz wojskowi doszli do wniosku, że nie poradzą sobie z ekonomiczno-społecznymi problemami kraju i przekazali władzę cywilom; prezydentem został Hernan Siles Zuazo, a dotychczasowi protektorzy Barbiego – generałowie Garcia Meza i Arce Gomez – uciekli do Argentyny. We Francji w wyborach prezydenckich zwyciężył socjalista François Mitterrand, a u jego boku pojawił się w charakterze doradcy Regis Debray, ten sam, który w 1967 roku walczył w partyzantce Che Guevary, dostał się do boliwijskiego więzienia, gdzie poznał aż nazbyt dobrze metody działania tamtejszej policji politycznej, szkolonej efektywnie przez Klausa Barbiego. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że kolejny wniosek o ekstradycję „kata z Lyonu" zostanie uwzględniony.

Czy Barbie był tego świadomy? W jego dotychczasowym życiu istniało wiele momentów nie wyjaśnionych, tajemniczych; należy do nich finał jego pobytu w Boliwii. Dlaczego nie uciekł z La Paz, gdy dowiedział się, że decyzja o jego ekstradycji jest już tylko kwestią dni? Miał przecież takie możliwości: jego siatka paramilitarno-kryminalna, z kwaterą główną w knajpie „Bavaria", funkcjonowała nadal sprawnie i mogła go w każdej chwili przerzucić przez granicę, dostarczyć do dowolnie wybranego punktu w Ameryce Południowej, a jeśli trzeba i dalej.

Niektórzy utrzymują, że został na miejscu ze względów rodzinnych. „Kat z Lyonu" był podobno człowiekiem „rodzinnym" i nade wszystko kochał swoich bliskich, a teraz właśnie jego żona Regina, chora na raka, musiała zostać w La Paz, gdzie poddawała się leczeniu; nie chciał więc jej opuścić.

Ta sentymentalna wersja sprzeczna jest jednak z faktami. W końcu 1982 roku żona Barbiego już nie żyła: umarła w lecie tegoż roku i została pogrzebana na niemieckim cmentarzu w La Paz. Rok wcześniej, w katastrofie samolotowej zginął jego syn. Barbie nie miał więc już żadnej rodziny. Cóż zatem trzymało go w Boliwii?

Można przypuszczać, że wierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę, w swoją wieloletnią nietykalność, zachowywał się jak Zygfryd ze starogermańskich sag, pewien, że żadna strzała wroga go nie dosięgnie. Prowokował nawet los: gdy w La Paz rozeszły się wieści, że oba wnioski o ekstradycję, Francji i RFN, zostały uwzględnione i Barbie uciekł z Boliwii – ostentacyjnie przechadzał się aleją Prado, głównym traktem spacerowym stolicy, by udowodnić, iż jest na miejscu i niczego się nie boi. A poza tym...

Poza tym ciężko jest rozstawać się z życiem łatwym i przyjemnym. Jego spacery po Prado były tylko demonstracją. Od pewnego czasu mieszkał na hacjendzie pod Santa Cruz, należącej do jego szwagierki, gdzie, jak donosiła prasa, „nadal skutecznie funkcjonowała niemiecka organizacja paramilitarna i mafia handlarzy narkotyków".

Został aresztowany przez policję boliwijską 25 stycznia 1983 roku pod zarzutem, wydawałoby się, dawno już zapomnianym: przedsiębiorstwo „Comibol" złożyło skargę, że Altmann-Barbie za czasów Banzera oszukał je na 10 000 dolarów. Dopiero później oświadczono mu, że zostanie przekazany do Francji jako poszukiwany od dawna „rzeźnik z Lyonu". Nie da się więc wykluczyć, że do końca w ekstradycję nie wierzył.

Osadzony w lyońskim więzieniu Klaus Barbie raz jeszcze zaskoczył opinię światową. Było dla wszystkich zagadką, w jaki

sposób i jakimi drogami tak szybko znalazł obrońcę z wyboru, i to postać szokującą – mecenasa Vergèsa?

Wybór mecenasa Vergèsa i jego zgoda na obronę „rzeźnika" to kolejna niespodzianka. Nic w życiorysie Jacquesa Vergèsa – co prawda dość powikłanym i momentami tajemniczym – nie wskazywało na to, że tak ochoczo zechce on bronić zbrodniczego hitlerowca. Zresztą niech Czytelnik osądzi sam...

Mecenas Vergès urodził się w miejscowości Ubon w Tajlandii w 1925 roku. Jego ojciec był Francuzem, pracownikiem konsulatu, matka – Wietnamką. Ma wygląd typowego „Euroazjaty", ale czuje się Francuzem, o czym świadczy jego ochotniczy zaciąg do tworzących się na początku drugiej wojny światowej gaullistowskich sił zbrojnych w Londynie. 17-letni żołnierz walczy w Algierii, Maroku, wreszcie we Francji i w Niemczech. Po demobilizacji w roku 1945 studiuje na paryskim uniwersytecie języki wschodnie, historię i prawo – trzy fakultety równocześnie. Z tego właśnie okresu datuje się jego przyjaźń z ówczesnym prezesem związku studentów – Khmerów, a późniejszym ludobójcą na miarę Hitlera (przy zachowaniu wszelkich proporcji) – Pol Potem. W 1955 roku rozpoczyna karierę adwokata, i to z miejsca w sprawie mającej we Francji posmak skandalu: broni młodą Algierkę, Dżamilę Buhired, oskarżoną o przynależność do Algierskiego Frontu Wyzwolenia Narodowego podczas osławionej „brudnej wojny". Broni ją skutecznie, uzyskując wyrok uniewinniający i – jak w kiepskiej powieści obyczajowej – żeni się z nią. Aby scementować ten związek małżeński jeszcze bardziej, Vergès przechodzi na islam i przyjmuje imię Mansur.

Proalgierskie „wybryki" Vergèsa wywołały zrozumiałą wtedy reakcję palestry Paryża: Mansur Vergès zawieszony został na rok w prawach wykonywania zawodu adwokackiego. Udał się więc do Maghrebu, gdzie podobno brał czynny udział w walce powstańczych oddziałów algierskich przeciwko Francuzom. W 1965 roku Vergès jest w Izraelu, gdzie broni przed sądami Palestyńczyków podejrzanych o terroryzm. W 1970 roku mecenas znika i nikt nie wie, gdzie był przez 8 lat: istnieją podejrzenia, iż przebywał w tym czasie w Kampuczy, u swego przyjaciela Pol

Pota, który właśnie rozpoczynał rzeź własnego narodu. Zapytywany o ten okres życia, mecenas odpowiada wymijająco:

– Nie zamierzam ubiegać się o żaden mandat deputowanego ani o urząd ministra, a zatem moją sprawą jest, jak spędzam moje lata, moje dni i noce...

Obrona rewolucjonistów, rzekomych czy też prawdziwych terrorystów, przyjaźń ze zwyrodniałymi khmerskimi lewakami – wszystko to daje się połączyć w jakąś jedną światopoglądową całość. Skąd jednak sympatia do hitleryzmu i jego tak odrażających przedstawicieli jak Klaus Barbie? Publicyści i komentatorzy prasowi nabiedzili się mocno, aby zrozumieć cokolwiek z intencji euroazjatyckiego adwokata, po czym doszli do wniosku, że nicią przewodnią wszystkich prowadzonych przez niego spraw obrończych jest systematyczne atakowanie państwa i wymiaru sprawiedliwości. Taką hipotezę wysunąć można, opierając się chociażby na jednej tylko z jego ekstrawaganckich wypowiedzi:

– Prawem jest dla mnie sprzeciwianie się prawom. Moralnością – występowanie przeciwko moralności.

Bardzo to wymowne i bardzo ciekawe dla politologa czy psychologa. Wróćmy jednak do sprawy Klausa Barbiego.

– Biorąc pod uwagę postać prawdziwą – mówi mecenas Vergès – a nie mityczną, sfabrykowaną przez rząd francuski i środki masowego przekazu, uważam, że powinnością adwokata jest jego obrona. Uważam też, że oskarżony ma prawo do obrony, a nie do jej parodii.

Zdaniem Vergèsa, zwykły oficer SS Klaus Barbie był mało znaczącą osobą, która pozostałaby nieznana, gdyby nie... I tu mecenas użył argumentów ciężkiego kalibru: Barbie dostał się pod pręgierz opinii publicznej tylko dlatego, że aresztował Jeana Moulina i kilku innych kierowników francuskiego ruchu oporu, którzy zginęli w nie wyjaśnionych dotąd okolicznościach. Jak do tego aresztowania doszło? Vergès twierdzi, że Jean Moulin został zadenuncjowany przez „konkurentów" ze sztabu ruchu oporu, a Barbiemu nie pozostawało nic innego, jak tylko dokonać aresztowania i następnie więźniów przekazać dalej...

Przyznać trzeba, że taka interpretacja sprawy przez mecenasa Vergèsa okazała się nad wyraz celna. Był to cios wymierzony w społeczeństwo francuskie, które niezbyt chętnie wraca pamięcią do czasów wojny i okupacji (nie dotyczy to, rzecz jasna, byłych kombatantów walczących wtedy w kraju i za granicą, gaullistowskiej „France Libre" („Wolna Francja") i komunistycznych partyzantów). René Hardy został wprawdzie oczyszczony z zarzutów zdrady, ale przecież w otoczeniu Jeana Moulina byli jeszcze inni, którzy cudem jakby uniknęli aresztowania i udało im się wymknąć z sieci zarzuconej przez Klausa Barbiego. Był na przykład X, który twierdzi, iż na spotkanie w Caluire nie przybył tylko dlatego, że pomylił stacje kolejek linowych, a na jednej z nich miał na niego czekać łącznik. Był Y, znaczący bojownik ruchu oporu, którego na krótko przed obławą na Moulina widziano w lyońskim parku na ławce, zasłoniętego gazetą, obok zaś siedział nie kto inny tylko... Klaus Barbie. Ten oficer francuski także nie dostał się w ręce Gestapo.

Gdy latem 1985 roku agenci francuskiego wywiadu DGSE (Generalna Dyrekcja do Spraw Bezpieczeństwa Zewnętrznego – Direction Générale de Securité Extérieure) przeprowadzili bardzo nieudolnie sabotażową akcję w Auckland (nieudolnie, bo dali się rozszyfrować i wylądowali w nowozelandzkim więzieniu) władze w Paryżu usprawiedliwiły tych ludzi stwierdzając publicznie, iż „działali oni na rozkaz". Mecenas Vergès nie omieszkał wykorzystać tej okazji. Powiedział dziennikarzom:

– Mój klient też działał na rozkaz...

No cóż, różne bywają rozkazy.

Gdy 11 maja 1987 roku punktualnie o godzinie 13 wprowadzono na salę sądową oskarżonego Klausa Barbiego, wielu obserwatorów odetchnęło z ulgą: a jednak proces się odbędzie! Jeszcze przed kilkoma dniami Francuzi znani z zamiłowania do wszelkiego rodzaju sondaży, zwłaszcza w sprawach dużej wagi publicznej, odpowiadali na pytanie: czy Klaus Barbie, który popełniał swoje zbrodnie przed ponad czterdziestu laty i jest człowiekiem starym (73 lata), powinien w ogóle stawać przed sądem? 68% ankietowanych odpowiedziało „tak", reszta stwierdziła „nie" lub nie miała na ten temat zdania.

Nie miała zdania prawdopodobnie młodzież, dla niej bowiem zbrodnie nazizmu są zjawiskiem tak odległym w czasie, jak gwałty poczas wypraw krzyżowych lub w epoce napoleońskiej. Trudno natomiast rozszyfrować, kto jeszcze odpowiadał „nie", Czyżby ci, którzy zgodnie z tezą mecenasa Vergèsa obawiali się, że nie będzie to proces przeciwko Barbiemu, ale przede wszystkim przeciw niemałej grupie francuskich kolaborantów i zdrajców, świadczących usługi „rzeźnikowi z Lyonu"?

Barbie oczekiwał na proces przeszło 4 lata. Wokół jego osoby zaczęły krążyć różne pogłoski, częściowo prawdziwe, częściowo zmyślone, najróżniejsze plotki i supozycje. Mówiono więc – co było zgodne z prawdą – że przygotowanie procesu natrafia na mnóstwo trudności proceduralnych: trzeba było ustalić, które z jego zbrodni uległy przedawnieniu, a które nie, za co był już sądzony zaocznie, a za co jeszcze powinien odpowiadać. Przez mury więzienia w Lyonie, gdzie sędzia śledczy Christian Riss przesłuchiwał Barbiego, przeniknęły niewiarygodnie wręcz brzmiące oświadczenia obwinionego: ma on zamiar na swojej rozprawie zamienić się z oskarżonego w oskarżyciela i ujawnić, że niemało uczestników francuskiego ruchu oporu, których on rzekomo prześladował, kolaborowało z Gestapo i wydawało w jego ręce własnych rodaków. To zresztą nic nowego – znana linia obrony Jacquesa Vergèsa. Przesłuchiwany Barbie powiedział jednak jeszcze więcej: wśród kolaborantów byli także i Żydzi! Ci dawni kolaboranci, francuscy i żydowscy, zajmują dziś wysokie stanowiska w życiu publicznym Francji. W związku z tym gruchnęła wieść, że z biura lyońskiego prokuratora wykradziono z akt sprawy Barbiego dokumenty kompromitujące dawnych kolaborantów. Na koniec wreszcie mówiło się, że tok śledztwa starają się hamować Amerykanie, ponieważ, jak wiadomo, to ich kontrwywiad CIC nazajutrz po wojnie zwerbował „rzeźnika" do współpracy, a później pomógł mu w ucieczce z Europy. Jak dalece zwątpiono w skuteczność działań francuskiego wymiaru sprawiedliwości, niechaj świadczy ujawniony na kilka dni przed

procesem casus niejakiego Dominika D'Ermo. Ten przebywający na emigracji w Waszyngtonie były uczestnik francuskiego ruchu oporu zmówił się z dawnymi towarzyszami walki i razem zebrali 25 000 dolarów, za które mieli zorganizować wyprawę do Francji i tam Barbiego po prostu uśmiercić. D'Ermo powiedział dziennikarzom, iż „on sam i jego towarzysze obawiali się, że Barbie nigdy sądzony nie będzie".

Wbrew jednak plotkom i protestom części ankietowanych Francuzów – proces się rozpoczął. Jego przebieg zaczęły notować kamery telewizyjne, po raz pierwszy w historii francuskiego sądownictwa dopuszczone na salę rozpraw. Notowały także ukryte kamery filmowe, ale te miały sporządzać jedynie dokumentację dla trybunału, która będzie publicznie udostępniona dopiero w pięćdziesiąt lat po wyroku.

Pięciuset dziennikarzy telewizyjnych i prasowych przekazało swoim redakcjom obrazy otwarcia procesu w wielkiej sali lyońskiego Pałacu Sprawiedliwości. Oto pojawia się Klaus Barbie i zajmuje miejsce na ławie oskarżonych, chronionej pancerną szybą 18-milimetrowej grubości. Żandarmi zdejmują mu kajdanki. Twarz ma postarzałą, głowę prawie już łysą, ale zachowuje sprężystość ruchów, co przeczyłoby pogłoskom, że jest chory i niezdolny do uczestnictwa w procesie. Niewysoki i raczej niepozorny, ubrany w elegancki ciemny garnitur przypomina wyglądem urzędnika bankowego czy poczciwego kupca, a nie gestapowskiego oprawcę w randze majora SS.

Taki był zawsze – wspominają ludzie, którzy znali go z czasów jego lyońskiej kariery i którym udało się ocaleć – niepozorny, niepodobny do przedstawicieli „rasy panów" z filmów o tematyce okupacyjnej. Wbrew temu, co się często mówiło i pisało, nigdy nie był szefem Gestapo w Lyonie (w hierarchii tej policyjnej placówki zajmował dopiero trzecie miejsce), natomiast kierował tam najważniejszym referatem – Sekcją IV, która zajmowała się zwalczaniem francuskiego ruchu oporu i w ogóle likwidowaniem „elementów wrogich Trzeciej Rzeszy". Był pierwszym i najsprawniejszym funkcjonariuszem do „mokrej roboty": aresztowań, tortur, egzekucji i deportacji. Brutalnością i zarazem inteligencją przewyższał swoich zwierzchników, dlatego tytuł szefa istotnie mu się należy.

Wezwany przez sąd do złożenia personaliów oświadczył:

– Nazywam się Klaus Altmann...

Komentatorzy wzięli początkowo to ekstrawaganckie oświadczenie za próbę sugerowania, iż po wojnie stał się on innym człowiekiem, o nazwisku Altmann, z którym dawny Barbie nie ma już nic wspólnego. Niebawem okazało się jednak, że wcale nie o to mu chodziło.

Przez trzy dni rozprawy cierpliwie wysłuchiwał Barbie aktu oskarżenia. Oskarżał prokurator generalny okręgu lyońskiego Pierre Truche, ale właściwym autorem zarzutów był sędzia śledczy Christian Riss, który prowadził sprawę Barbiego od samego początku, to znaczy od roku 1982, kiedy to Francja wystąpiła do rządu Boliwii o ekstradycję rzekomego Altmanna. Zanim przygotował materiał do aktu oskarżenia, musiał pokonać niezliczone przeszkody prawne i wyjaśnić kwestię obywatelstwa Barbiego (według dokumentów opiewających na nazwisko Altmann, jest on obywatelem Boliwii), następnie uzasadnić prawa do jego ekstradycji, Francja bowiem nie miała z tym krajem odpowiedniej umowy. Na koniec wreszcie – wyselekcjonować zbrodnie Barbiego nie ulegające przedawnieniu. Czy sędziemu się to udało? Czy akt oskarżenia był pełny i przekonywający? W opinii powszechnej – dalece nie.

Francuzi dowiedzieli się ze zdziwieniem i oburzeniem, że Barbie nie będzie odpowiadać za torturowanie i uśmiercanie uczestników ruchu oporu, były to bowiem zbrodnie wojenne, których ściganie jest już przedawnione. Tym samym podczas procesu nie będzie mowy – przynajmniej w sensie oskarżenia – o najbardziej drastycznej i bulwersującej Francję zbrodni „rzeźnika z Lyonu", a mianowicie o jego udziale w aresztowaniu i zakatowaniu na śmierć Jeana Moulina. Oskarżenie ograniczyło się do zarzutów „zbrodni przeciw ludzkości", gdyż te, zgodnie z orzeczeniem Trybunału w Norymberdze, przedawnieniu w ogóle nie ulegają. W praktyce więc Barbie odpowiadać miał za deportację do komór gazowych francuskich Żydów, rozstrzelanie kilkudzie-

sięciu z nich w miejscowości Bronde oraz za wysyłkę do obozów zagłady żydowskich dzieci z przytułku w Izieu.

Wprawdzie wszystko to i tak wystarczało do wydania odpowiedniego wyroku, jednak co łatwo przewidzieć nie udało się ograniczyć zarzutów do „zbrodni z motywów politycznych lub rasowych, popełnianych na ludności cywilnej" (definicja zbrodni przeciw ludzkości) i siłą faktów doszło do rozważań o innych przestępczych wyczynach Barbiego. Było to nieuniknione, po stronie oskarżenia bowiem wystąpiła nie tylko prokuratura państwowa, lecz także trzydziestu czterech rzeczników powództwa cywilnego, którzy domagali się odszkodowań dla swoich klientów – ofiar lyońskiego Gestapo. Każdy z powodów cywilnych dążył do uzasadnienia swoich roszczeń, przytaczając szczegóły prześladowań zainteresowanych osób, co było zupełnie zrozumiałe i mieszczące się w ramach procedury. Reprezentantem grupy powodów cywilnych był Serge Klarsfeld, który wytropił Klausa Barbiego w Boliwii i z całą konsekwencją zabiegał o jego ekstradycję.

Przed sądem przesunął się korowód świadków, których na liście oskarżenia było ponad stu, a wśród nich osobistości tak znaczne i tak w swoim czasie związane z ruchem oporu, jak przewodniczący Zgromadzenia Narodowego Jacques Chaban-Delmas i Geneviève de Gaulle, bratanica wielkiego generała.

Na listę świadków oskarżenia trafiły też takie osoby jak na przykład pani Lisa Lesèrve, więziona przez lyońskie Gestapo i później deportowana do obozu koncentracyjnego Ravensbrück. Przybyła wezwana przez sędziego śledczego na konfrontację z Barbiem, dla stwierdzenia jego tożsamości. Miała w tym dniu lat 86, ale wykazywała się pamięcią bardzo dobrą i natychmiast „rzeźnika" rozpoznała. Opowiedziała przy okazji o straszliwych torturach, jakim poddawał ją Barbie usiłując wydobyć informacje o bojowniku ruchu oporu znanym pod pseudonimem „Didier". Szesnaście przesłuchań wśród męczarni i poniżenia, wreszcie wyrok: wywiezienie do obozu jej samej, a także męża i syna, którzy z Auschwitz już nie powrócili. Barbie utrzymywał, że staruszki nie zna, nigdy jej nie widział (to, że nie rozpoznał jej po czterdziestu latach, jest bardzo możliwe), a poza tym, czy może

ona cokolwiek pamiętać? Tu jednak przeliczył się bardzo. Lisa Lesèrve położyła na stole sędziego dziennik, który pisała w gestapowskim więzieniu na skrawkach papieru związanych pasemkami wełny z koca. Manuskrypt ten okazał się wstrząsającą relacją z przesłuchań sędziwej pani Lesèrve, a także innych ofiar oskarżonego.

Naprzeciw wieloosobowej grupy oskarżycieli zasiadł samotny obrońca Barbiego, głośny już mecenas Jacques Vergès, pełen agresywnego animuszu. Uchodził już wtedy za adwokata, który nie przegrywa spraw sądowych, co zresztą niewiele ma wspólnego z prawdą, jako że przed kilkoma miesiącami jego ostatni klient, libański terrorysta Abdallah, nie wywinął się od dożywotniego więzienia. Linia obrony Vergèsa w sprawie Barbiego była już dobrze znana. Rzutki mecenas nie szczędził prasie wynurzeń na ten temat. Tak więc, jego zdaniem, Francja nie miała prawa sądzić eks-nazisty Klausa Barbiego, gdyż sama jest państwem totalitarnym, odpowiedzialnym za zbrodnie popełniane na Algierczykach podczas osławionej „brudnej wojny", zbrodnie wcale nie lżejszej kategorii niż te, które przypisuje się lyońskiemu Gestapo. Po wtóre zaś na Francji ciążą grzechy kolaboracji, jakie jego klient tylko wykorzystywał, wykonując rozkazy swoich zwierzchników. Był przecież żołnierzem i nie miał innego wyjścia...

W trzecim dniu procesu Barbie niespodziewanie złożył zaskakujące oświadczenie, podważające kompetencje sądu francuskiego.

– Nie uważam się za więźnia – mówił – ale za ofiarę. Nazywam się Klaus Altmann, jestem obywatelem boliwijskim bezprawnie porwanym i nielegalnie przewiezionym do Francji. Oświadczam, że nie zamierzam uczestniczyć w dalszej rozprawie i żądam natychmiastowego przewiezienia mnie do więzienia.

Tak też się stało. Ale już 26 maja Barbie był znowu obecny na sali sądowej. Trik, prawdopodobnie podszepnięty przez „adwokata diabła", który zorientował się, jak bardzo beznadziejna jest sprawa jego klienta, nie wypalił. Procedura francuska przewiduje możliwość doprowadzenia oskarżonego na salę rozpraw

przy użyciu siły, i to właśnie zastosowano. Klaus Barbie jednak milczał, nie odpowiadał na żadne pytania. Niewykluczone, że miał rację: co można mówić w sprawie, w której właściwie wszystko jest wiadome, a wyrok nietrudny do przewidzenia?

Gdy Barbie okazał się już tylko niemym uczestnikiem procesu i przestał reagować, zarówno na uwagi członków trybunału, jak i na zeznania świadków, zainteresowanie obserwatorów jak gdyby przygasło. Uwaga opinii skierowała się w inną stronę – ku sprawom i wydarzeniom oczywiście związanym z procesem Barbiego, ale dziejącym się poza salą sądową.

Szukano przede wszystkim odpowiedzi na najbardziej drażniące Francuzów pytanie: jak to było z tą kolaboracją i zdradą w szeregach ruchu oporu? Na sali sądowej trudno już było spodziewać się sensacji: zabrakło jedynego świadka, ostatniego, który by miał, być może, jeszcze coś do powiedzenia. René Hardy, były członek kierownictwa ruchu oporu, dwukrotnie niegdyś oskarżony o denuncjację Jeana Moulina i wydanie go w ręce Barbiego i dwukrotnie uniewinniony, zrobił sądowi w Lyonie swoisty „kawał": umarł na dwa tygodnie przed rozpoczęciem procesu, w którym miał zeznawać. Inna natomiast sprawa zafrapowała opinię. Oto gdy mecenas Vergès zajmował miejsce na ławie obrończej w pierwszym dniu procesu... sam już był przed kilkoma dniami skazany przez francuski sąd. W ramach przygotowań do obrony Barbiego mecenas spreparował scenariusz do filmu dokumentalnego, który w 1984 roku zrealizował jego przyjaciel Claude Bal. Temat: kolaboracja i współudział zdrajców w zamordowaniu Jeana Moulina. W komentarzu do filmu padały różne nazwiska rzekomych kolaborantów, dziś jeszcze żyjących, między innymi małżeństwa Raymonda i Lucie Aubrac, które natychmiast wniosło skargę o zniesławienie. Proces wygrali – przytaczane przez realizatorów filmu fakty okazały się ordynarnym zmyśleniem. Vergès i Bal skazani zostali na grzywny po pięćdziesiąt tysięcy franków każdy oraz na dalsze dwieście pięćdziesiąt tysięcy odszkodowania na rzecz małżonków Aubrac, za straty moralne. Wniosek nasunął się sam: zdradę w łonie kierownictwa ruchu oporu należy między bajki włożyć i jeśli mecenas Vergès nie zaprezentuje

innych wiarygodniejszych dowodów, jest w tej kwestii raz na zawsze skompromitowany...

Kolejnym punktem rozważań było ustalenie, kto właściwie pomógł Barbiemu w ucieczce z powojennej Europy. Tu szokujący strzał wymierzony został z zagranicy. Amerykański historyk John Loftus udzielił wywiadu (był to drugi dzień procesu Barbiego), w którym stwierdził kategorycznie, że ucieczkę „rzeźnika" zorganizował nie wywiad wojskowy USA, ale znany francuski polityk André François-Poncet, podówczas Wysoki Komisarz Francji w okupowanych Niemczech. Dlaczego ten wybitny Francuz miał pomagać zbrodniarzowi? Był przez Barbiego szantażowany. W sierpniu 1943 roku dostał się w ręce Gestapo, przesłuchiwał go osobiście Klaus Barbie, później został zwolniony i można się tylko domyślać za jaką cenę...

Zatem znowu kolaboracja. Jednakże strzał ambitnego amerykańskiego historyka okazał się pudłem, a jego rzekome rewelacje jedynie rodzajem autoreklamy. John Loftus nie wiedział, że równocześnie z jego wynurzeniami dla prasy inna gazeta, także amerykańska i także zainteresowana włączeniem się do procesu Barbiego, opublikowała wspomnienia byłych oficerów kontrwywiadu CIC, opiekujących się w swoim czasie osobą Barbiego tak, aby mu włos z głowy nie spadł i aby szczęśliwie wymknął się z Europy do Ameryki Południowej. Padły nazwiska: Robert S. Taylor, oficer operacyjny CIC w Memmingen, który zwerbował Klausa Barbiego do współpracy; podpułkownik Dale Garvey, późniejszy patron „rzeźnika"; major S. Browning junior, szef sztabu CIC z siedzibą we Frankfurcie nad Menem, i jego zastępca James H. Ratliff; na koniec Erhard Dabringhaus, Amerykanin pochodzenia niemieckiego, któremu powierzono przerzut Barbiego poza granice Europy. Wszystkie te nazwiska były zresztą odnotowane już dawniej, Tyle że w ściśle tajnym raporcie, jaki sporządził urzędnik amerykańskiego Departamentu Stanu Allan A. Rayen junior w roku 1983. Dabringhaus i inni zainteresowani oficerowie wywiadu, dziś już panowie po siedemdziesiątce i zasłużeni emeryci, nie kryją swojego udziału w „aferze Barbiego", mówią dużo i jak gdyby z pewnym zażenowaniem przyznają, że „kata z Lyo-

nu" uważali wtedy za nazistę i byłego oficera SS, ale „człowieka o czystych rękach".

Głos zabrali również historycy, zwracając powszechną uwagę na dane statystyczne dotyczące zbrodni Klausa Barbiego. Z ich wyliczeń wynika, że Barbie spowodował aresztowanie i deportację do obozów śmierci 15 000 osób: mężczyzn, kobiet i dzieci. Około 900 wyśledzonych i zatrzymanych rozstrzelano w Lyonie i okolicach po torturach, przy których „rzeźnik" przynajmniej asystował, jeśli już nie torturował osobiście, z patologicznym wręcz zamiłowaniem. Czy wyliczenia te są ścisłe, czy rachunek nie jest aby zaniżony? Nikt nie potrafi na to odpowiedzieć, jako że Barbie przed ucieczką z Lyonu (kiedy alianci deptali już Niemcom po piętach) zniszczył wszystkie akta tej placówki Gestapo. On jeden tylko zna prawdę i nie ujawni jej zapewne do końca swoich dni w więziennej celi.

BEJRUT – GODZINY ZAGŁADY

W końcu września 1982 roku świat obiegły telewizyjne i fotoreporterskie zdjęcia wykonane już nazajutrz po zakończeniu ludobójczej akcji w palestyńskich obozach przesiedleńczych Sabra i Szatila. Cóż za przerażająca dokumentacja! Telewidzowie i czytelnicy gazet nie mieli wątpliwości, że masakra Palestyńczyków – głównie zresztą kobiet, dzieci i starców, bo młodych było w obozach już niewielu – jest najbardziej szokującą masową zbrodnią od czasów, gdy Pol Pot i Ieng Sary, przywódcy Czerwonych Khmerów – kampuczańskich supermaoistów, wyrzynali własny naród. W parlamentach, gabinetach polityków i środkach masowego przekazu zadawano sobie dziesiątki pytań. Kto jest bezpośrednim wykonawcą tej masakry, a kto inspiratorem? W jakim celu jej dokonano? Czy inspiratorzy nie zdawali sobie sprawy, że stawiają się pod pręgierzem opinii publicznej? A może po prostu opinię tę lekceważyli? Czas przyniósł odpowiedzi na wiele z tych pytań, lecz nie na wszystkie, sprawcy robili bowiem, co mogli, aby rzecz całą zagmatwać i tym samym zrzucić z siebie odpowiedzialność.

Skąd i w jakich okolicznościach Palestyńczycy znaleźli się w Libanie, w kraju, gdzie zademonstrowali bohaterską postawę wobec poczynań izraelskich agresorów i gdzie doświadczyli wyjątkowej wręcz martyrologii?

Napłynęli dwiema falami – po raz pierwszy w 1949 roku, wypędzeni przez świeżo upieczone państwo Izrael, później szukali tu schronienia po „czarnym wrześniu" w Jordanii, w roku 1970. Wspierani byli przez muzułmańskich druzów, ale i Libańczycy-chrześcijanie, z maronitami na czele, nie robili im wstrętów. Zmieniło się to wszystko po 1975 roku, kiedy w Libanie wybuchła

wojna domowa, trwająca ze zmiennym natężeniem, do dnia dzisiejszego. Walczące ze sobą społeczności religijno-kulturowe (obóz muzułmański – w zasadzie lewicujący, i chrześcijański – raczej prawicowy, nacjonalistyczny), zmagając się w wewnętrznym chaosie, zaczęły rozgrywać między sobą „kartę palestyńską”. Oliwy do ognia dolewał zawsze Izrael, propagując tezę, że Palestyńczyk jest synonimem terrorysty. Izraelskie inspiracje podchwytywali przede wszystkim chrześcijańscy ekstremiści skupieni w Falandze, organizacji paramilitarnej, którą w końcu lat trzydziestych utworzył Pierre Dżemajel (ojciec prezydenta-elekta Beszira i późniejszego faktycznego prezydenta – Amina), zapatrzony we wzory hiszpańskie, włoskie i niemieckie.

Historia masakry w zachodnim Bejrucie zaczyna się nieco wcześniej, bo 9 września, kiedy to izraelski premier Menachem Begin opuścił swoją siedzibę w hotelu „Carlton” w Nahariya, wsiadł do samochodu i kazał się wieźć krętymi drogami do granicy libańskiej. Zatrzymał się w Safed. Tam oczekiwali go libańscy prominenci: prezydent-elekt Beszir Dżemajel i Fady Frem, szef sztabu sił libańskich – przedstawiciele chrześcijańskiej Falangi, od dawna typowani przez Izrael na przywódców Libanu.

Tym razem spotkanie było burzliwe i wcale nie przyjacielskie. Begin przypomniał Beszirowi Dżemajelowi, że w tajnych rozmowach, jakie ze sobą od pewnego czasu prowadzili, ten ostatni przyrzekał angażować się w walkę po stronie Izraela, a nawet przypieczętować przyjaźń z Żydami odpowiednim traktatem. Teraz – perorował Begin – kiedy Beszir Dżemajel objął władzę prezydencką, należy zadać pytanie: gdzie jest ten traktat?

– Zawarcie traktatu nie jest w tej chwili możliwe – odpowiada spokojnie Dżemajel. – Po siedmiu latach wojny domowej muszę najpierw zjednoczyć mój naród, a dopiero potem będę mógł pomyśleć o traktacie z wami.

– Przecież sytuację w kraju znał pan i przedtem!

– Nie. Nie wiedziałem, że opór przeciwko mnie będzie tak silny.

Begin krzyczał, denerwował się, ale niczego nie wskórał. Wyjechał wreszcie wściekły, przysięgając sobie, że prezydenta Beszira wykończy. Na szczęście dla Izraela przy rozmowie tej był obecny Ariel Szaron, mianowany w sierpniu 1981 roku przez rząd w Tel-Awiwie ministrem obrony. Ten gruby, zwalisty generał o twarzy buldoga, jakby przez przekorę nazywany zdrobniale „Arikiem”, znany był ze swoich ambicji politycznych, jakkolwiek jego koncepcji – i nie bez słuszności – nie traktowano poważnie. W roku 1976, na przykład, wezwał do siebie izraelskiego dziennikarza Uriego Avnery i zlecił mu delikatną misję nawiązania kontaktu z Jaserem Arafatem. Szaron chciał zaproponować wspólną akcję militarną izraelsko-palestyńską przeciwko Jordanii, wypędzić stamtąd króla Husajna i osadzić na jego miejscu Arafata, który stworzyłby tam państwo zarządzane przez OWP (Organizację Wyzwolenia Palestyny). Propozycja co najmniej dziwna i, oczywiście, nic z niej nie wyszło.

Ten zdolny wojskowy i marny polityk był równocześnie lepszym psychologiem niż Begin: wiedział, że z Beszirem Dżemajelem trzeba rozmawiać inaczej, łagodniej, nie ubliżając prestiżowi świeżo upieczonego prezydenta Libanu. „Arik” pojechał więc do siedziby Dżemajelów w Bikfaya i tam podczas obiadu, w atmosferze pełnego relaksu wyłożył swój plan. Zaraz po opuszczeniu Libanu przez rozjemcze oddziały międzynarodowe, wojska izraelskie wkroczą do zachodniego Bejrutu, gdzie wspólnie z milicją Falangi „oczyszczą” obozy palestyńskie, to znaczy Sabrę i Szatilę. Wprawdzie palestyńscy fedaini manifestacyjnie opuścili Bejrut już 22 sierpnia, ale rzecz polega na tym, aby uwolnić Liban od wszystkich Palestyńczyków.

Beszir Dżemajel zrazu nieco się wahał, nie był pewien, czy na tego rodzaju przedsięwzięcie nie jest jeszcze dla niego za wcześnie, w końcu jednak wyraził milczącą zgodę. Czy tylko milczącą? Nie wiadomo. Jedno jest pewne: zgadzał się z koncepcją Szarona, że aby umocnić swoją władzę, musi pozbyć się ostatecznie Palestyńczyków, powybijać ukrywających się jeszcze fedainów, a resztę zmusić do ucieczki gdzieś daleko – do Syrii, do Jordanii, wszystko jedno dokąd. Być może, trzeba będzie obozy palestyńskie zrównać z ziemią...

Rozmowę prowadzono półsłówkami, ale i Beszir Dżemajel, i Szaron dobrze wiedzieli, o co chodzi. Termin wykonania planu ustalili na koniec września lub na początek października.

Zanim w Bejrucie nastąpiły niespodziewane wydarzenia, które przyspieszyły akcję „oczyszczania” miasta z Palestyńczyków, generał Szaron wyłożył swoją filozofię w wywiadzie dla słynnej Oriany Fallaci. Początkowo nie chciał jej przyjąć, zwlekał ze spotkaniem tydzień, prawdopodobnie obawiając się tej bezkompromisowej i zawsze dobrze przygotowanej do rozmowy dziennikarki włoskiej. Wreszcie wyraził zgodę. Podczas ośmiogodzinnej wymiany zdań, do której doszło w Jerozolimie, Szaron – jak wieść głosi – niejednokrotnie tracił zimną krew i nieomal posunął się do obelg wobec przedstawicielki znienawidzonej mu prasy. Fragmenty wywiadu dla Fallaci okazują się bardzo przydatne do wyjaśnienia późniejszych wypadków w Bejrucie.

Oriana Fallaci: Pierwsza część pańskiej wojny zakończyła się, generale Szaron – ludzie Arafata opuścili Bejrut. Przez dwa i pół miesiąca stawiali opór potężnej armii izraelskiej i wyszli, ale z podniesioną głową, otoczeni sympatią, jaką nie cieszyli się nigdy dotąd... To nie przypadek, że Arafat mówi o zwycięstwie politycznym. To nie przypadek, że wielu twierdzi, iż politycznie oddał mu pan przysługę. Czy właśnie tego pan pragnął?

Ariel Szaron: Chciałem, żeby wyszli z Bejrutu, żeby opuścili Liban, a więc w pełni osiągnąłem swój cel. Arafat może mówić, co chce, to nie ma znaczenia. Liczą się fakty i konsekwencje tych faktów dla przyszłości...

Fallaci naciska pytaniami. Chce wiedzieć, dlaczego Izraelczycy nie wkroczyli jeszcze do Bejrutu, a tylko go oblegają. Szaron mówi, że taka akcja spowodowałaby ofiary wśród ludności cywilnej, a to nie leży w jego intencjach.

Fallaci: Co też pan opowiada! Tygodniami bombardowaliście tych cywilów z zaciekłością i siłą ognia, jakiej nie widziałam na żadnej wojnie, a Bóg mi świadkiem, że widziałam niemało wojen, wszystkie wojny naszej epoki. Tygodniami bombardowaliście ich z morza, powietrza i ziemi, a teraz będzie mi pan opowiadał, że chcieliście im oszczędzić kilku dodatkowych bombardowań!

Szaron: Jest pani twarda, zbyt twarda. Owszem, wiem, że pani na tych wojnach była i że je pani widziała. Wiem również, że nigdy nie bombardowaliśmy ludności cywilnej celowo...

Po czym dodaje natychmiast: „Nie chcemy ani jednego centymetra kwadratowego Libanu”.

Fallaci: Nie musicie wcale Libańczykom nic zabierać. Wystarczy wam doprowadzić do tego, by na prezydenta wybrano jednego z waszych przyjaciół, powiedzmy 34-letniego falangistę o nazwisku Beszir Dżemajel, podpisano z nim sojusz i pozostawiono przez pewien czas w tym kraju waszą armię, aby strzegła tego sojuszu. Już samo to z nadwyżką wystarczy, aby posiadać de facto kolonię...

Szaron: Panno Fallaci! Jest pani sympatyczną kobietą i chciałbym być dla pani uprzejmy. Nie chcę podnosić głosu ani stracić zimnej krwi, lecz nigdy nie słyszałem niczego równie oburzającego. Co za kłamstwo! Jaka zniewaga! Pani mnie znieważa!

Fallaci: Dlaczego? Wszyscy przecież wiedzą, że zamierza pan stawiać na kartę Dżemajela.

Mimo teatralnych zaprzeczeń Szaron rzeczywiście stawiał na kartę Dżemajela, ale przeszkodziło mu w tym wydarzenie, które nastąpiło 14 września, a którego izraelski generał nie przewidział. Budynek, gdzie przebywał Beszir Dżemajel, wyleciał w powietrze, a pod gruzami znaleziono ciało prezydenta Libanu, chwiejnego trochę, lecz w gruncie rzeczy wiernego sojusznika Izraela. Teraz Izrael musiał się zastanowić nad problemem sukcesji i w ogóle nad sytuacją, która może powstać w Libanie. Był to dzień gorączkowych spotkań dowódców izraelskiej armii, nerwowych telefonów do Jerozolimy.

Szaron dzwoni do premiera Begina i pyta, co robić? Zamachu na prezydenta dokonali na pewno bojownicy palestyńscy, którzy gdzieś jeszcze się ukrywają. Beszir godził się na „całkowite wyeliminowanie” Palestyńczyków przebywających w Bejrucie, ale czy takiego samego zdania będzie jego następca? Jeśli prezydentem zostanie wybrany brat zmarłego, Amin Dżemajel, to na jego lojalność wobec Izraela liczyć raczej nie można: jest to „umiarkowany gołąbek” i na likwidację Palestyńczyków się nie zgodzi...

Begin odpowiada krótko: uruchomić plan „Moah Barzel"! („Stalowy mózg"). Był to kryptonim izraelskiej inwazji na Bejrut. Szef sztabu, generał Rafael Eytan, spotyka się z dowódcą libańskiego frontu generałem Amirem Drori i omawiają szczegóły operacji. Obaj wzywają do siebie dwóch ludzi falangistowskiej ekstremy – szefa sztabu Fady Frema i szefa wywiadu Eliasa Hobeikę. Ten ostatni przyrzeka Izrealczykom, że zobowiązania Beszira Dżemajela zostaną dotrzymane, czyli że „Palestyńczykom porozbija się łby"!

15 września o godzinie 0.30 oddziały izraelskie wkraczają do Bejrutu zachodniego. Oficjalne uzasadnienie inwazji: armia izraelska chce zapobiec zamieszkom i utrzymać porządek. Tu i tam lewicowa milicja libańska stawia Izraelczykom zaciekły opór, ale po kilku godzinach Bejrut jest już w rękach agresorów. Milkną ostatnie strzały, nadchodzi czas na „zaprowadzenie porządku". Kto wykona to zadanie?

Po południu 16 września na lotnisku w Bejrucie wylądowało kilka samolotów, z których wysypało się parę setek ludzi w mundurach tutaj nie widywanych. Oliwkowe uniformy, na rękawach insygnia przedstawiające trójkąt wpisany w koło i litery MP (Military Police – Policja Wojskowa). Nowoczesna broń maszynowa, przy pasach wiązki granatów. Jeśli nawet mieszkańcy Bejrutu nie wiedzieli, kim są ci osobnicy, to korespondenci prasy zagranicznej szybko rozpoznali w nich bojówkarzy dysydenckiego majora Saada Haddada, który z łaski i za pieniądze Izraela od kilku już lat grasował na południu Libanu. Tu, w Bejrucie, objęli nad nim dowództwo wspomniani już Elias Hobeika i Fady Frem oraz ich pomocnicy – Michel Zwein i Dib Anastas. Zależało im widocznie na dyskrecji działania, bo dziennikarzy amerykańskich – Collina Campbella i Lorena Jenkinsa, którzy ich znali, usiłowali schwytać i po prostu uśmiercić. Amerykanom udało się zbiec i tylko dlatego są wśród żywych.

Po krótkiej odprawie ludzie Haddada ruszyli do miasta. Widocznie jednak nie wszyscy z nich znali Bejrut, gdyż szpice bojówek rysowały na ścianach domów drogowskazy kierujące do miejsca

zbiórki w pobliżu palestyńskich obozów Sabra i Szatila. Obok strzałek malowano symbole bojówek – trójkąt w kole – które przetrwały na murach długi jeszcze czas jako niewygodny później dowód identyfikacyjny, nie pozostawiający wątpliwości, kto maszerował ku obozom.

Kim byli nierozważni rysownicy, skąd i po co przybyli do Bejrutu? Nawet w wiele tygodni i miesięcy po masakrze Libańczycy mówili o nich niechętnie i skąpo. Chrześcijanie nazywali ich „zabłąkanymi żołnierzami", muzułmanom wystarczało określenie: „sługusy wrogów syjonistycznych". Tymczasem rodowód i działania haddadowców – bo tak się ich tam potocznie nazywa – zasługują na uwagę polskiego Czytelnika, choćby dlatego, że odgrywają oni w Libanie rolę zbliżoną do tej, jaką wsławili się podczas drugiej wojny i okupacji kolaboranci z nacjonalistycznych ugrupowań ukraińskich – własowcy i im podobni.

Słowo „haddadowcy" budziło grozę i wstręt, jeszcze zanim doszło do masakry w Bejrucie. Pochodzi ono oczywiście od nazwiska majora Saada Haddada, artylerzysty, który po dezercji z armii libańskiej sam siebie mianował pułkownikiem. Jego bojówki opanowały już w 1979 roku południe kraju, stąd nazywają się „Armią Południowego Libanu".

Haddadowie to ród libański, ale nie tak potężny jak Dżemajelowie czy Farandżijowie, ponieważ wyznają grekokatolicyzm, a wyznawcy tej wiary nie mają takich wpływów jak chrześcijanie-maronici czy też szyiccy muzułmanie.

Ród Haddadów wydał wiele znanych i szlachetnych postaci, jak chociażby biskup Gregoire Haddad, grekokatolicki patriarcha Tyru, który podczas wojny domowej w Libanie wielokrotnie słał apele o pokój i zgodę narodową oraz zabiegał o uwolnienie więźniów i ludzkie ich traktowanie. Członkowie rodu nie byli więc zbytnio zadowoleni, że z tym nazwiskiem łączyło się wyczyny okrutnego „pułkownika".

Saad Haddad poszedł na pełną kolaborację z Izraelem i pomagał mu w prześladowaniach własnych rodaków. Co nim kierowało? Własna ambicja, wizja władania „Republiką Wolnego Libanu" – co do tego nie ma wątpliwości. Gdy w 1978 roku wojska

izraelskie formalnie wycofały się z Libanu, major Haddad miał kontrolować strefę buforową – sporny rejon południa. Wtedy działał jeszcze w imieniu władz swego kraju. W rok później ogłosił secesję: swój obszar operacyjny proklamował „Republiką Wolnego Libanu”, a sam siebie uczynił jej prezydentem. Jak do tego doszło?

Zawarł z Izraelem dość prostą transakcję: będzie otrzymywał dla „Republiki” izraelskie pieniądze i pomoc w materiałach militarnych, w zamian za neutralizację „palestyńskich terrorystów”, co w praktyce oznaczało rewizje i aresztowania, a gdy trzeba – także likwidację fizyczną przeciwników Tel-Awiwu. Nie tylko zresztą Palestyńczyków. Pewnego dnia Haddad zaatakował ogniem artylerii oddziały wojsk rozjemczych ONZ, które z jego „Republiką” sąsiadowały. Zginęło wtedy 70 żołnierzy ONZ. Terroryzował libańskich szyitów, niektórych zdołał przekabacić na swoją stronę. Szła za nim zawsze liczna już armia awanturników, przeważnie wyznania grekokatolickiego, ludzi, którzy mieli swoje porachunki z muzułmanami.

Ani „prezydent” Haddad, ani jego podwładni nie robili tajemnicy z tego, że biorą żołd izraelski, posługują się izraelską bronią i są szkoleni w izraelskich obozach wojskowych. Byli nawet do tego stopnia gadatliwi, że Izrael, któremu zależało na dyskrecji, postanowił położyć temu kres. Do Haddada skierowano oficera polityczno-wychowawczego, w rzeczywistości oficera izraelskiego wywiadu, pułkownika Yerana Mizrabiego. Ten nie odstępował go na krok, zwłaszcza podczas kontaktów watażki z zagranicznymi dziennikarzami. Korygował wypowiedzi Haddada, a zdarzało się, że sam za niego udzielał wywiadów.

„Prezydent” Haddad nie mógł być z tej kontroli zadowolony. Znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem: z armii libańskiej wykluczono go i skazano zaocznie za zdradę, a teraz jego mocodawca, Izrael, czynił mu wyrzuty i strofował. Zaczął nawet przebąkiwać, że „poda się do dymisji”. Na szczęście dla niego Mizrabi osłabił swoją kontrolę, ponieważ okazał się zagorzałym konsumentem alkoholu i amatorem pięknych kobiet, których to przyjemności „prezydent” dostarczał mu do woli. Stosunki między nimi

jakoś się ułożyły, wszystko przycichło, o dymisji nie było już mowy. Haddad jak gdyby się uspokoił, osłabił nawet akcje represyjne wobec swoich przeciwników. Przypomniał o sobie Libańczykom i światu dopiero 16 września 1982 roku, gdy jego ludzie wkroczyli do obozów Sabra i Szatila.

Wieczorem 16 września, kiedy milicjanci Haddada dotarli do miejsca zbiórki opodal ambasady Kuwejtu, Sabra i Szatila były już otoczone szczelnie oddziałami Izraela. Czołgi izraelskie oddawały pojedyncze strzały w kierunku obozów, wkrótce jednak zapanowała cisza.

W Polsce słowo „obóz” kojarzy się z obrazem ustawionych rzędami baraków, zaporami z drutu kolczastego i wieżyczkami wartowników. Sabra i Szatila były wprawdzie częściowo otoczone murem, ale z naszym pojęciem obozu niewiele miały wspólnego. Były to w rzeczywistości dzielnice, a raczej jedna dzielnica biedoty, przepołowiona ulicą prowadzącą z południa na północ. W swoim czasie władze libańskie udzieliły najuboższym zezwolenia na dziką zabudowę tego terenu i stopniowo pokrywał się on jednopiętrowymi domkami z cegły, budami o najróżniejszych kształtach, z drewna albo blachy falistej – słowem, była to typowa dzielnica slumsów. Te nędzne budowle wznosili przeważnie uchodźcy palestyńscy, ale nie tylko: wegetowali tutaj także najbiedniejsi Libańczycy, żyło nawet kilka podupadłych rodzin żydowskich. W przeddzień masakry Sabrę i Szatilę zaludniało prawdopodobnie około 20 000 mieszkańców, w tym olbrzymia większość uchodźców palestyńskich. Prawdopodobnie – gdyż nikt dokładnie liczby tej nie zna. Nie obowiązywały tutaj meldunki, ludność nieustannie przemieszczała się i tylko niewielką grupę Palestyńczyków zarejestrowano w międzynarodowych organizacjach pomocy uchodźcom; obliczono, że jest ich około 4 tysięcy.

W kapitalistycznych metropoliach bardzo często dzielnice slumsów dotykają niemal bezpośrednio terenów zabudowanych wyniosłymi wieżowcami, które należą do różnych instytucji lub osób prywatnych. W niewielkiej odległości od obozów Sabra i Szatila wznoszą się okazałe gmachy: wspomniana już ambasada Kuwej-

tu, siedziba sztabu armii libańskiej (częściowo zniszczona w czasie bombardowania i opuszczona przez personel) oraz nowoczesny szpital AKKA (Św. Jana z Akry).

W przeddzień masakry, 15 września, sztab oddziałów izraelskich rozlokował się w siedmiopiętrowym budynku dowództwa libańskiej armii, a na jego tarasowym dachu umieścił obserwatorów. Gmach ten oddalony jest od zespołu obozowego Sabra-Szatila zaledwie o 200 metrów. Ważny to szczegół, gdyż później, kiedy będzie „już po wszystkim", dowództwo izraelskie stwierdzi w swoich raportach, iż nie wiedziało, co się w tych obozach dzieje. Eksperci natomiast ustalą, że przez lornetkę widać z tarasu oba obozy jak na dłoni; dostrzega się każdego pojedynczego człowieka, każdy dom i podwórze...

Nie rozstrzygnięto do dzisiaj kwestii, czy szeregowi żołnierze izraelscy i niżsi stopniem oficerowie, którym rozkazano utworzyć kordon wokół obozów Sabra i Szatila, zdawali sobie sprawę, po co ich tutaj przysłano. Zapewne wierzyli – bo chcieli wierzyć – swoim dowódcom, że stanowią ochronę Palestyńczyków przed ewentualnym atakiem chrześcijan, rozsierdzonych zamachem na Beszira Dżemajela. Mogło im się wydawać dziwne, że ich czołgi bombardowały pociskami ludzi, których mieli chronić – ale przecież żołnierz nie pyta o sens rozkazu. A nuż w obozach byli jeszcze jacyś fedaini, i to do nich się strzelało?

Gdy zapadł zmrok, rozpoczął się ruch wojska skoncentrowanego w rejonie ambasady Kuwejtu: bojówkarze Haddada szli w kierunku południowego wejścia do obozów i znikali w ciemności. Posterunki izraelskie miały rozkaz ich przepuszczać. „Idą robić porządek" – mówili Izraelczycy. Mieli zapewne na myśli rewizje, przetrząsanie mieszkań, aresztowania – wszystko to, czego jeszcze przed kilku godzinami oni sami dokonywali w różnych dzielnicach Bejrutu zachodniego, dopiero co przez nich zajętych. Zeznania izraelskich oficerów będą potem znacznie się między sobą różnić.

– Wdarli się do obozów – skonstatują jedni.

– Przemknęli między naszymi posterunkami – oświadczą inni.

– Pozwoliliśmy im wejść – przyzna rzecznik wojskowy, generał Even.

– Wschodnie wejście do obozów było otwarte, nie pilnowane – powie krótko szef sztabu, generał Eytan.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy – zwierzy się dziennikarzowi z „Jerusalem Post" szeregowy żołnierz. – Zbliżyli się do nas na ulicy i jeden z nich powiedział krótko, że idą zabijać terrorystów...

Coraz liczniejsze grupy napastników przenikały na teren obozów; podwoziły ich jeepy i ciężarówki, szli z ręczną bronią maszynową gotową do strzału, z granatami za pasem. Było ich kilkuset, być może nawet tysiąc. Nie udało się ustalić, czy bojówki składały się wyłącznie z haddadowców, czy też podczas marszu z lotniska dołączyli do nich jacyś chrześcijańscy ekstremiści z Bejrutu. Jeśli nawet tak było, to rodzimi, bejruccy falangiści stanowili bez wątpienia mniejszość.

Echa pierwszych, pojedynczych strzałów dobiegały z obozów o godzinie 18.00. Były to jednakże strzały sporadyczne. Dochodziły z południowej strefy obozów, lecz także z północnego zachodu, z okolicy Miasteczka Sportowego, z którym graniczyła Sabra. Tyle broni maszynowej, a tak rzadki ogień? Okaże się niebawem, że w tej fazie masakry haddadowcy operowali głównie nożami, siekierami i tasakami, które przemycili w ukryciu, by nie szokować posterunków izraelskich.

Do dziś nie można ustalić, dlaczego w ten właśnie sposób rozpoczęli rzeź. Czyżby rozkazano im działać po cichu, dyskretnie, bez strzelaniny i zwracania na siebie uwagi w mieście? To mało prawdopodobne. Bejrut od lat przyzwyczajony jest do strzałów i wybuchów granatów, ponadto właśnie ogień z broni palnej mógł pozorować potyczki z rzekomymi terrorystami w obozach. A może to jakiś rytuał, wyrafinowany sposób zemsty na znienawidzonych Palestyńczykach i innych muzułmanach? Albo działanie z rozkazu izraelskich patronów, którzy chcieli jak najdłużej utrzymać masakrę w tajemnicy? Najpewniej jednak chodziło o to, aby napadać na Palestyńczyków z zaskoczenia, udaremnić im w ten sposób ucieczkę i uniemożliwić jakiekolwiek próby obrony. Mógł to być „chwyt operacyjny" dowódców na niższym szczeblu, którzy chcieli wykazać się przed swoimi przełożonymi maksymalną liczbą uśmierconych ludzi.

Tak czy inaczej, zbrodnicza wydajność haddadowców była niemała: w ciągu pierwszych dwóch godzin rzezi położyli trupem kilkuset ludzi – mężczyzn, kobiet (także ciężarnych, którym rozpruwali brzuchy), kilkuletnie dzieci, osiemdziesięcioletnich starców. O godzinie 23 w dowództwie izraelskim zameldował się oficer milicji Haddada z raportem: „Zabiliśmy już trzystu fedainów i cywilów".

Była to oczywiście liczba aktualna w momencie, gdy ów oficer opuszczał swój rejon operacyjny w obozie Szatila. Na podstawie tego raportu Izraelczycy od razu sporządzili własny raport (był już gotowy o godzinie 23.10), opatrzyli go nagłówkiem „poufne" i przesłali natychmiast do dowódcy frontu północnego, generała Drori. Raport ten przeszedł przez ręce kilkunastu izraelskich oficerów i w ten sposób stał się niemal publiczną tajemnicą.

Począwszy od godziny 20, gdy mrok zgęstniał, masakra odbywała się w świetle silnych rakiet wystrzeliwanych przez żołnierzy izraelskich. Były to rakiety wyrzucane z moździerzy IDS 81 mm.

– Zgodnie z rozkazem – opowiadali nazajutrz dziennikarzom żołnierze izraelscy – odpalaliśmy po dwie rakiety na minutę, aż do świtu.

Łunę nad obozami uchodźców obserwował cały Bejrut. Wiadomo było przy tym – potwierdził to sam generał Szaron – że pochodnie te wylatują z izraelskich moździerzy, zwłaszcza z baterii skupionych wokół ambasady Kuwejtu.

W upiornym świetle flar trwała potworna masakra. Haddadowcy posuwali się w głąb obozów, znacząc swoją drogę trupami. Mordowali według identycznego schematu: ponieważ wielu Palestyńczyków, przestraszonych wczorajszym bombardowaniem, ukryło się w piwnicach i prymitywnych schronach, kazali im stamtąd wychodzić pojedynczo i kolejno zabijali ich ciosami noża lub uderzeniem siekiery. Ginęły całe rodziny, bez względu na wiek i płeć. Jeśli zastali kogoś w mieszkaniu – tym lepiej: siekiery spadały na ludzi jedzących kolację lub spoczywających w łóżkach.

Trwało to wszystko do rana, z tym że coraz częściej rozlegały się serie z broni maszynowej. Haddadowcy niczym się już nie

krępowali. Ulubionym miejscem ich mordów były garaże, być może dlatego, że ciała ofiar pozostawały tam niby w grobowcach i nie zalegały ulic, którymi siepacze musieli posuwać się naprzód. Po ich przejściu pozostawały zwłoki mężczyzn i kobiet, już po śmierci potwornie okaleczone, z krzyżami wyrytymi bagnetem na policzkach.

O której godzinie raport o masakrach wysłany przez dowództwo wojsk izraelskich w zachodnim Bejrucie dotarł do adresatów w Izraelu, a więc do generała Amira Droriego i dalej – do ministra Szarona?

Generał Drori twierdzi, że depeszę otrzymał dopiero w piątek rano o godzinie 8.00, czyli w osiem godzin po jej wysłaniu z Libanu. Czyżby więc w sprawnie działającej armii izraelskiej coś zepsuło się na tyle, że pilna wiadomość sztabowa musiała wędrować aż tak długo?

Dziennikarze izraelscy okazali się szybsi od wojskowych. Zeev Shiff, reporter telewizyjny przebywający akurat w Tel-Awiwie, już o północy był powiadomiony przez swoich informatorów w Bejrucie, że „w obozach uchodźców palestyńskich dzieje się coś złego". Zatelefonował od razu do swojego znajomka, ministra poczty Mordechaja Ziporiego, ten zaś przekazał informację ministrowi spraw zagranicznych Szamirowi, który – jak zeznawał już po faktach – oświadczył, że skomunikował się ze „swoimi ludźmi w armii" i otrzymał odpowiedź, że sytuacja jest normalna i w obozach nic szczególnego się nie dzieje.

A co robił w piątek przed południem, czyli po pierwszej nocy rzezi w obozach Sabra i Szatila, generał Ariel Szaron, który wydał rozkaz wpuszczenia tam falangistów Haddada? O godzinie 11 spotkał się na lotnisku wojskowym z Amirem Drori, ale o obozach Sabra i Szatila jakoby nie rozmawiali. Szaron spieszył się: nadchodził szabas, a on chciał spędzić to cotygodniowe święto na swojej farmie w Negev. Czekał już na niego dyspozycyjny helikopter.

Po południu minister obrony wchodził już do dużego, niskiego budynku, usytuowanego na szczycie wzgórza. Tutaj, w swojej

prywatnej siedzibie, komfortowo urządzonej i ozdobionej niezliczoną ilością kwiatów w doniczkach i wazonach przez żonę Lily, czuł się najlepiej. Z zadowoleniem i dumą spoglądał przez okno: był z powołania rolnikiem, a jego farma licząca 400 hektarów powierzchni figurowała na czele listy izraelskich majątków obszarniczych jako największa i najlepiej prowadzona.

Spać poszedł dość wcześnie. Na krótko przed północą zbudził go telefon. Dzwonił dziennikarz Ron Ben Yshai, mówił, że w obozach Sabra i Szatila „sprawa przybrała niedobry obrót", że odbywa się tam istna rzeź Palestyńczyków.

– Wiem, wiem – odburknął sennym głosem Szaron. – Kazałem wstrzymać operację.

Po czym zasnął ponownie. Jak człowiek o czystym sumieniu.

Masakra trwała przez cały piątkowy dzień i noc z piątku na sobotę. Po zmierzchu na niebie znowu pojawiły się izraelskie flary, wystrzeliwane co pół minuty. Słychać było gęste salwy z broni maszynowej i wybuchy ładunków burzących domy. W bezpośrednim sąsiedztwie obozów dało się uchwycić uchem jeszcze turkotanie jakichś wielkich maszyn. To buldożery, które haddadowcy wprowadzili do obozów, kopały rowy, nagarniały na swoje łyżki ludzkie ciała, rzucały je do wygrzebanych jam, po czym przysypywały ziemią i uklepywały. Jaki był cel tej makabrycznej mechanizacji masowego pochówku? Czyżby haddadowcy wierzyli, że dzięki temu zbrodnię ludobójstwa uda się utrzymać w tajemnicy? Jeśli tak, to przeliczyli się. W sobotę rano, gdy wycofywali się z obozów, pozostały jeszcze setki nie pogrzebanych trupów, rozkładających się szybko w subtropikalnym słońcu Libanu.

Gdy do obozów Sabra i Szatila wkroczyła regularna armia libańska, a wraz z nią funkcjonariusze Czerwonego Krzyża, Czerwonego Półksiężyca i dziennikarze, zastali tylko pomordowanych. Sprawcy masakry rozpłynęli się jak gdyby w powietrzu. Poszły w ruch kamery telewizyjne, rozległ się suchy trzask migawek aparatów fotograficznych. Rosło ikonograficzne archiwum masakry, ale zdjęcia ludzi w oliwkowych mundurach będą wręcz unikatowe, jako że mordercy, jeszcze przed rozpoczęciem rzezi, grozili śmiercią każdemu, kto usiłował ich fotografować.

Dziennikarze rozpoczęli rozmowy ze świadkami, z ludźmi, którym udało się przeżyć. Okazało się, że akcja eksterminacyjna wykraczała poza teren obozów. W szpitalu Akka, usytuowanym na południe od obozu Szatila, ale poza jego obrębem, już w czwartek w nocy pojawili się pierwsi ranni uciekinierzy prosząc o azyl i pomoc lekarską. W ślad za nimi pojawiło się komando bojówkarzy Haddada; lekarze i personel pielęgniarski otrzymali rozkaz natychmiastowego opuszczenia szpitala. Byli to przeważnie cudzoziemcy – dwaj Francuzi, Norweżka, Filipinka, Egipcjanin i tylko jeden Palestyńczyk – lekarz pediatra doktor Sami Khatib. Ten został odstawiony na bok, wyprowadzony na dziedziniec szpitalny i rozstrzelany.

Po wypędzeniu lekarzy komando przystąpiło do oględzin chorych: kto mówił po arabsku z akcentem palestyńskim, od razu dostawał kulę, ci, którzy mogli jeszcze chodzić, wywlekani byli na zewnątrz i tam mordowani uderzeniem siekiery. Zginęło 120 osób, w tym dwoje dzieci. W amoku zabijania haddadowcy przestali już odróżniać Palestyńczyków od innych, zastrzelili kucharza szpitalnego – Egipcjanina i dwóch rdzennych Libańczyków. Natomiast bardzo przytomni i skrupulatni okazali się zaraz po egzekucji: obrabowali swoje ofiary z pieniędzy, zegarków, biżuterii, nie zostawiając niczego, co miało jakąkolwiek wartość.

Sobotni dzień 18 września zastał izraelskiego premiera Begina pogrążonego w modłach. Było to święto Roch Hachana, żydowski Nowy Rok, i Begin nie wychodził z synagogi aż do późnego popołudnia. Dopiero około godziny 17 dowiedział się z radia BBC, co zaszło w obozach Sabra i Szatila. Tak przynajmniej tłumaczył się przed parlamentarną komisją dochodzeniową, nie wiedząc, jaki cios zada mu Ariel Szaron, który, rzecz oczywista, nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności. Szaron postarał się o tak zwane „przecieki", z których wynikało, że premier dzwonił do niego w sobotę rano, zanim jeszcze rozpoczął modły o pomyślność w nowym roku. Co więcej: Szaron dawał do zrozumienia, że jest w posiadaniu siedmiu taśm z nagraniami rozmów Begina na temat palestyńskich obozów w zachodnim Bejrucie, prowadzonych w okresie od 14 do 18 kwietnia.

Nielojalność wobec premiera? No cóż, Szaron nigdy nie uwielbiał Begina, choćby dlatego, że premier ostentacyjnie sprzeciwiał się jego planom totalnej zagłady Palestyńczyków – chociaż wiadomo było, że sam również życzył im jak najgorzej, tyle że nie chciał ściągnąć na siebie odium światowej opinii.

W sobotę rano korespondenci prasy zagranicznej zjawili się w obozach Sabra i Szatila, by poinformować swoje redakcje o tym, co zaszło tam w ciągu ostatnich 48 godzin. Byli tu: Robert Fisk z brytyjskiego „Timesa", Ron Ben Yshai z telewizji izraelskiej, Dominique Pouchin ze znanej francuskiej gazety „Le Monde", Marc Kravetz z paryskiego dziennika „Le Matin", Sorj Chalandon z „La Liberation" i wielu innych. Wdychając nieznośny fetor rozkładających się trupów, których nie zdążyły zagrzebać buldożery, rozmawiali ze świadkami zagłady, szczęśliwcami, którym udało się ocalić głowy. Te wywiady i rozmowy mogłyby złożyć się na gruby tom opowieści grozy, tu zostaną zacytowane tylko ich fragmenty.

Mówi mieszkaniec obozu Szatila, Palestyńczyk, głowa rodziny F. (w obawie przed późniejszymi represjami wolał nie podawać nazwiska):

– W czwartek wieczorem siedzieliśmy w domu, gdy nagle na niebie pojawiły się rakiety oświetlające. Sąsiad wpadł krzycząc: „Falangiści zabijają ludzi!". Nie bardzo mu wierzyliśmy i poszliśmy spać. Nazajutrz rano wyszliśmy ze szwagrem Sobhi F. i zobaczyliśmy na przyległych do naszej uliczkach dziesiątki trupów. W tej samej chwili usłyszeliśmy głos z megafonów: „Poddajcie się, idźcie do Sportowego Miasteczka, a nic złego wam się nie stanie!". Było już jednak za późno. Trzech uzbrojonych ludzi w mundurach zielonego koloru postawiło nas pod ścianą, krzycząc: „Jesteście Palestyńczykami, chodźcie z nami!" Znaleźliśmy się w konwoju złożonym z dwóch grup: w jednej byli mężczyźni, w drugiej kobiety, pilnowało nas kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi. Kobiety uderzyły w płacz, więc odprowadzono je na stronę i rozstrzelano. Do nas powiedziano: „Co to za bałagan? My nie zabijamy ludzi tak od razu, będziecie przesłuchani, a później

sądzeni". Powiedziałem wtedy: „na miłość Allacha, na miłość proroka Mahometa – nie zabijajcie!" Jeden z nich odkrzyknął: „Wyście zabili szejka Beszira!" A my na to: „Nie mamy z tym nic wspólnego, jesteśmy ludźmi pokoju, nie mamy broni. Niechaj Allach zabija tych, którzy naprawdę zabijają!". Któryś wojskowy wrzasnął: „Nie ma Allacha, nie ma Mahometa, Allach i Mahomet to my! Naprzód, skurwysyny!" Popędzono nas na stadion do Miasteczka Sportowego. Stamtąd udało mi się uciec w piątek o szóstej rano. Mijałem rowy wypełnione zwłokami.

Khalil Ahmad, Libańczyk, opowiada:

– W czwartek odwiedziłem moją matkę, która mieszkała w obozie Sabra, niedaleko od szpitala Gazza. Wiedziałem, że ta dzielnica była bombardowana i byłem niespokojny. Na szczęście dom matki był nietknięty. Przenocowałem tam, a nazajutrz zbudziły mnie jakieś krzyki. Byłem przekonany, że ludzie, którzy otoczyli dom, to Izraelczycy i wyszedłem śmiało na ich spotkanie. Ale oni zaczęli wyrzucać z domu wszystkich, którzy tam mieszkali; na rękawach mundurów mieli cedr libański i napis po arabsku „Siły Zbrojne Libanu". Gdy zaczęli mnie lżyć i popychać, powiedziałem: „Czego ode mnie chcecie, jestem Libańczykiem!" Na to oni: „Jesteś Libańczykiem, to co robisz między Palestyńczykami? Skoro tu mieszkasz, to powinieneś polować na Palestyńczyków. Nie robiłeś tego – to twój błąd". Zgromadzono nas na pobliskim placu i rozdzielono: osobno Libańczycy, osobno Palestyńczycy. Popędzono nas razem w kierunku ambasady Kuwejtu. Kobiety palestyńskie miały widać złe przeczucia, bo dzieci, które niosły na rękach, usiłowały oddać Libańczykom. Dostrzegła to eskorta i z powrotem odnosiła dzieci do grupy palestyńskiej. Do nas, Libańczyków, co chwila zbliżał się jakiś żołdak, wyciągał pierwszego z brzegu i wołał: „Teraz dopiero stałeś się Libańczykiem, co? A dlaczego mieszkałeś razem z tymi sukinsynami?" Przewracali ludzi na ziemię i tratowali ich butami po karkach. W pobliżu ambasady Kuwejtu przejęła nas armia izraelska. Izraelczycy także nas lżyli, ale nie dopuszczali się żadnych rękoczynów i nie mieli zamiaru zabijać. Co się stało ze schwytanymi wraz ze mną Palestyńczykami, nietrudno się domyślić. Nie spotkałem

już nigdy żadnego z nich. Mówiono, że ich przesłuchiwali, pytali o broń i kontakty z fedainami, po czym „terrorystów" ładowali na samochody i odwozili w nieznanym kierunku.

Munir, jedyny ocalały z całej rodziny Palestyńczyk, miał wówczas 13 lat. Oto jego relacja, niezbyt składna, trochę jeszcze dziecięca:

– To było w czwartek po południu. Bombardowano nas, więc zeszliśmy do schronu. Siedział tam mój wujek z sześciorgiem swoich dzieci i sąsiad ze swoimi dzieciakami. Strasznie dużo ludzi tam było, zwłaszcza kobiet i dzieci. I wtedy weszli ci uzbrojeni ludzie. Wypędzili nas na ulicę. Mężczyzn postawili pod murem i zastrzelili, także mojego ojca. Gdy powstał zgiełk wśród kobiet i dzieci, zaczęli strzelać do nas: zabili moją matkę i siostry, a było ich trzy, ja sam dostałem tylko w nogę. Potem ci ludzie powiedzieli: „Ranni wstawać, zaprowadzimy was do szpitala". Ja nie wstałem, i dobrze. Ci, którzy z nimi poszli, zaraz zostali rozstrzelani. Zabili także dzieci moich kuzynów. Słyszałem, co tamci mówią: „No tak, gdyby podrośli staliby się terrorystami, trzeba z nimi skończyć". I skończyli. Ja udawałem martwego. W nocy oni jeszcze przyszli i oświetlali latarką leżących. Oko mi drgnęło, więc jeden z nich wyciągnął pistolet i chciał do mnie strzelić. Ale drugi powiedział: „Zaczekaj, ja go o coś zapytam. „Jesteś Palestyńczykiem, czy Libańczykiem?". Libańczykiem – odpowiedziałem. Wtedy pomogli mi wejść do mojego domu i usiąść na fotelu ojca. Tu znalazł mnie jeden kolega. Nie wiem, kiedy to było i odwiózł samochodem – nie wiem czyim – do szpitala Gazza.

Według źródeł zachodnich w obozach Sabra i Szatila zginęło około 1800 osób. Palestyńczycy podają liczbę wyższą: około 3000. Poza tym wielu uznano za „zaginionych".

„Szok, oburzenie, przerażenie i żałoba przekroczyły na całym świecie wszystko, co w ostatnich latach zdarzyło się w jakichkolwiek, niestety tak licznych, ośrodkach kryzysów. Potępienie było tym razem jednoznaczne ze strony wszystkich państw, wszystkich rządów i całej prasy światowej, bez względu na różnice światopoglądowe i polityczne. Jest rzeczą absolutnie pewną,

że chociaż Izrael w oświadczeniu, które traktowane jest przez większość komentatorów jako wręcz bezczelne, wypiera się jakiegokolwiek udziału w ludobójstwie na wielką skalę, to według powszechnych opinii, jeśli nawet sam tego nie organizował, ponad wszelką wątpliwość dysponował środkami, aby do masakry nie dopuścić lub w czasie niej interweniować. Zdaniem większości prasy zachodniej, Izrael, który cieszył się sympatią tak wielu państw, sympatię tę raz na zawsze utracił".

Tak rozpoczynał się komunikat Polskiej Agencji Prasowej z dnia 20 września 1982 roku, oparty na doniesieniach własnych korespondentów oraz relacjach agencji o światowym zasięgu, takich jak Reuter, UPI, AFP, DPA, SINHUA, TASS. Podczas gdy ekipy sanitarne obsypywały niegaszonym wapnem ciała rozsiane po uliczkach obozów Sabry i Szatili, w telewizji i prasie padały pytania o konkrety: kto i w jakim stopniu jest winien?

Wspomniane w komunikacie PAP obrady izraelskiego gabinetu, w nocy z 19 na 20 września, musiały mieć gorący przebieg. Po prawie czterogodzinnej dyskusji ogłoszono uzgodnioną rezolucję: „Wszystkie pośrednie i bezpośrednie oskarżenia, że armia izraelska ponosi jakąkolwiek winę za ludzką tragedię, która rozegrała się w obozie Szatila, są całkowicie bezpodstawne, nie opierające się na niczym. Rząd odrzuca je z całą pogardą, na jaką zasługują... Nikt nas nie będzie uczył etyki i poszanowania życia ludzkiego, są to bowiem wartości, w których zostaliśmy wychowani i w których zostaną wychowane pokolenia przyszłych bojowników izraelskich".

Tyle podano do wierzenia opinii publicznej w Izraelu i poza nim. Ale rządowi popsuł sprawę lider opozycji, Szimon Peres, który wystąpił w telewizji z żądaniem dymisji premiera Begina i zwołania parlamentu izraelskiego, Knesetu, w celu wyjaśnienia okoliczności wydarzeń w Bejrucie.

Z trybuny parlamentarnej Peres wołał:

– Odpowiedzialność ponosi ten, kto nie potrafił przewidzieć skutków i wydał rozkaz wejścia na teren obozów palestyńskich!

Zarzuty te kierował pod adresem premiera i ministra obrony Ariela Szarona. Ten ostatni nie wytrzymał nerwowo, wstał i su-

chym głosem przyznał, że to on wydał rozkaz wpuszczenia milicjantów libańskich do obozów. Na sali powstał harmider nie do opisania, tym większy, że opozycja zażądała powołania specjalnej komisji dla przeprowadzenia śledztwa w tej kwestii. Begin opierał się, jak mógł, w końcu jednak ustąpił i zgodził się na utworzenie komisji. Sesja parlamentu była jawna, przysłuchiwali się jej korespondenci zagraniczni, toteż obrad nie można było skwitować byle wykrętem.

Na czele komisji śledczej stanął sędzia Kahane. Zbierał relacje polityków i wojskowych bezpośrednio związanych z masakrą, przesłuchiwał świadków niższego szczebla i w lutym 1983 roku przygotował dokument znany później jako „raport Kahana".

Interesujący to raport, niełatwy do rozszyfrowania; trudno się czasem zorientować, czy sędzia potępia w nim, czy broni swoich wysoko postawionych ziomków. Warto prześledzić kolejne punkty tego raportu dotyczące poszczególnych osób.

Najpierw premier Begin. Stwierdza się w raporcie, że nie udało się podważyć oświadczenia premiera, iż o masakrze w obozach Sabra i Szatila dowiedział się dopiero po 36 godzinach z radia BBC. Jednakże i wtedy zachował on „zadziwiającą obojętność" wobec wypadków w Bejrucie.

Dalej – generał Ariel Szaron. To głównie on ponosi odpowiedzialność. Jako minister obrony, skrupulatnie nadzorujący operacje militarne w Libanie, nie mógł nie wiedzieć o nastrojach panujących wśród bojówkarzy Haddada. Był doskonale zorientowany, że po śmierci Beszira Dżemajela dyszą oni pragnieniem zemsty na Palestyńczykach i libańskich lewicowcach. Mimo to skierował falangistów do obozów. „Popełnił ciężki błąd" – stwierdza się w raporcie Kahana.

Generał Rafael Eytan, szef sztabu generalnego, także nie jest bez winy. Brał on udział w wielu spotkaniach z dowódcami falangistów Haddada i musiał znać ich zamiary. Równie winien jest generał Yehoshua Saguy, szef wywiadu wojskowego, który jakoby nie miał pojęcia o nastrojach panujących wśród chrześcijańskiej Falangi, zwłaszcza tej skrajnie prawicowej, spod znaku Haddada.

No, a Mossad – osławiony cywilny wywiad izraelski, ponoć wszechwiedzący? Kahane zarzuca mu kompletną bezczynność w dniach poprzedzających masakrę. Istotnie tak było, ale szef Mossadu, generał Icchak Chofi, mógł się łatwo z tej bezczynności wytłumaczyć, ponieważ przechodził właśnie na emeryturę i przekazywał sprawy mianowanemu na jego miejsce Jekutielowi Adamowi, ten zaś niebawem zginął na froncie i wywiadem w praktyce nie kierował nikt.

Sędzia Kahane stwierdza z całą stanowczością, że z izraelskiego stanowiska dowodzenia w zachodnim Bejrucie nie sposób było dostrzec, co działo się w obozach Sabra i Szatila w czwartek i piątek 16 i 17 września. Wprawdzie przez lornetki widać obozy, ale obserwacja ich wąskich, ciasnych uliczek była niemożliwa.

Raport Kahana nie został opublikowany w całości. Nie ma w nim ani słowa o bezpośrednich sprawcach zbrodni, nie wspomina się o izraelskich bombardowaniach obu obozów w wigilię wkroczenia falangistów. Pominięto także drobny na pozór fakt odnalezienia wśród ciał pomordowanych legitymacji żołnierza izraelskiego nazwiskiem Benny Haim... Czy istniał taki żołnierz rzeczywiście? Tak! – ustalili korespondenci prasowi, nawet izraelscy (dziennik „Haaretz"). Utajniono także część raportu zwaną „Appendix B". Co zawierała?

Władze Izraela przetrzymały falę oburzenia i oskarżeń, kierowaną ku nim z całego świata, nawet ze Stanów Zjednoczonych, które od lat tak konsekwentnie patronowały wszelkim poczynaniom żydowskiego państwa. Pod naciskiem opozycji generał Szaron ustąpił ze stanowiska ministra obrony, ale otrzymał tekę szefa resortu przemysłu i handlu. Nie przejmował się zarzutami Białego Domu i prezydenta Reagana osobiście i w rozmowach powtarzał to, co kiedyś powiedział Orianie Fallaci:

– Musieliśmy skłonić terrorystów [bojowników palestyńskich – M.A.] do opuszczenia Bejrutu, a jedynym sposobem osiągnięcia tego celu były bombardowania.

O obozach Sabra i Szatila generał nie mówił nic. Odezwał się w tej sprawie dopiero na początku 1985 roku, kiedy to stanął

przed sądem amerykańskim, aby dochodzić swoich praw względem tygodnika „Time”, który oskarżył o zniesławienie. Żądał 50 milionów dolarów odszkodowania za nieprawdziwą, jego zdaniem, informację zawierającą się w jednym zdaniu: „po śmierci Beszira Dżemajela generał Szaron przybył złożyć kondolencje rodzinie zabitego i przy tej okazji przedyskutować konieczność wzięcia rewanżu przez falangistów”.

Tymczasem „Time” twierdził, iż informacja jest prawdziwa, tyle tylko że pochodzi z nie opublikowanej części raportu Kahana – „Appendix B”. Sąd amerykański ogłosił salomonowy wyrok: Ariel Szaron ma rację, został zniesławiony, jednak 50 milionów dolarów nie otrzyma, przeciwnie – sam będzie musiał zapłacić milion z tytułu kosztów 10-tygodniowego procesu.

Menachem Begin był znacznie mniej powściągliwy w słowach niż „Arik” Szaron. Z natury wybuchowy, lubił walić pięścią w stół, gdy ktoś mu się przeciwstawiał. Zdenerwowany zaczynał mówić po polsku (urodził się w Brześciu). Tak też było, gdy dwaj dziennikarze amerykańscy zapytali go o okoliczności rzezi w obozach Sabra i Szatila: „Goje pozabijali gojów, a nas chcą za to wieszać!” – zawołał po polsku. Amerykanie nie znali polskiego, więc Begin powtórzył to po hebrajsku, w nieco łagodniejszej już formie: „Goje mieli między sobą porachunki, a teraz nas o to oskarżają”.

W końcu października 1982 roku, a więc w miesiąc po masakrze, wszędobylski reporter amerykański Robert Fisk odnalazł majora Haddada w jego kwaterze głównej na południu Libanu. Kwatera mieściła się w willi majora na wzgórzu Marjayoun. Major siedział na stopniach schodów prowadzących do willi i tam także zaproponował zajęcie miejsca dziennikarzowi. Był odprężony, mówił swobodnie, bez zażenowania i podniecenia:

– Oficjalnie moich ludzi w Bejrucie nie było. Niektórzy mogli się tam przedostać, ale tych widocznie zaangażowano do innych sił zbrojnych Libanu. My jesteśmy ludźmi pokojowymi, czystymi, nikomu nie zrobiliśmy żadnej krzywdy. Zawsze jestem szczery. Jeśli coś robię, nie wypieram się tego, mówię o tym głośno. Oskarżenie o udział w masakrze jest dla mnie udręką. To oskarżenie jest gorsze od samej zbrodni.

– Czy to prawda – pyta Fisk – że był pan na lotnisku bejruckim w piątek 17 września? Widzieli tam pana oficerowie libańscy.

– Tak, byłem na lotnisku. Przybyłem helikopterem izraelskim. Lecz tylko po to, żeby polecieć do Bikfaya i złożyć kondolencje rodzinie Dżemajelów po śmierci Beszira. Byłem w Bikfaya, ale nie w Bejrucie.

– A co powie pan na temat oskarżeń tych, co przeżyli, że właśnie ludzie w oliwkowych mundurach w tym samym czasie byli w obozach Sabra i Szatila? I to po to, aby mordować kobiety i dzieci... Widziało tych milicjantów wielu dziennikarzy zagranicznych.

– To kłamcy, prawie wszyscy są najemnikami palestyńskich fedainów. Być może widzieli nasze odznaki, ponieważ niektórzy z nas mogli służyć w innych siłach zbrojnych w Bejrucie. Ja oficjalnie nie miałem moich ludzi w stolicy. Poza tym istnieją kolekcjonerzy dystynkcji. Być może ci, o których mowa, posłużyli się nimi.

Robert Fisk przeszedł do ataku.

– Pewien izraelski major powiedział mi, że jego jednostka powaliła dwóch pańskich ludzi i zatrzymała dwóch dalszych: działo się to w godzinie masakry, w piątek nad ranem. Czy z tym też się pan nie zgadza?

Haddad traci rezon, wstaje, przeciera oczy.

– Trzech moich ludzi – mówi cicho – udało się w piątek do Bejrutu, ponieważ usłyszeli o rzezi i chcieli przenieść w bezpieczne miejsce swoich krewnych z dzielnicy Mouseibeth. Pochodzą z południa, z Kfar Tibnit, z Deir Zachrani i z Nabatea. Jeden z nich został ranny, pozostałych dwóch schroniło się u Izraelczyków.

– Jeśli ci ludzie wiedzieli coś o rzezi, to czy i pan nie powinien był o niej wiedzieć?

– Nie, podówczas nic o tym nie wiedzieliśmy. Ani Amin Dżemajel, ani ja. Proszę posłuchać – mówił dalej major, drepcząc po stopniach schodów – w stanie wojny znajdujemy się nieprzerwanie od lat. Wyzywam każdego, kto da przykład masowej masakry dokonanej przez nas na Libańczykach czy nie-Libańczy-

kach. Nasza wojna jest wojną z terrorystami i z Syryjczykami. Terroryści splądrowali Bejrut już przedtem, a zatem nie mieliśmy powodu udawać się tam i walczyć z Libańczykami czy też z bezbronnymi Palestyńczykami... Proszę ich zapytać, czy chociaż jeden z nich został zabity przez moich ludzi.

„Zdaniem Haddada – notuje Fisk – jego siły zbrojne nie podejmują żadnych działań bez porozumienia z wojskiem izraelskim. Akcje indywidualne są nie do przeprowadzenia bez zgody Izraelczyków".

– Nie było nam wolno – pomrukuje major Haddad – przekraczać rzeki Aouali, zgodnie ze sztywnym rozkazem Izraela.

„Szkoda – dodaje Fisk – że to nieprawda. Niedawno temu widziałem ludzi Haddada, w ich mundurach oliwkowo-khaki, ze znakami złotej szpady na tle cedru, gdy siedzieli obok żołnierzy izraelskich przy drodze prowadzącej do Bejrutu, o ponad 16 kilometrów na północ od tej rzeki. Poza tym w Bejrucie zatrzymano dwa pojazdy opancerzone, prowadzone przez ludzi Haddada. Było to wczoraj, 22 września 1982 roku..."

Haddad robił wrażenie „aniołka, który spadł z obłoków", kogoś zupełnie niewinnego.

– Wyjaśnię panu – powiedział – dlaczego wygaduje się o mnie te wszystkie rzeczy. Liban miał dwóch silnych ludzi Beszira Dżemajela i Haddada. Zabili Beszira, teraz usiłują wykończyć Haddada. Ci, którzy szerzą te oskarżenia, to Libańczycy, którym nie podoba się taki patriota jak ja.

– Proszę mi powiedzieć, ilu pańskich ludzi było naprawdę w Bejrucie podczas masakry?

– Może dziesięciu, może dwudziestu było w akcji. Razem z innymi. Ale ja nie mam nic wspólnego z tą sprawą. Nie myślałem nawet o tym, żeby pojechać do obozów Sabra i Szatila.

A więc, nie ma winnych. Można by przypuszczać, że Palestyńczycy w bejruckich obozach uchodźców sami się pozabijali, a wcześniej zmasakrowali swoje żony i dzieci.

W rok po masakrze odwiedził obozy Sabra i Szatila specjalny wysłannik „Expressu Wieczornego", Andrzej Radajewicz. Palestyńczycy – ci, którym udało się uniknąć zagłady – wrócili do swoich slumsów. Mieszkali, być może, w pobliżu rowów udeptanych buldożerami – grobów swoich najbliższych. Nie mają wszakże innego wyjścia: dokąd i w jaki sposób mogą wyjechać? Nie mają paszportów ani innych dowodów osobistych, przeto żaden kraj nie udzieli im prawa wjazdu. Nie mają pieniędzy – tylko niewielka część z nich otrzymuje zasiłki z UNRWA (United Nations Works and Relief Agency for Palestinian Refugees – Agencja Narodów Zjednoczonych Działania i Pomocy na rzecz Uchodźców Palestyńskich), cała reszta zdana jest na własne siły. Mieszkają nadal w obozach Sabra i Szatila; być może w oczekiwaniu kolejnej katastrofy...

WOJNA O NIEGOŚCINNE WYSPY

Była godzina 2.30 nad ranem (czasu miejscowego) dnia 2 kwietnia 1982 roku, gdy ośmioosobowy patrol brytyjskich marines zbliżał się do latarni morskiej na przylądku Pembroke. Latarnia stoi na wyniosłości, można więc stąd kontrolować kanał prowadzący od morza do Port Stanley, stolicy Falklandu Wschodniego, a zarazem i całego archipelagu Falklandów, przez Latynosów zwanych Malwinami. Gdyby inwazja w celu opanowania stolicy miała nastąpić z morza, mogło się to odbyć tylko tym jedynym kanałem.

Żołnierze patrolu okutani w ocieplane kombinezony i zaopatrzeni w elektroniczne aparaty alarmowe byli w nie najlepszych nastrojach. Kwiecień na antypodach to późna jesień, zbliżała się zima ze swoim dokuczliwym mrozem i jeszcze bardziej dokuczliwymi wiatrami, wyjącymi nad lekko pofalowanym terytorium Falklandu Wschodniego. Służba przebiegała spokojnie, może nawet zbyt spokojnie – wręcz monotonnie. Coś się tam wprawdzie przebąkiwało o możliwości argentyńskiej inwazji na archipelag, ale prawdę mówiąc nikt w to za bardzo nie wierzył. Nie wierzyło przede wszystkim dowództwo w Londynie, bo całego obszaru „Naval Party 8901” (wojskowy kryptonim Falklandów) strzegło zaledwie 79 marines, z czego latarnię obsadzało 8, a lotnisko – 4; cała reszta chroniła radiostację i główny obiekt wyspy – siedzibę gubernatora.

Najbardziej dokuczał żołnierzom brak odpowiedniego relaksu po służbie, a zwłaszcza brak... kobiet. Wśród całej ludności archipelagu, liczącej 1813 osób, było wtedy nie więcej niż 30 młodych niezamężnych kobiet, a i tych strzegli skrupulatnie miejscowi mężczyźni, widząc w nich przyszłe żony i matki, których zadaniem

miało być umacnianie falklandzkiej społeczności. Tylko sporadycznie żołnierzowi odkomenderowanemu z Anglii, Walii czy Szkocji udawało się tutaj coś „poderwać”. A Falklandczycy – mężczyźni? Paskudne typy – zauważali żołnierze. Wyglądem przypominają Anglików celtyckiego pochodzenia, są jasnowłosi, rośli, na pewno silniej zbudowani niż ich krewniacy z Londynu, ale nieprzystępni i nieufni, co niejednokrotnie dawali odczuć w nielicznych barach Port Stanley, gdzie separowali się ostentacyjnie od wojskowych, jak gdyby widzieli w marines nie strażników i opiekunów, lecz okupantów. Później miało się to zmienić, ale za jaką cenę...

Niewesołe rozważania żołnierzy na Pembroke przerwało wydarzenie nagłe i niespodziewane. Na godzinę przed wschodem słońca wyłoniło się z morza komando argentyńskich płetwonurków i błyskawicznie otoczyło brytyjski patrol. Do samej niemal plaży podrzuciły napastników gumowe łodzie z argentyńskiego okrętu podwodnego, który krążył gdzieś dalej, poza zasięgiem wzroku.

Według pierwszych wiadomości z piątku rano (2 kwietnia) – przekazanych nie przez wojsko, ale przez cywilnych radioamatorów krótkofalowców – latarnia morska, a wkrótce po niej lotnisko Port Stanley poddały się bez strzału! Jak to możliwe? Wprawdzie dwunastu żołnierzy chroniących te obiekty to niedużo. Jednak dwunastu marines, solidnie szkolonych do zadań zaczepnych i obronnych, kutych na cztery nogi bojowych cwaniaków – to dużo. Musieliby trafić co najmniej na dwunastu Jamesów Bondów, aby ulec tak jak ulegli – w kompletnej ciszy, bez oporu. Zdjęcie, zamieszczone później w argentyńskiej i europejskiej prasie, ukazuje ich leżących pokornie na ziemi, z rękoma założonymi na głowach, pod lufami napastników...

Zaskoczenie? Rzecz w tym, że – jak się później okazało – wyspa była przygotowana na inwazję już w czwartek, 1 kwietnia. Tego dnia oficer marines, brytyjskiej piechoty morskiej, wezwał do budynku radiostacji członków straży wewnętrznej, która składała się z miejscowych ochotników i pełniła dotąd rolę rezerwy milicji. Młodym Falklandczykom rozdano pośpiesznie lekką broń automatyczną, lecz na pełniejszy instruktaż nie było już czasu.

Tego samego dnia, 1 kwietnia wieczorem, gubernator Rex Hunt wezwał właścicieli samochodów, aby swoje pojazdy ustawili na pasie startowym lotniska – dla zablokowania obcych lądowań. Sam, dla przykładu, zaparkował tam swój prywatny samolot. Gorączkowe przygotowania gubernatora do obrony wydały się wielu ludziom, nawet i żołnierzom, czymś dziwacznym i niepotrzebnym, nie wiedzieli bowiem, iż koło południa odebrał on szyfrowane depesze z Londynu informujące, że wysiłki mediacyjne ONZ w ostatniej fazie argentyńsko-brytyjskiego sporu o wyspy zakończyły się fiaskiem, podobnie jak interwencja prezydenta Stanów Zjednoczonych, i że ku Falklandom płyną okręty Argentyny: lotniskowiec „Veinticino de Mayo" i korweta „Cabo San Antonio". Inwazja nastąpi lada chwila!

Na zorganizowanie skutecznej obrony było już jednak za późno. Kilkudziesięcioosobowe komando argentyńskie, które zajęło latarnię Pembroke oraz lotnisko, okazało się jedynie forpocztą znacznych sił inwazyjnych, w ślad za nim „Cabo San Antonio" wyrzucił na ląd 300 żołnierzy piechoty morskiej, którzy pomaszerowali wybrzeżem w kierunku Port Stanley. 400 marines wysadził lotniskowiec „Veinticino de Mayo", zaopatrując ich równocześnie helikopterem w ciężką broń i amunicję.

Bitwa o Port Stanley trwała zaledwie trzy godziny. Ostry opór stawiły tylko radiostacja, a następnie siedziba gubernatora – niewielki pawilon w stylu kolonialnym, położony na peryferiach miasta. Przewaga sprawności bojowej była niewątpliwie po stronie Brytyjczyków: zginął argentyński oficer, dwóch innych zostało poważnie rannych (potwierdzono to w Buenos Aires), a liczby rannych żołnierzy można się już tylko domyślać. Strat własnych nie było. Z walki Brytyjczycy zrezygnowali dopiero na rozkaz gubernatora. Mimo wielokrotnej przewagi liczebnej przeciwnika, który po przygotowaniu ogniowym z moździerzy rzucił do ataku co najmniej 700 ludzi, obrona mogła z pewnością trwać dalej.

Ta szybka kapitulacja, podobnie jak zaskoczenie w pierwszej fazie inwazji, dały obserwatorom sporo do myślenia. 4 kwietnia, to znaczy w dwa dni po ściągnięciu z masztu przed gubernatorskim urzędem bandery Union Jack i zastąpieniu jej biało-niebieską flagą Argentyny, brytyjska gazeta „The Sunday Times" (jej korespondent Simon Winchester był na miejscu podczas walk) opisała klęskę na Falklandach bez emocji i dodała na koniec:

„Niektórzy Argentyńczycy z pewnością zastanawiają się, czy Anglicy aby nie podpuścili ich do zajęcia tych 100 rozrzuconych szeroko, niegościnnych, obrośniętych wodorostami wysp na bezkresach południowego Atlantyku. Zastanawiają się także, czy nie kryje się za tym jakiś podstęp i czy pewnego dnia nie przyjdzie za to zapłacić".

Istotnie, cały ten inwazyjny syndrom zawiera sporo faktów niezrozumiałych dla ludzi z zewnątrz. Szybka kapitulacja Rexa Hunta da się jeszcze jakoś wytłumaczyć: wobec przygniatającej przewagi przeciwników chciał, być może, oszczędzić ludzi i ich mienie. Ale czy zaskoczenie było rzeczywiście zaskoczeniem?

Niemało wątpliwości musiała wzbudzić brytyjska tolerancja wobec niedawnych, datujących się z końca 1981 roku, dwuznacznych poczynań niejakiego Davidoffa, prawdziwego czy też fałszywego kupca z Buenos Aires.

W chwili gdy argentyńskie oddziały inwazyjne lądowały na Falklandach (odtąd na Malwinach), Constantine Sergio Davidoff miał 42 lata. Na jego wizytówkach i papierach osobistych figurował zawód „kupiec". Ale taka klasyfikacja zawodowa w Argentynie do niczego nie zobowiązuje; jednego dnia można tu być kupcem, a następnego przestać nim być lub odwrotnie. W kołach finansjery nad zatoką La Plata nie istnieje również pojęcie branży: zdarza się, że ktoś handluje bydłem, a równocześnie pierzem oraz dziełami sztuki z epoki przedkolumbijskiej. Kto zna Buenos Aires, tego takie zjawiska ne dziwią, wie bowiem, że na argentyńskim rynku każda branża jest dobra, byle tylko przynosiła zyski.

Do takich właśnie wielobranżowców należał Davidoff. Później, kiedy po inwazji na Falklandy-Malwiny jego osoba zainteresowała światową prasę, ten i ów łowca sensacji, zasugerowany brzmieniem nazwiska Davidoff (Dawidow?), dawał do zrozumienia, iż może to być „agent Wschodu". Nic podobnego! Jest on, jak się okazało, typowym przedstawicielem kosmopolitycznej miesza-

nki ludnościowej Buenos Aires – synem bułgarskiego imigranta sprzed lat i greckiej imigrantki, pełnoprawnym obywatelem Argentyny.

Nie wiadomo, kiedy i za czyim poduszczeniem Davidoff zainteresował się skupem złomu na Falklandach. Być może było tak, jak w opowiadanej nad La Platą anegdocie, która mówi, że w stolicy Argentyny przedsiębiorczy człowiek najpierw otwiera biuro na reprezentacyjnej ulicy Corrientes, sprawia sobie mercedesa i angażuje ładną sekretarkę, a potem dopiero zastanawia się, czym handlować. Tak czy owak, Davidoff postanowił zbić fortunę na falklandzkim złomie.

Złom, o którym mowa, zalegał wyspę falklandzką Południową Georgię od początku lat sześćdziesiątych, kiedy to w owym rejonie wytępiono wszystkie wieloryby, a w wodach okolicznych akwenów pozostał tylko kontrowersyjny kryl. Firmy wielorybnicze zwinęły wtedy swoje interesy, pozostawiając na miejscu nieużyteczny już sprzęt. Davidoff nigdy na Falklandach nie był, ale przez swoich agentów (jak widać miał ich) dowiedział się, że na Południowej Georgii zostały cztery niszczejące stacje wielorybnicze, które należą do przedsiębiorstwa żeglugowego w Edynburgu. Znajdowały się tam stare parowe kutry połowowe, pływające doki, kołowroty i metalowe szopy, w których przerabiano niegdyś tłuszcz wielorybi na oleje, a kości na mączkę. Właściciel stacji nazywał się Christian Salvesen i mieszkał teraz w Londynie. Davidoff pchnął więc do niego swojego przedstawiciela, który został przyjęty z otwartymi rękami: nareszcie znalazł się amator na bezużyteczny złom! Jesienią 1979 roku całe to żelastwo Davidoff zakupił, prawdopodobnie za marne pieniądze.

Nikt dotąd nie potrafi wyjaśnić, dlaczego Davidoff zwlekał z realizacją żelaznego (dla niego – złotego) interesu przez ponad rok. Czy grały tu rolę względy handlowe – na przykład priorytet innych transakcji – czy też polityczne, uzgodnione z ówczesnymi władzami Argentyny? Dopiero w grudniu 1981 roku udał się po raz pierwszy na Falklandy, do portu Leith na Południowej Georgii i od razu ściągnął na siebie podejrzenia Brytyjczyków. Wbrew przepisom, które dobrze znał, nie uzyskawszy na tę podróż zezwolenia ambasady brytyjskiej w Buenos Aires, przeszmuglował się cichaczem na pokładzie lodołamacza argentyńskiej marynarki wojennej „Almirante Izira". Po powrocie opowiadał, że na całe to przedsięwzięcie otrzymał brytyjskie zezwolenie, a na Południowej Georgii bawił tylko kilka godzin, aby: „zinwentaryzować urządzenia i zrobić kilka zdjęć fotograficznych".

Nie ulega wątpliwości, że w tym czasie kontrwywiad brytyjski trzymał już na muszce każdego, kto kręcił się w rejonie Falklandów lub innych podległych im archipelagów. Działo się tak za sprawą ostrzeżeń, jakie kierował do brytyjskiego rządu Brian Frow, były brygadier RAF (Royal Air Forces – Królewskie Siły Powietrzne), teraz dyrektor generalny do spraw Wysp Falklandzkich w Londynie. Frow uchodził w oczach niektórych polityków brytyjskich za nieszkodliwego maniaka, który nieustannie węszy wokół domniemanych planów argentyńskiej inwazji. Na wszelki jednak wypadek zdwojono czujność.

Sam Frow nie posądzał początkowo Argentyńczyków o zamiar bezpośredniej inwazji, mówił tylko każdemu, kto chciał czy nie chciał słuchać, o indoktrynacji propagandowej na rzecz „powrotu" Malwinów do macierzy, która w ostatnim czasie bardzo się w Buenos Aires wzmogła. I rzeczywiście: każdy zamieszkujący w Argentynie Anglik mógł oglądać ostatnie wydania tamtejszych podręczników szkolnych, gdzie szeroko opisywano, w jaki to sposób chytry Albion przepędził w 1833 roku argentyńskiego gubernatora Islas Malvinas (Falklandów) i wywiesił na wyspach flagę Union Jack.

Frow przypuszczał, że Argentyna na razie chce jak najściślej związać ze sobą Falklandy poprzez kontakty gospodarcze, kulturalne, naukowe, aby w następstwie tego pełniejszym głosem żądać zwrotu wysp. Świadczyły o tym pewne fakty z końca lat siedemdziesiątych: Argentyńczycy zbudowali – za zgodą brytyjską oczywiście – własny pas startowy na lotnisku w Port Stanley, utrzymywali tam swoją obsługę lotniczą dla łączności z kontynentem Ameryki Południowej i – już bez zgody Londynu – założyli na wyspach Sandwich, wprawdzie od Falklandów dość odległych, bazę naukową i... wojskową.

Tymczasem w Londynie pan Salvesen bardzo się niecierpliwił, dlaczego Davidoff nie zabiera złomu? Edynburskie towarzystwo chciało jak najszybciej oczyścić z żelastwa swoje tereny, aby je sprzedać rolnikom. Argentyński przedstawiciel firmy Salvesen, niejaki Michael Gow, szepnął w ambasadzie Wielkiej Brytanii, komu potrzeba: „Daję głowę, że Davidoff planując podróż na Falklandy nie kieruje się motywami politycznymi". Rekomendacja podziałała i energiczny kupiec, mimo iż przed kilkoma miesiącami w sposób jawny naruszył brytyjskie przepisy, glejt, a przynajmniej obietnicę glejtu gwarantującego mu swobodę działania na wyspie, otrzymał. W ambasadzie brytyjskiej – opowiadał później – nie tylko winszowano mu pomyślnych interesów, lecz poproszono nawet o przekazanie różnych przesyłek dla brytyjskiej stacji naukowej na Południowej Georgii.

Ekipa Davidoffa, złożona z czterdziestu robotników, dobiła do portu Leith w dniu 19 marca 1982 roku na pokładzie bliżej nie ustalonego statku argentyńskiego. Był to czas szczególny: prezydenturę Argentyny objął właśnie generał Leopoldo Fortunato Galtieri, który zaostrzył natychmiast stanowisko swego kraju w rokowaniach o Falklandy – rokowaniach tajnych, które od dawna już prowadzono z Brytyjczykami, ostatnio w Nowym Jorku.

Gdy ekipa Davidoffa znalazła się na lądzie, każdy mógł się przekonać, że... szefa z nimi nie ma. Uznał, że jest niepotrzebny, czy może wiedział, co nastąpi, i wolał trzymać się z daleka? Niejasne jest także, komu przekazał kierownictwo nad „robotnikami"? Kimkolwiek był ten bliżej nie ustalony zastępca Davidoffa, nie zgłosił on przybycia Argentyńczyków do zarządu brytyjskiego w Grytviken, nie poprosił o zezwolenie na pobyt, rozbił po prostu obóz w pobliżu Leith, a wieczorem „robotnicy" oddali kilka salw w powietrze i wywiesili na obozowym maszcie niebiesko-białą flagę argentyńską...

Od tego momentu począwszy, różne są relacje o dalszych wydarzeniach. Według jednej z wersji, Brytyjczycy z Leith przez dłuższy czas w ogóle owej prowokacyjnej flagi nie dostrzegali, a strzelaninę kładli na karb pijaństwa, jakie na tej wyspie – zimnej, zapomnianej przez Boga i ludzi – jest plagą powszechną.

Inną wersję podali trzej Francuzi, którzy woleli nie ujawniać swoich nazwisk. Znajdowali się oni w tym czasie na Południowej Georgii z powodu awarii ich niewielkiego statku badawczego. Przyjęci chłodno przez Brytyjczyków poszukali kontaktu z argentyńskimi przybyszami, a ci odnieśli się do nich serdecznie i zaprosili do obozu z powiewającą flagą Argentyny.

„Kilku Brytyjczyków – opowiadali Francuzi – od razu wypatrzyło demonstrację flagową przez lornety i przybiegło na miejsce z awanturą. Odeszli jednak szybko na widok robotników Davidoffa, którzy okazali się argentyńskimi komandosami, w mundurach i z nowoczesną bronią. Prawdziwych robotników było zaledwie kilku".

Francuzi nie potrafili powiedzieć, czy komando przeszmuglowało się na statku wynajętym przez Davidoffa, czy też przybyło gdzieś z głębi wyspy.

Na Falklandach rozdzwoniły się telefony: Leith zaalarmowało Grytviken, a Grytviken – Port Stanley. Ciągle jednak nikt nie wierzył, że argentyńska inwazja już się zaczęła. Powiadomiony o wszystkim Londyn zaprotestował przeciwko obecności ludzi Davidoffa na Południowej Georgii, ale nie spieszył się z kontrakcją. Dopiero 24 marca, w pięć dni po strzelaninie rzekomych pijaków, przybył do Leith lodołamacz patrolowy brytyjskiej marynarki wojennej, „aby przepędzić najeźdźców". Na jego pokładzie przypłynęło dwunastu marines, tęgich wprawdzie zuchów, ale czy była to siła wystarczająca do odparcia agresji?

Finał prowokacji z flagą i strzelaniną do dzisiaj nie jest znany: przepędzono najeźdźców, czy też ich uwięziono? W dokumentach oficjalnych obu stron – Wielkiej Brytanii i Argentyny – mówi się ogólnikowo, że odtąd „następowała eskalacja napięcia". Prawdopodobnie argentyńskie komando po wykonaniu zadania wycofało się w głąb wyspy i oczekiwało na swoich, którzy niebawem przybędą licznie i zbrojnie, na pohybel angielskim okupantom.

Davidoff w tym czasie umykał przed reporterami telewizji i prasy. „Skąd tyle wrzawy – wołał – wokół moich interesów?". Korpulentny kupiec o orientalnych rysach narzekał, że biurokraci i formaliści uniemożliwili mu sprowadzenie złomu przez trzy nie-

mal lata, a w tym czasie cena tego towaru systematycznie spadała. „Miałem nadzieję zarobić 15 milionów dolarów, a teraz, nawet gdybym złom otrzymał, mógłbym zarobić najwyżej jedną szóstą tej sumy”. O tym, co zaszło w obozie pod Leith, nie miał pojęcia: stracił kontrolę nad ekipą robotników w momencie, gdy opuścili wody terytorialne Argentyny...

W pierwszej połowie kwietnia 1982 roku, każdego niemal dnia dobijały do portów falklandzkich okręty Argentyny z nowymi transportami wojska. W sumie wylądowało na wyspach przeszło 7000 ludzi. Po umocnieniu okupacyjnego garnizonu w Port Stanley oddziały argentyńskie ruszyły w głąb Falklandu Wschodniego z zadaniem przeczesania i skontrolowania interioru. Była to czysta formalność, Brytyjczycy mieli bowiem na Falklandach rzeczywiście tylko 79 żołnierzy, z którymi, nawiasem mówiąc, Argentyna nie wiedziała, co zrobić. Traktować ich jak jeńców wojennych? Niemożliwe, gdyż wojna nie została wypowiedziana. Trzymać w więzieniu niby zwykłych przestępców? To nie wypada. W rezultacie gubernatora i wszystkich marines załadowano na statek i odesłano do Urugwaju, skąd popłynęli dalej – do Anglii.

Nie mylił się reporter „The Sunday Timesa”, gdy sugerował, że obejmując w posiadanie Falklandy żołnierze argentyńscy doznają tylko rozczarowania. Przed 200 laty podróżnik brytyjski Samuel Johnson napisał o Falklandach: „Jest to kraj nieprzychylny człowiekowi, kraj, który w zimie wydany jest na pastwę wichrów, a latem zamienia się w pustynię”.

Od czasów Johnsona klimat oczywiście się nie zmienił, a człowiek nie ujarzmił przyrody. Na jednego rolnika przypada tutaj powierzchnia ziemi 1500 razy większa niż w zachodniej Europie, są to jednak przeważnie odłogi i mało wydajne pastwiska. Podstawę egzystencji farmerów stanowi hodowla owiec – dostarczycielek wełny.

W przeciwieństwie do innych rejonów świata liczba mieszkańców archipelagu stale maleje – kto może, emigruje na kontynent Ameryki Południowej czy Europy. Tylko niewielka grupka dziwaków, głoszących hasła „powrotu do natury”, zachwyca się Falklandami. Są to głównie przybysze ze Stanów Zjednoczonych, znużeni przerostem cywilizacji we własnym kraju. Czy warto więc było dokonywać w ogóle inwazji w imię „powrotu Malwinów”?

Argentyńskim marines nie podobał się tutejszy surowy klimat, znośny tylko dla żołnierzy pochodzących z Patagonii lub Ziemi Ognistej, a jeszcze bardziej klimat psychiczny, wytwarzany przez tubylców.

Choć, jak na okupantów, Argentyńczycy zachowywali się poprawnie, otaczała ich powszechna niechęć, przeradzająca się czasem w coś na kształt cywilnego ruchu oporu. Spiker lokalnej rozgłośni radiowej w Port Stanley, Patrick Watts, wprowadzał w błąd Argentyńczyków nadając zmyślone wiadomości tak długo, aż rozszyfrowano go i odcięto mu dopływ prądu. Lokaj wypędzonego gubernatora brytyjskiego Don Bonner odmówił swoich usług nowemu gubernatorowi, przybyłemu z Argentyny. Właściciel fermy mleczarskiej Malcolm Ashworth zabarykadował swoje obory, nie wpuszczając argentyńskich żołnierzy. Ktokolwiek próbował współpracować z Argentyńczykami, zyskiwał sobie miano zdrajcy...

Za sprawą argentyńskich żołnierzy nieprzychylne i tak człowiekowi Falklandy ostatecznie zamieniono w pustynię. Obawiając się brytyjskiego desantu, zaminowali oni całe połacie wysp, i to nie tylko w strefach przybrzeżnych: setki tysięcy min rozsiali na pastwiskach i polach uprawnych, w ukrytych pod śniegiem wrzosowych łąkach.

Zaczęły wylatywać w powietrze całe stada owiec, które, podobnie jak w południowej Argentynie, przez okrągły rok żywią się na wolnym powietrzu. Ginęły subpolarne kucyki, przepędzano niekiedy konie i krowy – nie mówiąc już o ofiarach śmiertelnych wśród ludzi. Wszystko to, rzecz prosta, nie przysparzało dobrej reputacji „wyzwolicielom” Malwinów, a wręcz przeciwnie, umocniło jeszcze mur niechęci i pogardy ze strony autochtonów. Miny pozostaną na Falklandach przez wiele jeszcze lat, są bowiem wykonane z plastyku i nie można zlokalizować ich za pomocą zwykłej aparatury saperskiej, czułej tylko na metal.

Jeden z hodowców, niejaki Claude Molkenbuhr, którego farma leżała w środku zaminowanego obszaru na cyplu Green Patch,

stracił w ciągu kilku tygodni ponad 1000 owiec i z zamożnego człowieka stał się nędzarzem. Innych czekało to samo. Czyż wobec tego można dziwić się, że Falklandczycy zatęsknili do swoich brytyjskich marines, tych samych, których przedtem lekceważyli i od których separowali się w knajpach?

Kiedy już z pałacu gubernatora ściągnięto flagę Union Jack i zastąpiono ją argentyńską, co było operacją stosunkowo prostą, przed nowymi zarządcami Malwinów – bo już nie Falklandów – stanął problem znacznie trudniejszy: jak nazwać teraz Port Stanley? Nie mogło przecież być mowy o dalszym kultywowaniu pamięci brytyjskiego podróżnika...

Gubernator wojskowy zwołał na naradę swoich sztabowców, ale wymyślenie patriotycznej nazwy dla stolicy Malwinów okazało się sprawą przekraczającą możliwości umysłowe oficerów. Początkowo opowiedziano się za nazwą „Puerto Vernet" – od nazwiska pierwszego reprezentanta władzy argentyńskiej na Malwinach, ale wniosek ten rychło upadł, gdyż patriotyzm Louisa Verneta, dziewiętnastowiecznego gubernatora wysp, budził jednak wątpliwości.

Odpadła także koncepcja nazwania stolicy „Puerto Rivero" – od nazwiska następcy Verneta, Antonia Rivero, ten bowiem okazał się postacią jeszcze bardziej kontrowersyjną. Gubernator zawiadomił o wszystkim Ministerstwo Kultury oraz Akademię Nauk w Buenos Aires i odtąd problem nazwy zaprzątał tylko specjalistów. Ci zaproponowali nazwę „Puerto de las Malvinas", ale była ona zbyt długa i mało oryginalna. Ostatecznie uzgodniono, że będzie to po prostu „Puerto Argentino".

Pozornie tylko owe debaty wyglądały groteskowo. Patriotom z Buenos Aires niełatwo było udowodnić historyczną przynależność Malwinów do Argentyny, podobnie zresztą, jak wyjaśnić samo określenie „Malvinas". Kiedy brali do ręki stare, kronikarskie zapiski, patriotyczna legenda o pradawnej argentyńskości archipelagu rozsypywała się jak domek z kart.

A więc, najpierw nazwa – „Malwiny". Nadali ją... Francuzi. Archipelag odkryli w 1706 roku marynarze z Saint Maló i na cześć swojego macierzystego portu nazwali go „Iles Malouines,

a „Las Malvinas" to tylko hiszpańskie przekształcenie. Na szczęście dla patriotów argentyńskich, Francuzi początkowo nie rościli sobie żadnych pretensji do tych wysp. Żeglowali wokół przylądka Horn, a Malwiny traktowali tylko jako punkt etapowy; niewielkie naturalne porty archipelagu dawały schronienie statkom uchodzącym przed sztormami i lodem, były więc dla nich cennym azylem.

Z czasem archipelag stał się nie tylko bazą ochronną i przystankiem na szlaku handlowym wiodącym wokół przylądka Horn; okoliczne wody okazały się przebogatym obszarem połowowym, rajem dla łowców fok, wielorybów, morsów, psów i lwów morskich – antarktycznych zwierząt, których skóry były równie cenne jak wyciskany z nich tłuszcz. Ów tłuszcz służył wtedy jako paliwo do lamp (było to przecież na długo przed odkryciem ropy naftowej) i jako wszelkiego rodzaju smary. Robiło się na tym znakomite interesy, nic więc dziwnego, że Malwiny – teraz już baza wypadowa wielorybników i innych łowców – z dnia na dzień zyskiwały na znaczeniu.

Znaleźli się wtedy Francuzi, którzy postanowili archipelag anektować w imieniu swojego króla. Przypomnieli, że to oni są odkrywcami. Nic z tego nie wyszło: Hiszpanie, ci z południowoamerykańskich kolonii, mieli do Malwinów znacznie bliżej, toteż w roku 1766 z łatwością je opanowali. Dodajmy od razu: nie była to żadna uroczysta inkorporacja w sensie państwowym, nie było pompatycznych mów ani odczytywania stosownych dokumentów. Okręty hiszpańskie kontrolowały rejon, często niezbyt skutecznie – i to wszystko. Wielorybnicy i łowcy fok, twardzi ludzie z Ameryki Północnej, z Anglii i krajów skandynawskich, nie dawali się Hiszpanom zastraszyć i o ściąganiu z nich haraczu w ogóle mowy nie było. Jeśli już, to na płaszczyźnie prywatnej, w imię obopólnie korzystnych interesów.

W pierwszej dekadzie XIX wieku południowoamerykańskie prowincje Hiszpanii zaczynają się uniezależniać, odrywać od macierzy. W roku 1816 Malwiny, niejako automatycznie, przechodzą pod władzę Zjednoczonych Prowincji La Platy, z których wyodrębni się później Argentyna. Czymże są wówczas Malwiny? Według świadectwa ówczesnych podróżników: „punktem zbornym dla

marynarzy, awanturników i kryminalistów". Nie ma tu żadnej zorganizowanej władzy, rządzi prawo pięści. Bywa, iż zarząd nad wyspami sprawują piraci, których przygnała tu konieczność – na przykład epidemia szkorbutu na statku... Taki stan rzeczy trwał do roku 1828, kiedy to na widowni malwińskiej pojawia się Louis Vernet.

O każdym nieco odosobnionym i mniej znanym miejscu na ziemi krążą różne legendy i fantastyczne opowiadania – dotyczy to i Malwinów. W kołach co bardziej przedsiębiorczych Argentyńczyków szeptało się o złotych interesach, jakie można zrobić na Malwinach. Nie chodziło już o wieloryby i foki, które międzynarodowi łowcy w znacznym stopniu wytępili, lecz o... konie i bydło. Rzekomi czy prawdziwi naoczni świadkowie twierdzili, że na pastwiskach Malwinów hasają nieprzeliczone stada dzikiego bydła i koni, zupełnie bezpańskie. Według autorów tych opowieści, na samej tylko Wyspie Wschodniej pasie się 40 000 sztuk koni, krów i byków: wystarczy je chwytać i zabijać, przetwarzać na mięso i skóry, inaczej mówiąc, na złote monety. Interes wydał się wart zachodu niejakiemu Jorge Pacheco, Kreolowi z Buenos Aires, któremu państwo winne było sporą sumę pieniędzy. Udał się więc do gubernatora stolicy z propozycją, że zrezygnuje z egzekwowania długów w zamian za prawo połowu fok i ryb na Malwinach, a także za zezwolenie na szlachtowanie tam bezpańskiego bydła i sprzedaż skór.

Gubernator, nie bardzo zorientowany, gdzie te Malwiny leżą i co sobą przedstawiają, podpisał żądaną koncesję, nie wdając się z petentem w żadne targi. Tymczasem ekspedycja wysłana przez Pacheco wróciła z niczym. „Przeszliśmy pieszo pięć mil w głąb wyspy – pisali w raporcie uczestnicy wyprawy – i nigdzie nie spotkaliśmy ani jednej krowy, tylko jedno stado byków, brakowało nam mięsa, sucharów i prochu strzelniczego, próbowaliśmy uchronić się przed zimnem i śniegiem, ale bez większego rezultatu". Dali za wygraną.

Nie dał natomiast za wygraną wspólnik Pacheca, niejaki Louis Vernet, ten, którego później postanowiono wznieść na piedestał

argentyńskiego patriotyzmu. Niezwykła to była postać ów Vernet, tyle że niezbyt pasująca do wzorów, jakie wyimaginowali sobie później autorzy argentyńskich nacjonalistycznych podręczników i bedekerów. Nosił nazwisko francuskie, ale był Niemcem urodzonym w Hamburgu. Tam też uczęszczał do podstawowych szkół i nauczył się intratnego zawodu garbarza. Opuścił swoje hanzeatyckie miasto i postanowił szukać szczęścia w Ameryce, nie z powodu religijnych prześladowań (należał do hugenockiej większości) ani też z biedy. Odezwało się w nim zamiłowanie do przygód, wabiły miraże łatwo osiągalnego bogactwa.

„Czarne wijące się włosy, duże ciemne oczy, jakby utkwione w dali i wypatrujące czegoś niezwykłego, a do tego usta zdradzające życiową mądrość i niemal zgorzknienie: taki oto wizerunek powielono w tysiącach egzemplarzy na kalendarzach ściennych, specjalnie wydanych z okazji desantu na Islas Malvinas [w roku 1982 – M.A.] – zauważa w jednej ze swoich korespondencji z Argentyny dziennikarz europejski. Czy rzeczywiście Vernet tak wyglądał? On, który nie był Kreolem! Można dopuścić, iż portret został nieco podretuszowany przez propagandzistów, by Vernet prezentował się bardziej po argentyńsku.

W przeciwieństwie do wygodnego wspólnika Pacheca, w wyprawę na archipelag Vernet zaangażował się osobiście. Ruszył w kierunku Malwinów statkiem, na którego pokładzie znajdowali się: jego szwagier, 28 przyszłych osadników, 50 koni, 30 owiec, krowa, cielę, 4 armaty, meble, drewno i fortepian, a także kilku murzyńskich niewolników. Ten urozmaicony zestaw żywego i martwego inwentarza świadczy, iż nie miał zamiaru ograniczyć się do załatwienia kilku dorywczych interesów na bydlęcych skórach i wielorybim tłuszczu, przeciwnie – chciał na Malwinach osiąść na stałe i założyć tam argentyńską kolonię.

Zamiar ten ku chwale Argentyny zrealizował w roku 1828. Vernetowska „arka Noego" rozładowała się na Wyspie Samotności (Isla Soledad), całkowicie bezludnej. Po kilku miesiącach stały tam już przyzwoite drewniane domy, a w jednym z nich zamieszkał Vernet z rodziną. Zdążył ściągnąć na wyspę dalszych osadników – argentyńskich, brytyjskich, niemieckich (mieszkańców

kolonii było w sumie 150), którzy wybrali go gubernatorem archipelagu Malwinów. Buenos Aires wybór ten zatwierdziło.

Pewien brytyjski oficer marynarki, który odwiedził Verneta w 1832 roku, zapisał w swoim dzienniku:

„Gubernator Louis Vernet przyjął mnie serdecznie. Jest to człowiek wykształcony, włada kilkoma językami. Jego dom jest niski i długi, ma przy tym grube, kamienne ściany. Znajduje się tam niezła biblioteka z wieloma książkami hiszpańskimi, angielskimi i niemieckimi. Rozmowa przy stole była bardzo ożywiona. Wieczorami odbywały się tańce i koncerty. W salonie stał fortepian. Pani Vernet, Argentynka, wspaniale śpiewała arie Rossiniego. Jak dziwnie rozbrzmiewały one na Wyspach Falklandzkich, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć tylko paru łowców fok".

W taki to sposób cywilizacja i kultura światowa, nie tylko kreolska, dotarły na Malwiny. Dzięki gubernatorowi, który był zarazem awanturnikiem i świetnym organizatorem, garbarzem i wykształconym poliglotą, Argentyńczykiem i kosmopolitą. Na tym jednak jego zasługi dla Argentyny się skończyły, ponieważ przy wszystkich tych zadziwiającyh zaletach zabrakło mu jednej – zmysłu dyplomatycznego, czyli rozwagi męża stanu. W 1831 roku popełnił błąd, który w niedalekiej przyszłości miał przekreślić całą jego publiczną karierę i na długie lata wymazać z listy bohaterów narodowych Argentyny.

Pewnego dnia na wodach Malwinów pojawiły się trzy północnoamerykańskie statki. Vernet wyprawił do nich swoich przedstawicieli. Wgramoliwszy się na pokład usłyszeli oni od amerykańskich kapitanów, że ci przybyli łowić tu foki. Zezwolenia na połów od gubernatora Verneta nie mają, nie mają też zamiaru starać się o nie.

Arogancja Amerykanów doprowadziła Verneta do wściekłości, czyli do stanu, na jaki wysoki urzędnik państwowy pozwolić sobie nie może. Zamiast takim czy innym sposobem odstraszyć gruboskórnych łowców, po czym przesłać protest do rządu USA, podjął krok jakże drastyczny: wysłał przeciwko intruzom całą flotyllę statków i szalup z zadaniem abordażu i aresztowania amerykańskich załóg.

Nie zachował się dokładniejszy opis tej operacji, znane są tylko jej skutki. Jeden z amerykańskich statków, „Breakwater", szybko postawił żagle i umknął na pełne morze. Kapitan drugiego wdał się w pertraktacje i otrzymał zezwolenie na połów, ale w akwenach położonych daleko na południe od Malwinów. Z trzecim natomiast stało się coś dziwnego. Vernet obsadził go argentyńską załogą i... sam zaokrętował się na nim wraz z rodziną. Nie wiadomo, dlaczego kazał obrać kurs na Buenos Aires.

Krewki i nierozważny gubernator Malwinów nie zaznał w Argentynie spokoju. Stany Zjednoczone zażądały wydania go „w celu postawienia przed sądem za piractwo i rozbój". Argentyna odmówiła – nie tyle z sympatii dla Verneta, ile z dbałości o własny prestiż. Prezydent USA Andrew Jackson oświadczył na to, że „potrafi strzec interesów i swobód oraz handlu prowadzonego przez obywateli Stanów Zjednoczonych" i groźbę swoją spełnił. Na Malwiny ruszyła ekspedycja karna na pokładzie korwety „Lexington". Ówcześni amerykańscy komandosi wyskoczyli na ląd, zagwoździli cztery historyczne armaty Verneta, wysadzili w powietrze prochownię, a potem pohulali sobie na całego: splądrowali domy osadników, wyrżnęli bydło i wzięli do niewoli sześciu Argentyńczyków, którym nie udało się zbiec. Dzieło spustoszenia trwało 22 dni. „Lexington" odpłynęła wreszcie pozostawiając po sobie zapowiedź następnych interwencji w przypadku, gdy interes USA będzie zagrożony.

Louis Vernet nigdy nie wrócił już na Malwiny. Nigdy nie powrócił do roli konkwistadora dzikich archipelagów, stał się znowu osobą prywatną – garbarzem. Marny koniec herosa? Niekoniecznie. Ten wykwalifikowany i zawsze twórczy garbarz zdołał przed śmiercią (w roku 1871, w wieku 79 lat) wynaleźć środek zabezpieczający skóry przed robakami i pasożytami, które niszczyły je podczas długich transportów. Był to dla Argentyny, eksportera surowych skór do odległych miejsc w Ameryce Północnej i Europie, wynalazek niezwykle cenny, przynoszący być może więcej korzyści finansowych aniżeli kolonizacja pustych, niewdzięcznych terenów Malwinów. Nazwisko Verneta nadal jednak wiązano z tym archipelagiem; podmiejska niegdyś dzielnica Buenos Aires

– San Isidorio – gdzie spędził końcówkę życia, przemianowana została na Las Malvinas. Pochowano go w stołecznym mauzoleum La Recoleta, gdzie spoczywają prochy najwybitniejszych postaci z dziejów Argentyny.

Historia polityczna narodów uczy, że podobnie jak mały kamyk powoduje lawinę, tak błahe na pozór wydarzenie w życiu publicznym może przez całe lata odzywać się stukrotnym echem. Afera wyprawy karnej okrętu „Lexington" nie zakończyła się wcale w momencie, gdy krewcy Amerykanie dali nauczkę malwińskim kolonistom. Stało się coś gorszego. W trakcie argentyńsko-amerykańskich negocjacji i targów o odszkodowanie za wybryk załogi okrętu USA zabrał głos Waszyngton, oświadczając uroczyście, że „wyspy te (Falklandy-Malwiny) nigdy nie należały do nikogo". Oświadczenie to stało się zachętą dla amatorów ziemi niczyjej o czym świadczą wypadki, jakie nastąpiły wkrótce po ucieczce Verneta z Malwinów.

Argentyna nie rezygnuje ze „swojego" archipelagu. W końcu 1832 roku posyła tam podpułkownika José Maria Pineda, aby zaprowadził porządek, pomógł w odbudowie zniszczonych osiedli i raz jeszcze mocno zaakcentował, że wyspy należą do jego kraju. Pierwszym postawionym mu zadaniem było uśmierzenie buntu przestępców, awanturników, ludzi skazanych na zesłanie; ci bowiem zaatakowali tymczasowego komendanta Malwinów, majora Mestiviera i uśmiercili go w okrutny sposób. Pinedo powiesił buntowników, a wkrótce potem nastąpiło wydarzenie, na które w żadnej mierze nie był przygotowany.

2 stycznia 1833 roku do Puerto Soledad wpływa brytyjska korweta „Clio". Rzuca cumy nie pytając o pozwolenie. Na nabrzeże schodzi kapitan Onslow, oschły Anglik, który oświadcza krótko pułkownikowi Pinedo, że w imieniu brytyjskiego majestatu ma rozkaz zająć cały archipelag. Pinedo ma 24 godziny na zdjęcie flagi argentyńskiej i opuszczenie wysp wraz ze swoimi ludźmi. W obliczu przewagi militarnej Brytyjczyków (kilkanaście armat na „Clio" już wycelowano w kierunku portu i osady) Pinedo spełnia to żądanie.

Kapitan Onslow musiał teraz znaleźć kogoś z miejscowych,

kto zgodziłby się na Falklandach – już nie Malwinach – reprezentować władzę brytyjską. Chodziło o czynność czysto formalną: gdy do wysp zbliżać się będzie jakikolwiek statek, w portach należy natychmiast wywieszać flagi brytyjskie. Swoją gotowość do wykonania tych zadań zgłosiło trzech ludzi – Szkot nazwiskiem Brisbane, Francuz Simon i sklepikarz irlandzki Dickson. „Clio" odpłynęła.

Do kogo należały teraz Falklandy?

Triumwirat z brytyjskiej łaski nie miał zaufania do nowych posiadaczy wysp. Simon dał do zrozumienia dwóm kolegom, że najwyższy czas jest wiać gdzieś na kontynent, na przykład do Brazylii, oczywiście nie z pustymi rękami. Trzej „zarządcy" przygotowali statek do rejsu i kazali gauczom (argentyńskim kowbojom) wypełniać ładownie skórami, które zalegały w magazynach, a także zabijać bydło i ściągać skóry świeże. Gauczos pracowali posłusznie, gdyż obiecano im niezłą zapłatę. Jakież było ich zdziwienie i oburzenie, kiedy dowiedzieli się, że dostaną za swój trud nie złote monety, lecz argentyńskie banknoty, papierki nic tutaj nie warte. Zareagowali w sposób sobie właściwy: Simon, Brisbane i Dickson legli z poderżniętymi gardłami, a skóry zostały sprawiedliwie rozdzielone wśród gauczów.

Rewoltą gauczów dowodził niejaki Antonio Rivero. Jego banda działała na Falklandach przez sześć miesięcy. Niewiele wiadomo o jego poglądach politycznych. Podobno kazał ściągnąć z masztu brytyjską flagę i zastąpił ją argentyńską, dlatego też trafił do argentyńskich podręczników szkolnych otoczony legendą patrioty. Jego podobiznę, tak jak i Verneta, powielano w roku 1982 w tysiącach egzemplarzy: ukazuje ona chudą i posępną twarz mężczyzny w pogniecionym cylindrze i chuście opadającej na ramiona. Z różnych zapisów wynika, iż Brytyjczycy nie potraktowali go poważnie. Banda Rivera grasowała na wyspach jeszcze pół roku, po czym załadowała się na tratwy, którymi zamierzała dotrzeć na kontynent Ameryki Południowej. Gauczowie mieli pecha: już po pierwszym dniu podróży natknęli się na dwie brytyjskie jednostki wojenne. Wszyscy zostali pojmani, przewiezieni do Anglii i postawieni przed sądem. Z niewiadomych przyczyn (może właś-

nie w ten sposób okazano im lekceważenie) Rivero nie został stracony, lecz odesłany – jak tego chciał – do Urugwaju. Zginął podczas rozruchów w rejonie La Platy, w bliżej nie znanych okolicznościach.

Była to połowa XIX stulecia. Od tego czasu Brytyjczycy umocnili się na Falklandach, nikt jednak do dnia dzisiejszego nie jest w stanie stwierdzić jednoznacznie, do kogo archipelag powinien należeć. Pisze się na ten temat dziesiątki prac naukowych i w Wielkiej Brytanii, i w Argentynie, ale czytelnik odkłada je, wcale nie będąc przekonany o słuszności zawartych w nich wywodów.

Podczas gdy w Buenos Aires spierano się, jak nazwać Port Stanley, w Anglii zapadały szybkie i twarde decyzje. Pani premier Margaret Thatcher oświadczyła, że Falklandy muszą być odzyskane i że wysyła tam flotę wojenną. Argentyński prezydent generał Leopoldo Galtieri był tą wieścią niemile zaskoczony, sądził bowiem, że Brytyjczycy nie podejmą żadnej akcji bojowej, a jeśli już się na to zdecydują, będzie to operacja sił lotniczych RAF (Royal Air Forces). Wówczas Argentyna, która dysponuje niezłym lotnictwem znakomicie dozbrojonym w nowoczesne francuskie rakiety – może mieć duże szanse na zwycięstwo w powietrzu.

„Żelazna Dama” wiedziała jednak, czego chce. Ruch floty, łatwiej dostrzegalny gołym okiem niż błyskawiczny przelot maszyn RAF, miał stać się demonstracją odrodzonej siły Wielkiej Brytanii, tej wielowiekowej władczyni mórz. W kierunku Falklandów ruszyło ponad 100 jednostek pływających, w tym 30 okrętów wojennych oraz tankowce i transportowce zarekwirowane w firmach prywatnych, jak na przykład znany na świecie statek pasażerski „Queen Elizabeth II”. Na pokładach tej flotylli zgromadzono 25 000 ludzi korpusu ekspedycyjnego, którego trzon stanowiło 9000 młodych żołnierzy wojsk lądowych. Falklandy odległe są od Wielkiej Brytanii o 8000 mil. Ekspedycja kosztowała, jak później obliczono, miliard funtów! Była to największa brytyjska wyprawa wojenna od roku 1945.

25 kwietnia brytyjskie oddziały lądują na Południowej Georgii. Garnizon argentyński kapituluje. 190 jego żołnierzy idzie do niewoli. Od tego momentu rozpoczyna się argentyńsko-brytyjska „wojna komunikatów”, w której każda ze stron podaje inne liczby własnych zwycięstw i strat. Dla przykładu: minister John Nott oznajmia, że przyczółek brytyjski na Wschodnim Falklandzie, zdobyty w rejonie położonym 80 km na zachód od Port Stanley, został umocniony i że zestrzelono 16 samolotów i 4 śmigłowce argentyńskie. Buenos Aires odpowiada: kontrolujemy całkowicie sytuację na froncie, zatopiliśmy 2 brytyjskie okręty, uszkodziliśmy 8, wyłączając je z akcji... 3 czerwca argentyńska agencja TELAM poinformowała, że od początku walk zginęło na Falklandach 1435 żołnierzy brytyjskich. Londyn przyznaje się do straty 189 zabitych. I tak dalej, i tak dalej.

Nużący byłby zapewne bardziej szczegółowy opis walk o Malwiny-Falklandy, walk trwających 12 tygodni i – w swojej skali – krwawych. 14 czerwca 1982 roku argentyński garnizon w Port Stanley wywiesił białą flagę, a głównodowodzący generał Mario Beniamin Menendez podpisał kapitulację na Wschodnim i Zachodnim Falklandzie. „Napastnicy” dostali nauczkę, Wielka Brytania utrzymała swój prestiż.

Max Hastings, reporter angielskiej prasy, tak wspomina ten moment: „Podczas gdy spadochroniarze brytyjscy zatrzymali się na terenie okalającym Port Stanley w oczekiwaniu rokowań na temat kapitulacji Argentyńczyków, spacerowałem między żołnierzami argentyńskimi trzymającymi ręce w górze i spotykałem pierwszych cywilnych mieszkańców miasta... Kiedy tak rozmawialiśmy, setki, a może tysiące przygnębionych argentyńskich żołnierzy maszerowało główną ulicą, przygotowując się do kapitulacji. Argentyńscy oficerowie swym wyglądem nadal sprawiali dobre wrażenie, zachowywali żołnierską postawę. W żaden jednak sposób nie przejawiali chęci kontynuowania walki. Każdy z nich mówił tylko o »czwartej po południu« – o tej magicznej godzinie, na którą wyznaczono spotkanie brytyjskiego generała Jeremy Moore’a z pokonanym gubernatorem argentyńskim, generałem Mario Beniaminem Menendezem”.

„Nie przejawiali chęci kontynuowania walki...”. Bardzo elegancko powiedziane. Musieli sobie zadawać pytanie, dlaczego wła-

dze w Buenos Aires tę irracjonalną, bezprzedmiotową kampanię w ogóle podjęły. Minął rok, zanim przyszła refleksja. Kociokwik po klęsce na Falklandach otrzeźwił argentyńskich wojskowych, zwłaszcza tych młodszych rangą, przypomnieli sobie wydarzenia ostatnich kilku lat.

Buenos Aires, rok 1978. Na reprezentacyjnych promenadach stolicy – Avenida Santa Fe, Corrientes, Florida – sunie tłum ludzi na pozór beztroskich, ubranych według najnowszych wskazań mody europejskiej. W restauracjach serwuje się parrilladę, pizzę, wieczorami świetlne reklamy kin zachęcają do obejrzenia najlepszych filmów światowej produkcji. Spokój, nic się nie dzieje, nie widać nawet policjantów, oprócz tych, którzy kierują bezładnym ruchem samochodowym.

Tak jak w ciągu dnia i wczesnym wieczorem. Nocą słyszy się kanonady z broni maszynowej, nie wiadomo, kto do kogo strzela. Rankiem na murach imponujących kamienic przybywa odprysków od wystrzelonych kul, natomiast nigdzie nie ma trupów ani rannych. Burzliwe okresy terroryzmu, za rządów niefortunnej Marii Estelli Peron, należą właściwie już do przeszłości. Wtedy wszyscy byli przeciwko wszystkim. Ruch peronistyczny rozlatywał się na kawałki – na frakcje i podfrakcje; radykalna młodzież szła do miejskiej partyzantki z rewolwerami i bombami. W krwawych akcjach „za" i „przeciw" ginęło po kilkanaście osób dziennie. Na terror ultralewicowych bojówek ERP (Ejercito Revolucionario Popular – Rewolucyjne Wojsko Ludowe) i radykalnych peronistów „Montoneros" (nazwa od nieregularnych oddziałów wojskowych, które w XIX wieku walczyły przeciwko dyskryminacji kraju przez Buenos Aires) odpowiadał AAA (Alianza Anticomunista Argentina – Argentyński Sojusz Antykomunistyczny), organizacja działająca za cichym przyzwoleniem władz. W końcu generałowie odebrali władzę pani Peron i odtąd sprawy porządku publicznego szły innym torem: zaczęli znikać ludzie.

Czy człowiek może zniknąć? Okazuje się, że tak, przynajmniej w Argentynie na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Nie była to science fiction wymyślona przez Wellsa czy Stevensona, lecz realna prawda argentyńskiego bytu. Na reprezentacyjnym Plaza de Mayo pojawiały się grupy kobiet w starszym lub średnim wieku, unoszących w górę chusty z takim na przykład napisem: „Dunde est mio hijo – senores? 20.12.78" (Gdzie jest mój syn, panowie – i data „zniknięcia"). Kobietom tym przewodziła Hebe De Bonfantini, która nie poprzestała na maszerowaniu wokół placu, lecz z grupy pokrzywdzonych żon i matek stworzyła organizację opozycyjną wobec junty wojskowej, trochę tym przerażonej.

„Zniknięcie" było perfidnym sposobem pozbywania się ludzi niewygodnych politycznie lub niewygodnych z innych względów, nierzadko – prywatnych. Wszystko odbywało się bez procesu sądowego, bez prokuratora, bez nużących formalności prawnych. Nie rozpoznani z reguły osobnicy wkraczali do mieszkania ofiary (niekoniecznie wymagało to strzelaniny na ulicy), po której odtąd ginął wszelki ślad. Nie zawsze zrozumiały był motyw znikania. Rozpłynęli się gdzieś w powietrzu: liberalny dziennikarz Edgardo Sajon, umiarkowany działacz związkowy Oscar Smith, lewicujący publicysta Rodolfo Walsh, ale równocześnie zniknęła grupa nie związanych z polityką lekarzy, uprowadzono także dwie stare zakonnice francuskie, które, jak się potem okazało, zostały zamordowane.

Coraz częściej powtarzany milczący protest matek z Plaza de Mayo zrobił swoje: plagą znikania Argentyńczyków zainteresowały się Amnesty International i inne organizacje walczące przeciwko naruszaniu praw człowieka. Tu i tam wszczynano prywatne dochodzenia, które rządząca junta utrudniała oczywiście wszelkimi możliwymi sposobami. Generałowie jednak nie byli już tak pewni siebie jak dawniej, znaleźli się wśród nich nawet i tacy, którzy proponowali wstrzymanie tego odgórnego terroryzmu. Niepopularność junty pogłębiała jeszcze rozpaczliwa sytuacja gospodarcza – szalejąca inflacja, masowe bezrobocie, wielomiliardowe zadłużenie za granicą. Trzeba było wymyślić coś, co rozładowałoby napięcia społeczne, a przede wszystkim pozwoliło zachować twarz rządowi i armii. Trzeba było zafrapować ludzi jakimś efektownym przedsięwzięciem, które doczekałoby się powszechnej akceptacji. I wymyślono: krucjatę na Malwiny!

Autorem planu był generał Leopoldo Galtieri, wybrany na prezydenta w roku 1981. Sama idea nie była nowa: zamiar odbicia Malwinów siłą rozważano od dawna, nigdy dotąd nie podjęto jednak w tej kwestii ostatecznej decyzji. Teraz, zdaniem generała-prezydenta, nadszedł wreszcie odpowiedni moment. Na tajnej naradzie junty Galtieri przedstawił swoje przewidywania. Ryzyko wojenne jest ograniczone, gdyż ze strony Wielkiej Brytanii nie nastąpi akcja militarna – Anglia ma dostatecznie dużo kłopotów wewnętrznych. Stany Zjednoczone na pewno poprą Argentynę, a w najgorszym razie zachowają „przychylną neutralność". On sam, Galtieri, rzecz całą wybadał. Czyż nie zobowiązał się zwiększyć liczby argentyńskich doradców wojskowych w Ameryce Środkowej, czy nie obiecał udzielić pomocy w destabilizacji rządu sandinistów? Czy wreszcie nie zamierza umożliwić Amerykanom założenia bazy wojskowej na wyzwolonych już Malwinach?

Juntę Galtieri przekonał, ale – co się niebawem miało okazać – w swoich przewidywaniach pomylił się na całej linii. Pani Thatcher wysłała na Malwiny potężną bojową ekspedycję, a prezydent Reagan dostarczył Wielkiej Brytanii istotnej pomocy w sprzęcie i w przekazywanych satelitami informacjach wywiadowczych. Jedną tylko okoliczność Galtieri przewidział bezbłędnie: plan odbicia Malwinów wywołał w Argentynie wybuch patriotycznego entuzjazmu, dzięki któremu poszły w zapomnienie porachunki terrorystów i kontrterrorystów, a niedomagania gospodarcze łatwiej było znosić. Entuzjazm ten trwałby, być może, przez długie jeszcze lata, gdyby malwińska eskapada zakończyła się inaczej...

Patriotyczna euforia Argentyńczyków w kwietniu 1982 roku należy niewątpliwie do najbardziej zagadkowych zjawisk całej kampanii o Falklandy-Malwiny. Obserwator z zewnątrz nie jest w stanie tego zrozumieć. Narodowy zryw w kraju gnębionym od sześciu lat przez oficjalnych i tajnych siepaczy? W kraju, który jest konglomeratem imigrantów – Hiszpanów, Niemców, Włochów, Brytyjczyków – przybyszów z różnych stron świata, gdzie panowały inne obyczaje, inne tradycje społeczne, polityczne i kulturowe, w kraju, w którym „portenos" (mieszkańcy miasta portowego – w tym przypadku 9-milionowej aglomeracji Buenos Aires) z ogromną trudnością porozumiewają się ze swoimi ziomkami z prowincji Tucuman, nie mówiąc już o osadnikach z Ziemi Ognistej? Jest to na pewno wielce frapujący temat dla politologów.

Bardziej zrozumiały jest już fakt, iż „wielki zryw narodowy" zakończył się z chwilą kapitulacji na Malwinach, a rozpoczęło się poszukiwanie winnych zarówno całej koncepcji odbicia, jak i nieudolności w jej realizacji.

„Ograniczona wojna" o Falklandy-Malwiny mogła sprawiać wrażenie konfliktu niepoważnego, tymczasem toczące się przez 12 tygodni zacięte walki przyniosły obu stronom krwawe straty (po stronie argentyńskiej prawdopodobnie ponad tysiąc zabitych i zaginionych). I ktoś musiał ponieść za to odpowiedzialność. Na pierwszy ogień oskarżeń poszedł, rzecz jasna, głównodowodzący malwińskiej operacji generał Menendez. Po sromotnym powrocie z Malwinów zaatakowany został przez grupę młodych, rozgoryczonych oficerów. „Powinno się go rozstrzelać – powiedział jeden z nich. – Zarzucamy mu nie to, że został pokonany przez generała Moore'a, lecz to, że poddał się bez walki!"

Menendez bronił się z tak rozbrajającą szczerością, że warto przytoczyć kilka jego powiedzeń.

– Zgadzam się odpowiadać przed sądem wojskowym, ale trzeba będzie sądzić również generała Galtieriego i wszystkich tych, którzy wpakowali nas bez przygotowania w tę awanturę. Kiedy generał Galtieri wydał mi rozkaz udania się do Puerto Argentino, wyraźnie oświadczył, że „moim zadaniem jest rządzenie wyspami, a nie ich obrona".

I dodał jeszcze:

– Nauczono mnie walczyć z partyzantką, a nie z Anglikami.

To prawda, armia argentyńska od lat była szkolona na okoliczność walki z „los subversivos" – wewnętrznymi wywrotowcami, a nie z wrogiem z zewnątrz. Manewry i parady, efektowne mundury, szlify i lampasy – wszystko to miało wzbudzać podziw cywilów, nie było natomiast poparte wiedzą wojskową i doświad-

czeniem (po raz ostatni Argentyńczycy walczyli przeciwko Paragwajowi w 1870 roku).

W kilka miesięcy po kapitulacji Port Stanley było już wiadomo, że kociokwik wywołany tą kompromitującą klęską nie skończy się na dochodzeniach przeciwko Menendezowi oraz grupie – jak pisano – „skorumpowanych i niekompetentnych generałów". W polu widzenia opinii publicznej znaleźli się inni jeszcze generałowie – nie ci, którzy sfuszerowali akcję odbicia, lecz odpowiedzialni za kilka tysięcy morderstw politycznych, za osławione znikanie ludzi.

Niestety, sprawiedliwość została wymierzona tylko częściowo, i nie tak zaraz. W 1983 roku junta zrezygnowała z walki o władzę, a rządy objął cywilny prezydent Raul Alfonsin. On także nie spieszył się z wyciąganiem na światło dzienne tamtych paskudnych spraw. Dopiero po szesnastu miesiącach swojej kadencji pozwolił działać prokuratorom, którzy 22 kwietnia 1985 roku ukończyli pracę nad aktem oskarżenia.

W więzieniu znalazło się kilkunastu generałów, w tym ludzie znani z „silnej ręki": Videla, Viola, Agostini i Graffigna oraz admirałowie Lambroschini i Massera. Prokuratura obwiniła ich o wydawanie w latach 1976–1982 zbrodniczych rozkazów, w których wyniku zamordowano co najmniej siedem tysięcy osób (organizacje humanitarne oceniają liczbę ofiar na trzydzieści tysięcy), głównie bojówkarzy organizacji „Montoneros" i ERP – Rewolucyjnego Wojska Ludowego.

Proces, nazwany trochę przesadnie „mini-Norymbergą", toczył się przez siedem miesięcy; zakończono go wyrokiem raczej łagodnym. Tylko dwóch spośród dziewięciu oskarżonych w pierwszym rzucie skazano na dożywocie. Są to: chudy i ruchliwy Jorge Videla, były prezydent Argentyny, i zwalisty admirał Emilio Massera, specjalista od organizowania tajemniczych zniknięć. Trzej następni oskarżeni – w tym drugi były prezydent Roberto Viola – otrzymali kary kilku lat więzienia, a czterech innych uniewinniono. Komisja rządowa doliczyła się tylko 1500 zabitych „opozycjonistów" i 9000 zaginionych.

W ostatniej fazie procesu na ławie oskarżonych zasiadł także

Leopoldo Galtieri. Obok niego znaleźli się: były dowódca marynarki wojennej, admirał Jorge Anaya i były dowódca sił powietrznych, generał Basilio Lami Dozo; wszyscy trzej odpowiadali za „niewłaściwe postępowanie" w czasie wojny o archipelag Falklandy-Malwiny, inaczej mówiąc, za błędy w sztuce wojennej. Eks-prezydent Galtieri skazany został na 12 lat więzienia, Anaya – na 14 lat, Lami Dozo – na 8. Wyroki surowe, adekwatne do strat, jakie spowodowało to niefortunne przedsięwzięcie...

Skazani nie przejęli się wyrokami. Przeciwnie, byli nawet przekonani, że Argentyna uzna ich kiedyś za bohaterów narodowych; to oni przecież wygrali „wojnę z terroryzmem", a jakimi metodami, to już inna sprawa. Podobno mają wspólnie wydać książkę (wespół z tymi, którzy są jeszcze na wolności), w której przedstawią prawdziwy obraz tej brudnej, ale, ich zdaniem, koniecznej wojny.

Matki z Plaza de Mayo nadal manifestowały każdej środy o godzinie 16.15. Uważały, że wprawdzie kaci zostali napiętnowani, ale w gruncie rzeczy wymknęli się sprawiedliwości, Argentyna zaś daleka jest ciągle od rzeczywistej demokracji.

Jakże odmienna atmosfera po zwycięstwie na Falklandach panowała w Wielkiej Brytanii. Tam również dało się odczuć patriotyczne podniecenie, ale innego typu: Brytyjczycy przekonali się, że są jeszcze coś warci jako obywatele dawnego wielkiego imperium. Od dawna wmawiano im, że imperialne tradycje należą do przeszłości, a dumny lew brytyjski bezpowrotnie utracił zęby i wyłysiał. I oto nagle obudził się i zaryczał, gdy na dalekich wyspach gwałcono jego prawa. Dzięki komu nastąpił ten zryw? Dzięki „Żelaznej Damie", która w siedem godzin po ataku Argentyńczyków potrafiła podjąć decyzję o konieczności poskromienia agresorów i celu tego dopięła. Dzięki pierwszemu w brytyjskiej historii premierowi-kobiecie! Szokujące, lecz w miły sposób...

Pozycja Maggie Thatcher umacniała się nadzwyczajnie, o czym świadczyły rozliczne ankiety i sondaże opinii publicznej. Pani Thatcher nie omieszkała tego wykorzystać w kampanii wyborczej roku 1983 i wybory te wygrała. Wprost lub aluzyjnie dawała do zrozumienia, że podejmując decyzję wysłania Royal Navy (Kró-

lewska Flota) na Falklandy miała na względzie ratowanie honoru kraju, że zaapelowała do narodowej dumy i dlatego wszystko się powiodło.

Czy był to jedyny cel? Jedyny motyw?

Nieprędko, a może nawet nigdy nie dowiemy się prawdy, jeśli „Maggie” nie ujawni tego kiedyś w swoich pamiętnikach. Pozostają tylko domysły oparte na pewnych faktach.

Torysi, brytyjscy konserwatyści, których pani Thatcher jest czołową przedstawicielką, nie bardzo umieli sobie poradzić z gospodarką państwa, mimo iż szczęśliwy los zaaplikował jej potężny zastrzyk pieniędzy, uzyskiwanych ze złóż naftowych pod morskim dnem. Bezrobocie nadal rosło, a sfrustrowani młodzieńcy – bo w nich głównie ta plaga ugodziła – zaczęli dopuszczać się karygodnych wybryków. Wystarczyła byle okazja, na przykład mecz ligowy piłki nożnej, by kibice jednej i drugiej drużyny, odpowiednio napompowani whisky i ginem, odurzeni narkotykami, rzucali się na siebie jak zwierzęta. Bywało, że stadiony stawały się areną śmiertelnych wypadków. Później zaczęło dochodzić do starć między białymi Brytyjczykami i kolorowymi, bo tych ostatnich w Wielkiej Brytanii przecież nie brakuje. Znowu alkohol i narkotyki. Płonęły „kolorowe getta” w wielkich miastach, z Londynem włącznie. Co robić w takiej sytuacji, jak uspokoić nastroje?

Środkiem, ponoć skutecznym, jest wskazywanie młodym ludziom jakichś wyższych celów, budzenie uczuć patriotycznych, podsuwanie myśli o działaniu, w którym mogą się łączyć elementy bohaterstwa i życiowej przygody.

A zatem, pewna niewielka część młodych Brytyjczyków miała przeobrazić się w awangardę bohaterów narodowych, z tego tytułu czerpać później satysfakcję i energię do końca życia. Reszta powinna ich podziwiać, marzyć o udziale w podobnych pozytywnych przedsięwzięciach, a tym samym porzucić chuligańskie wyczyny i brzydkie nałogi.

Przyjmując, że taki był właśnie „tajny zamiar” pani Thatcher, z perspektywy kilku lat rzec można, iż spalił on na panewce.

Najpierw – kilka słów o uczestnikach falklandzkiej kampanii. Wielu z nich pozostało na wyspach i prowadziło tam różne pożyteczne akcje, na przykład rozminowywanie ferm i torfowisk, które są jedynym właściwie źródłem opału na Falklandzie Wschodnim. Ludność chwaliła ich za to i w ogóle honorowała jak bohaterów. Gdy Królewscy Strzelcy Górscy defilowali przy akompaniamencie kobziarzy przez Port Stanley, całe miasto wyległo na ulice i klaskało zawzięcie. Podobały się także działania pełnomocnika do spraw ochrony zwierząt, majora Johna Chartiersa, który na Falklandzie Zachodnim wziął w opiekę pingwiny, wystraszone kanonadą z broni maszynowej i warkotem helikopterów. Obecność wojska sprawiła, że poczta do Anglii szła zaledwie tydzień, a nie trzy miesiące, jak przed wojną, sprowadzeni zaś szewcy i inni rzemieślnicy wypełnili dokuczliwe luki w dziedzinie usług – co także musiało się podobać.

To idylliczne współżycie żołnierzy i miejscowych cywilów nie trwało długo. Gdy okazało się, że rozminowywanie potrwa jeszcze całe lata, Falklandczycy, mocno rozczarowani, popadli w depresję; ten i ów farmer decydował się na emigrację. Miłujących spokój wyspiarzy począł drażnić nieustający warkot wojskowych jeepów i ciężarówek, a zwłaszcza wycie przelatujących bez przerwy Phantomów i Harrierów. Młodzi tubylcy ukosem patrzyli na żołnierzy podrywających falklandzkie dziewczyny, których i tak zawsze było tu mało. Gdy generał Thorn dał administracji do zrozumienia, że umocniony garnizon pozostanie na wyspach jeszcze długo „bo Argentyńczycy mogą znowu próbować napadu”, wdzięczność wobec wojska zamieniła się w obojętność, a nawet w nie tajoną niechęć.

Żołnierze brytyjscy nie ukrywali swojego rozgoryczenia przed korespondentami prasy europejskiej: na Falklandach nie czują się dobrze, odnoszą wrażenie, że są tu zaledwie tolerowani. Niejaki Andrew, zwany „Kangurem”, lotnik z eskadry Harrierów, powiedział dziennikarzowi ze smutkiem:

– Wyzwoliliśmy ich, ale widzimy, że oni nas nie lubią. Traktują nas jak swego rodzaju okupantów, a my nie możemy się nawet za to na nich odegrać...

Tak runął mit satysfakcji i dumy z bitewnych trudów uwieńczonych zwycięstwem.

A w macierzystej Anglii? W 1985 roku Wielka Brytania pobiła własny rekord w bezrobociu: trzy i pół miliona ludzi bez pracy, w tym olbrzymia większość młodych. Sfrustrowani biali młodzieńcy ruszyli znowu przeciwko czarnym i śniadym. Świat zaczął mówić o „brytyjskim rasizmie i faszyzmie, przodującym w Europie”. Chuligani z angielskich stadionów przenieśli swoje wyczyny za granicę: w Brukseli zmasakrowali kilkunastu Włochów, kibiców drużyny „Juventus”. Czy wówczas i potem pomyślał ktoś o budującej falklandzkiej glorii? O nie wypowiedzianej nigdy „ograniczonej wojnie”, w której obie strony, w pewnym sensie, poniosły porażkę?

ZBRODNIA NA PLACU ŚW. PIOTRA

Przypomnijmy kilka sekwencji telewizyjnych, kilka zdjęć filmowych (amatorskich) i fotograficznych wykonanych dokładnie w chwili zamachu – 13 maja 1981 roku o godzinie 17.17 bądź też w parę sekund później. Jakiś nie znany z nazwiska turysta naciska migawkę aparatu na ułamek sekundy przed strzałami; papież Jan Paweł II, odwrócony tyłem do kamery, rozdaje uściski dłoni w tłumie uśmiechniętych ludzi, ale z lewej strony kadru widać wyciągniętą rękę z pistoletem dużego kalibru. To zdjęcie przysporzy zresztą wielu kłopotów policji włoskiej, która będzie chciała przede wszystkim odpowiedzieć na pytanie, czy zamachowiec był sam na placu Św. Piotra, czy też miał wspólników. Według zeznania tajnego policjanta Pasqualego Navarry – tego, który obezwładnił błyskawicznie Mehmeta Ali Agcę – zbrodniarz strzelał podtrzymując pistolet oburącz, fotografia pokazuje coś wręcz przeciwnego.

Nie jest to jednak kwestia o zasadniczym znaczeniu. Wiadomo przecież, że ciężki pistolet kalibru 9 mm – a z takiego strzelał Agca – łatwiej naprowadzać na cel oburącz, a później, w zależności od tego, czy strzela osobnik prawo- lub leworęczny, można jedną rękę opuścić, bo naciśnięcie spustu nie wymaga już szczególnego wysiłku.

Najbardziej dramatycznie ukazuje zamach na placu Św. Piotra sekwencja klatek filmowych wykonana przez telewizję watykańską. Jest tam sfilmowany moment, gdy papież po odniesieniu ran osuwa się na poduszki samochodu, podtrzymywany przez księdza Stanisława Dziwisza, osobistego sekretarza Ojca Świętego. Twarz papieża wyraża cierpienie fizyczne, ale jednocześnie nie schodzi z niej uśmiech nadal promieniujący dobrocią.

Następna sekwencja: biała toyota papieska oddala się szybko z miejsca zamachu, w stronę niezbyt odległej stąd kliniki Gemelli. Szybko, ale nie za szybko. Kierowca wykazuje niezwykłą przytomność umysłu. Wie, że trzeba odjechać stąd jak najprędzej, bo zamachowców może być więcej i nie jest wykluczone, że padną następne strzały, ponadto zdaje sobie sprawę, że wiezie człowieka ciężko rannego, któremu każdy gwałtowny ruch sprawi na pewno dodatkowy ból. Godna zapamiętania jest też postawa księdza Dziwisza: obejmuje nadal papieża, nie zwracając uwagi na własne bezpieczeństwo.

Gdy to wszystko dzieje się w sekundowych odstępach, znający dobrze swój fach policjant Pasquale Navarra, lat 41, czyni, co do niego należy: nie wpada w panikę, nie oddaje się refleksjom, nie analizuje, lecz działa. Biegnie w stronę zamachowca, który rzucił już na bruk pistolet i próbuje wmieszać się w tłum, i obezwładnia go wytrenowanym chwytem. Nie przychodzi mu to łatwo – kwestura policji włoskiej stwierdzi niebawem, że 23-letni Mehmet Ali Agca jest „terrorystą idealnym", to znaczy znakomicie wyszkolonym technicznie i wykazującym wielką odporność psychiczną i fizyczną. Policjantowi Navarze pomagają koledzy i najbliżej stojący pielgrzymi: zbrodniarz jest unieszkodliwiony, na wykręconych do tyłu rękach zaciskają się kajdanki.

Samochód z rannym papieżem jedzie dalej w stronę kliniki. Jan Paweł II dotyka ręką białej sutanny na brzuchu i jakby ze zdziwieniem patrzy`na własną krew – to także utrwaliła kamera telewizyjna. „Jak oni mogli to zrobić?" – szepcze po polsku.

Czy dowiemy się kiedykolwiek, co oznacza owa liczba mnoga – „oni"? Może słowa te miały swoje źródło w przeświadczeniu papieża, że podobny czyn była w stanie popełnić tylko jakaś organizacja, a nie pojedynczy człowiek? A może dochodziły doń już przedtem sygnały o planowanych spiskach?

Dalsze zdjęcia, wykonane później i o różnych porach, ukazują zakończenie tego tragicznego dnia: modły płaczących pielgrzymów, wreszcie ich marsz w stronę kliniki Gemelli...

Dłuższe zastanowienie się nad wyborem miejsca i czasu zamachu prowadzić musiało do wniosku, że terrorysta (czy też terroryści) nie musiał zadawać sobie zbyt wielkiego trudu. Wystarczyło, że planował zgodnie z logiką. Była to przecież środa, a w środy od lat odbywają się w Rzymie audiencje generalne, dostępne dla wszystkich grup pielgrzymów i dla zwykłych ciekawskich turystów. Za czasów papieża Piusa XII audiencje takie odbywały się w samej bazylice Św. Piotra, a karty wstępu wydawane przez władze watykańskie, zawierały dokładne oznaczenie strefy, w której każdy z przybyszów ma się znaleźć. Były one skrupulatnie kontrolowane przez tajną policję.

Pius XII ukazywał się niesiony w lektyce, zwykle przed południem, okrążał kościół i wstępował na podium, skąd wygłaszał krótkie przemówienie w kilku językach – przekazywał błogosławieństwa poszczególnym zorganizowanym i awizowanym wcześniej grupom pielgrzymów.

Mała popularność Piusa XII, a także jego własna skłonność do izolowania się sprawiały, że audiencje były krótkie, przebiegały w bardzo oficjalnej atmosferze i gromadziły stosunkowo niewielu ludzi. Sytuacja ta zmieniła się radykalnie za pontyfikatu „papieża otwarcia", Pawła VI, któremu zależało na osobistym kontakcie z liczniejszymi grupami wiernych. Bazylika Św. Piotra, choć przecież olbrzymia, nie mogła wszystkich chętnych pomieścić. Wybudowano więc na tyłach pałacu di Santo Uffizio salę audiencyjną z miejscami siedzącymi dla 8000 osób. Od dnia wyboru Jana Pawła II nawet i to rozwiązanie okazało się niewystarczające. „Polski papież" („Il Papa polacco") począł odbywać spotkania z tak licznymi rzeszami wiernych, że audiencje trzeba było przenieść pod gołe niebo, właśnie na plac Św. Piotra.

Każdej środy, gdy papież jest w Rzymie i przyjmuje pielgrzymów, na plac przed bazyliką podążają nieprzebrane tłumy ludzi o różnych kolorach skóry, mówiący najróżniejszymi językami, z transparentami, nieraz z własną orkiestrą. Są tam zespoły ludowe, są wycieczki szkolne prowadzone przez siostry zakonne, są sportowcy, studenci, kombatanci, ludzie kalecy – istna wieża Babel.

Kontrola nad taką liczbą osób – sprawowana dla bezpieczeństwa papieża – jest w praktyce żadna. 13 maja 1981 roku na

plac Św Piotra mógł przedostać się nie tylko jeden czy kilku terrorystów, ale gdyby istniał taki zamiar – nawet kilkuset. Obca mowa lub okaleczony język włoski nie budziły w nikim żadnych podejrzeń – tak jak to było w przypadku Mehmeta Agcy.

Ojciec Martino Siciliani, benedyktyn z Perugii, stał owego dnia na placu w otoczeniu ponad stu swoich uczniów, gdy o godzinie 16.45 (zakonnik patrzył na zegarek, bo o godzinie 17 miał pojawić się papież, a podopieczni chłopcy bardzo się niecierpliwili) podszedł do niego młody mężczyzna i łamaną angielszczyzną zapytał, którędy wejdzie Ojciec Święty. Uprzejmy duchowny wskazał mu Spiżową Bramę. Informacja okazała się błędna, ale młody człowiek widocznie z niej nie skorzystał, bo obrał inny punkt, ten z którego niebawem padły strzały. Siciliani rozpoznał „swojego" cudzoziemca dopiero na ekranie telewizyjnym i złożył odpowiednie zeznania.

Problem ochrony papieża nie jest nowy, jednakże dopiero w naszych czasach – w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – kiedy na świecie, a zwłaszcza we Włoszech i w Turcji terroryzm osiągnął swoje apogeum, zaistniała potrzeba stosowania nie spotykanych dotąd środków ostrożności.

Jedyną siłą zbrojną państwa kościelnego jest Gwardia Szwajcarska, której zadaniem była od ponad 300 lat ochrona suwerenności Watykanu i szefa tego państwa – papieża. Liczy ona 145 halabardników, czyli żołnierzy, 20 podoficerów i 10 oficerów. Jak na mikroskopijne państwo Watykan jest to duża liczba zbrojnych, tym bardziej że wspomagają ich watykańscy „tajniacy", a także współpracujący z nimi policjanci włoscy. Niestety, jak się okazuje, nie jest to wystarczające zabezpieczenie zdrowia i życia papieży naszego stulecia, a zwłaszcza Jana Pawła II, który postanowił „wyjść z Watykanu" na zewnątrz, do ludzi w Italii i na całym świecie.

Światowe mass media przekazały wiadomość o zamachu na papieża z niewiarygodną wręcz szybkością. Tak zwany flash agencji Reutera, zawierający co prawda tylko kilka zdań, dotarł do Warszawy już o godzinie 17.21, a więc w cztery minuty od momentu, gdy rozległy się strzały. Odtąd, stale rozszerzany serwis informacyjny zarówno słowny, jak i fotograficzny, złożony z filmów wykonanych przez RAI (Radio-Televisione Italiana – Włoskie Radio i Telewizja) oraz z jednego filmu i paru zdjęć autorów zagranicznych – płynął non stop. RAI przekazała tego samego dnia scenę wprowadzania do karetki więziennej ujętego zamachowca, a komentator podał jego nazwisko: aresztowanym był Mehmet Ali Agca. Turek, terrorysta należący do jednego z ugrupowań skrajnej prawicy.

Pro domu sua rzec trzeba, że Telewizja Polska zareagowała z niezwykłą energią i sprawnością: tuż po godzinie 18 przerwano normalny program i prezenterzy podali treść pierwszych agencyjnych wiadomości. O godzinie 19 ukazało się dziesięciominutowe specjalne wydanie dziennika. W sumie, bezpośrednie informacje i przekazy zdjęć z Rzymu zajęły tego dnia prawie 3 godziny czasu antenowego.

W ostatnich wiadomościach z 13 maja podano, że wraz z papieżem ranne zostały dwie turystki amerykańskie i że niemal na całym świecie, a przede wszystkim w Italii i w Polsce, trwają modły katolików za zdrowie papieża , który w dziesięć minut po zamachu znalazł się już na stole operacyjnym jednego z najlepiej wyposażonych szpitali Rzymu – klinice imienia Agostino Gemelli.

Szok, przerażenie, zaskoczenie – oto jak komentatorzy podsumowali reakcje światowe na tę niebywałą zbrodnię. Pierwsze dwa określenia związane z tym wydarzeniem na pewno trafnie oddawały panującą atmosferę, trzecie – zaskoczenie – nie dotyczyło wszystkich. Pewien dziennikarz francuski przygotowując korespondencję dla swojego tygodnika przytoczył zdanie wysokiej osobistości kościelnej, ojca dominikanina, który powiedział mu zaledwie przed tygodniem: „Już od dawna żaden papież nie zginął śmiercią męczeńską. Myślę, że Jan Paweł II zostanie któregoś dnia zamordowany...".

Po tym znamiennym stwierdzeniu nastąpił dłuższy wywód teologiczno-społeczny, który w skrócie brzmiał następująco. Prawdą jest, że Chrystus w słynnym kazaniu na Górze mówił o potrzebie pokoju i wybaczaniu, ale trzeba pamiętać, że podkreślił także potrzebę działania na rzecz „wszystkich, którzy cierpią głód

i pragną sprawiedliwości". Jan Paweł II, papież współczesnego kościoła walczącego, postępując w imię obu tych zasad, mógł wzniecać równocześnie uczucia i miłości, i niechęci, a nawet nienawiści. Przemawiając do Amerykanów na stadionie w Nowym Jorku potępił ślady egoizmu społeczeństwa konsumentów. W Ameryce Łacińskiej zażądał sprawiedliwości społecznej i wypowiadał się za reformami rolnymi. W Irlandii potępił wszelką przemoc. Czyż nie należało się spodziewać, że kiedyś padnie ofiarą ludzi, którym się naraził? A że przy tym nie dbał nigdy specjalnie o własne bezpieczeństwo, stanie się to tym łatwiejsze...

Wspomniany ojciec dominikanin nie był więc z pewnością zamachem zaskoczony, a przecież podobnie złe przewidywania miało także wiele innych osobistości kościelnych i świeckich.

Każdego obserwatora wydarzeń rzymskich w dniu 13 maja zaskoczyć musiała precyzja i szybkość, z jaką policja włoska zidentyfikowała osobę zamachowca. Ta sama policja, która od lat piętnowana była za nieudolność i ospałość w wykrywaniu własnych terrorystów!

Nazajutrz po zamachu, 14 maja, zagadka się wyjaśniła: to nie policji włoskiej, ale Interpolowi (międzynarodowa organizacja policyjna) trzeba przypisać ten sukces. W kwesturze policji rzymskiej od dawna spoczywała fiszka młodego Turka, który nazywa się Mehmet Ali Agca, liczy lat 23 i używa czasem fałszywego paszportu tureckiego na nazwisko Faruk Ozgun. Karta poszukiwawcza Interpolu wystawiona w 1979 roku na żądanie policji tureckiej zawiera adnotację: „This person is dangerous" („osobnik niebezpieczny"), fotografię Mehmeta Agcy oraz zdjęcia daktyloskopijne wszystkich jego dziesięciu palców. W tych warunkach ustalenie tożsamości przestępcy było drobnostką i od razu przystąpiono do przesłuchania.

Grupa śledcza, której przewodnictwo objął sędzia Luciano Infelisi, nie ukrywała, że łatwiej jest ująć tej rangi terrorystę aniżeli wydobyć z niego jakiekolwiek słowo o istotnym znaczeniu. Pytań, tych najpilniejszych było sporo. Przede wszystkim, kto dostarczył Agcy broń? Czy na placu Św. Piotra działał sam, czy ze wspólnikami? Jaki był motyw zamachu na papieża?

Wkrótce po rozpoczęciu przesłuchania jeden z policjantów zwierzył się dziennikarzom: „To śledztwo toczyć się będzie przez długie miesiące". Inny oficer śledczy opisał to szerzej: „Po pierwszym jego (Agcy) aresztowaniu w 1979 roku policjanci i wojskowi tureccy przesłuchiwali go... ostro. Niczego nie powiedział. Przy naszych metodach, wykluczających brutalność, nie zbliżymy się wcale do wydobycia odpowiedniego zeznania. Jeśli chce kawy, dajemy mu ją. Jeśli chce jeść, przygotowujemy mu jedzenie. Jeśli nie chce w ogóle mówić, nie zmuszamy go. Powiada się o nim, że to fanatyk. On jest kimś jeszcze gorszym: jest to człowiek niebywale wyszkolony fizycznie i psychicznie. Wystarczy mu zdrzemnąć się na krześle przez kilka minut, a już na nowo odzyskuje energię. Nigdy niczemu się nie sprzeciwia – odnosi się wrażenie, iż niezmordowanie powtarza od dawna wyuczoną lekcję, w której przewidziano wszystkie pułapki przesłuchujących. Nigdy nie udało się nam zbić go z pantałyku. Jest na tyle cyniczny, że czasem odpowiada na pytania, zanim mu je zadaliśmy. W tej grze w kota i myszkę kocurem jest on".

Tajemnica śledztwa wykluczała oczywiście ujawnienie, jak ta gra w kota i myszkę naprawdę przebiegała i o czym była mowa. Pewne jednak przecieki z kwestury policji sugerowały, że już od pierwszych godzin przesłuchań Mehmet Agca nie negował swojej tożsamości. Niewysoki, muskularny, o gorącym spojrzeniu fanatyka przyznawał się bez wykrętów, że to on jest tym osobnikiem, który strzelał do papieża, ale dlaczego i na czyj rozkaz – powiedzieć nie chciał.

Prasa światowa szperała tymczasem w życiorysie Mehmeta Agcy, roztrząsała różne szczegóły, jak się okazało od dawna znane organom ścigania Turcji, RFN i Włoch oraz, oczywiście, centrali Interpolu w Paryżu. Dossier miał Agca obszerne, na ogół wiarygodne, choć zawierało wiele luk, i to o pierwszorzędnym znaczeniu dla właściwej oceny okoliczności i motywów zbrodni na placu Św. Piotra. Powstało ono w wyniku poszukiwań Mehmeta Agcy w 1979 roku jako zbiegłego z więzienia zabójcy postępowego dziennikarza tureckiego Abdiego Ipekciego.

Mehmet Ali Agca urodził się na 23 lata przed zbrodnią w Rzymie na wyżynie Anatolli, w małym miasteczku Yesiltepe, położonym o 450 kilometrów na wschód od Ankary. Turyści zagraniczni rzadko się tam zapuszczają z uwagi na stan dróg, złe warunki zakwaterowania, a także w obawie o własne bezpieczeństwo. Turystom zaś rodzimym nawet do głowy nie przyjdzie odwiedzać „krainę wydziedziczonych”, jedną z wielu zresztą w tureckim interiorze. Wyschnięta kamienista ziemia orana przedpotopowymi radłami, na czarno ubrane kobiety z zasłoniętymi twarzami, dzieci żebrzące, a raczej agresywnie domagające się jałmużny przy wyboistych szosach – to widok tam nagminny. Ojciec Mehmeta nie był jednak robotnikiem nędzarzem, ale górnikiem z pobliskiej kopalni Zaonguldak, bardzo archaicznej, lecz gwarantującej pracownikom jaki taki byt. „Wszystko byłoby dobrze – mówiła w telewizji matka Mehmeta – gdyby ojciec nie zmarł, kiedy chłopiec miał 9 lat...”. Wtedy to rodzina – matka, Mehmet i dwoje młodszego rodzeństwa – przeniosła się do slumsów i utrzymywała wyłącznie z zasiłku wypłacanego przez kopalnię. Od śmierci ojca Mehmet zmienił się nie do poznania, stał się gwałtowny, wybuchowy, nie można go było poskromić. Słowem, trudne dzieciństwo.

Do opowieści matki Mehmeta trzeba będzie jeszcze nieraz wracać, istnieje bowiem sporo nieścisłości w tym, co mówiła w telewizyjnym i radiowym studiu. Reporterzy prasy zagranicznej wykryli szybko, że Mehmet Agca ukończył szkołę podstawową, następnie seminarium nauczycielskie w Malatyi, po czym przeniósł się do Ankary i tam odbył studia wyższe. Skąd wziął pieniądze na naukę, czy z groszowego zasiłku wdowy po górniku? Czyżby miał jakiegoś mecenasa? A może mecenasem tym była gmina muzułmańska, która tego niezwykle inteligentnego chłopca – bo za takiego uchodził – postanowiła kształcić na własny koszt?

Nie jest to wykluczone, a nawet bardzo prawdopodobne. Prawdopodobna jest również hipoteza, że to właśnie w szkole podstawowej kierowanej przez fanatyków islamu Mehmet Agca przesiąkł nienawiścią do Kościoła katolickiego i stał się tureckim nacjonalistą. Historycy twierdzą, że wśród ludu Anatolii do dzisiaj

krążą legendy o krzyżowcach – chrześcijańskich barbarzyńcach, którzy ogniem i mieczem podbili tę kwitnącą przedtem krainę, doprowadzili ją do upadku i nędzy, z jakiej do dziś nie może się wydobyć. To chrześcijanie przyczynili się głównie do klęski i poniżenia świetnego imperium otomańskiego, a człowiekiem, który rozpoczął dzieło jego odbudowy, który chciał przywrócić narodowi jego godność, był „ojciec wszystkich Turków” – Attatürk. Dzieło Attatürka należy kontynuować, walcząc przeciwko chrześcijańskim barbarzyńcom z Zachodu...

Bez względu na to, kim był jego patron duchowy, Mehmet Ali Agca, podówczas 19-letni, zdolny i żądny wiedzy chłopak, znalazł się w Ankarze, gdzie zdał egzamin konkursowy do miejscowego uniwersytetu i zapisał się na kurs historii, literatury i geografii. Był to rok 1977, a więc okres krwawych walk pomiędzy bojówkami studentów zrzeszonych w organizacjach nacjonalistycznych i ultralewicowych – w Ankarze i Stambule. Jak zachowywał się w tej sytuacji Agca – na razie nie było wiadomo.

Następny rozszyfrowany etap jego życia to rok 1979, kiedy Agca stanął przed sądem w Stambule oskarżony o zamordowanie redaktora postępowego dziennika „Milliyet” – Abdiego Ipekciego. Procesu nie udało się zakończyć, ponieważ zabójca uciekł z dobrze strzeżonego więzienia wojskowego Kartal przebrany podobno w mundur szeregowca armii tureckiej. Sąd zaocznie wydał na niego wyrok śmierci i rozesłał za nim listy gończe w kraju i za granicą oraz przekazał jego zdjęcia i dane do Interpolu.

Podczas gdy w redakcjach gazet, agencjach prasowych, placówkach dyplomatycznych i kontrwywiadzie nie milkły dalekopisy wymieniając informacje o osobniku nazwiskiem Mehmet Agca i jego ewentualnych powiązaniach z „międzynarodówką terrorystyczną”, medycyna włoska przystąpiła do składania swego najtrudniejszego w ostatnich latach egzaminu. Należało ratować życie papieża, w trzech niejako etapach: zapobiec skutkom szoku bezpośrednio po postrzale i przygotować pacjenta do operacji, przeprowadzić samą operację i zneutralizować szok pooperacyjny.

Nie potwierdzone informacje, które przedostawały się z kliniki

na zewnątrz, znacznie się między sobą różniły: jedne głosiły, że Jan Paweł II odniósł rany trzustki, inne, że głowy, szyi i żołądka, jeszcze inne, że uszkodzone zostały wnętrzności. „Wszystko to było mniej więcej bliskie prawdy – powiedział później jeden z czołowych chirurgów – zwłaszcza w odniesieniu do postrzałów jamy brzusznej, gdzie liczą się dosłownie centymetry...”.

Operacja trwała ponad pięć godzin. Postrzały były dwa. Pierwszy okazał się stosunkowo niegroźny – kula zraniła prawe ramię papieża, uszkodziła dwa człony wskazującego palca lewej ręki, aby następnie... przebić płuco amerykańskiej turystki. Drugi natomiast strzał poczynił wielkie i groźne dla życia papieża spustoszenie: pocisk poszarpał jelito cienkie aż w pięciu miejscach i otarł się o kręgosłup uszkadzając rdzeń pacierzowy. Wyszedł na zewnątrz poniżej lewego biodra, odbił się i zranił inną amerykańską turystkę, na szczęście lekko.

Operowało trzech wybitnych chirurgów: profesorowie Francesco Crucitti, Alfredo Viel Marin i Giovanni Salgarello. Ich sprzymierzeńcem okazała się znakomita kondycja fizyczna papieża. Gazety przypominały przy tej okazji boks, narty, kajaki – wszystkie sporty, jakie kiedyś uprawiał Karol Wojtyła, a nawet jego fizyczną pracę, gdy był robotnikiem. „To wyjątkowo odporny sześćdziesięciolatek” – powiedział reporterom telewizyjnym RAI krańcowo zmęczony profesor Crucitti, którego po operacji siłą niemal dostawiono przed kamery.

W czwartek 14 maja, w dzień po zamachu i operacji, osłabiony, ale całkowicie przytomny papież przyjął kilka osób ze swego najbliższego otoczenia. Był tam również dziekan kolegium kardynalskiego Carlo Confolanieri, który po tej wizycie oświadczył wiernym czuwającym w bazylice Św. Piotra, że Jan Paweł II „przebaczył tureckiemu zamachowcowi”. To samo usłyszał w rozmowie telefonicznej z kliniką Gemelli biskup Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu Polski. „Przebaczam mu – powiedział papież – biedny, biedny chłopak...”.

Turecki zamachowiec, biedny chłopak... Reporterom telewizji i gazet umknął jeden nader interesujący szczegół: zaraz po przebudzeniu się z pooperacyjnego snu Jan Paweł II nie tylko miał

świadomość, że dokonano zamachu na jego życie, ale wiedział, kto strzelał i dlaczego. Nazwisko zamachowca nie było mu obce! Wynikałoby stąd, że, nawet jeśli swego czasu zapomniał o ostrzeżeniach i zlekceważył je, teraz skojarzył je właściwie.

Wspomina o tym Tadeusz Nowakowski, dziennikarz polski, który zawsze towarzyszył Karolowi Wojtyle w podróżach zagranicznych od czasu, gdy jego przyjaciel został papieżem. Oto notatka Nowakowskiego z listopada 1979 roku:

„Gdy lecieliśmy z Rzymu do Ankary, monsignore Panciroli opowiadał w samolocie sekretarzowi prywatnemu papieża, że młody Turek nazwiskiem Mehmet Ali Agca, który zastrzelił już pewnego redaktora w Stambule, uciekł przed kilku dniami z więzienia wojskowego. Pomogli mu w tym strażnicy. Teraz wysyła artykuły do ultraprawicowych gazet z prośbą, by zorganizowali zbiórkę pieniędzy na jego świętą misję, którą wypełni za pomocą karabinu z lunetką celowniczą. Papież przysłuchiwał się tej rozmowie i cicho powtórzył nazwisko młodego Turka.

– Czy Wasza Świątobliwość nie lęka się tej groźby? – zapytałem Karola Wojtyłę. Odpowiedź papieża:

– Miłość jest silniejsza od lęku i nienawiści.

Na lotnisku w Manili, przed kilkoma miesiącami, papież powiedział w zamyśleniu do swego otoczenia:

– A więc to jest miejsce, gdzie Paweł VI miał umrzeć z ręki terrorysty.

W Karaczi, gdy z opóźnieniem dowiedział się, że pewien terrorysta zamierzał dokonać nań zamachu bombowego w czasie mszy i sam przy tym zginął, powiedział:

– To bardzo smutne, ale nie wolno nam tracić zaufania do ludzi”.

Już w kilka dni po zamachu dały się zauważyć międzynarodowe reakcje i spekulacje na temat tego wydarzenia. Nie chodzi tu o wzburzenie i żal, jakie ogarnęły świat chrześcijański, nieustające modły za życie i zdrowie papieża, tak zwane białe pokojowe manifestacje przeciwko terroryzmowi i przemocy (jedna z nich, zorganizowana przez młodzież, odbyła się w metropolitalnym mieście Karola Wojtyły w Krakowie). Nie chodzi tu także o depe-

sze szefów państw i ważnych światowych zrzeszeń z wyrazami oburzenia i życzeniami jak najszybszego powrotu do zdrowia, bo te, jakkolwiek szczere, nosiły znamiona protokolarnej konwencji. Ruszyła do boju dyplomacja sensu stricto, to znaczy ta, która każde wydarzenie o dużym znaczeniu międzynarodowym chce wykorzystać do własnych celów.

Grę rozpoczęła dyplomacja turecka. Ambasador Turcji w Stanach Zjednoczonych, wyraźnie poruszony, oświadczył dziennikarzom, iż Turek, który dokonał tak straszliwego czynu, „splamił wizerunek narodu tureckiego". I dodał, że „zakończenie pogłębiającej się zmory terrorystycznej przemocy i śmierci musi być pierwszoplanowym celem dla wszystkich cywilizowanych narodów". Ambasador turecki przy ONZ skrytykował „pewne koła" w Europie Zachodniej za to, że zlekceważyły ostrzeżenia Ankary dotyczące działalności terrorystów i oto jeden z nich dokonał właśnie zamachu na papieża. Władze tureckie zawsze domagały się skonsolidowanej akcji w walce z terroryzmem. Źle się stało, że „niektóre koła" w Europie Zachodniej potraktowały ostrzeżenia Turcji jako próby ograniczania swobody wypowiedzi...

Konia z rzędem temu, kto zrozumiał, o co tu chodziło. „Pewne koła na Zachodzie", „swoboda wypowiedzi"? Cóż to mogło mieć wspólnego z papieżem i ponurym zamachowcem Mehmetem Agcą? Trzeba jednak znać kody języka dyplomacji – w tym przypadku dyplomacji tureckiej – a wszystko stanie się jasne. Wzruszenie i rozżalenie przedstawicieli Turcji za granicą było głównie próbą obrony generała Kenana Evrena i jego wojskowej junty, sprawującej władzę w tym kraju od września 1980 roku.

Rok 1980 zapisał się szczytową liczbą krwawych rozpraw terrorystycznych w tym kraju: od bomb, strzałów pistoletowych i skrytobójczych pchnięć nożem ginęło wtedy przeciętnie 16 osób dziennie. Generał Evren ostro przystąpił do rozprawy z terrorystami, ale rozpoczął od izolowania swoich przeciwników politycznych, byłych premierów Suleymana Demirela i Bulenta Ecevita, co ściągnęło na niego podejrzenia, że dąży do dyktatury, a walka z terroryzmem jest tylko pretekstem. W rozprawianiu się z terroryzmem potrzebna była rzeczywiście twarda ręka. Gdyby na Zachodzie nie zlekceważono tureckich ostrzeżeń dotyczących Mehmeta Agcy i jemu podobnych osobników zbiegłych z kraju – szeptali dyplomaci z Ankary – gdyby Zachód nie odnosił się do generała Evrena i jego poczynań z nieufnością, do strzałów w Rzymie może by nie doszło.

Sformułowanie „pewne koła" należało odczytać jako „władze RFN", gdyż one to w swoim czasie otrzymały informację z Ankary, że Agca przebywa w Niemczech Federalnych. Turcja wystąpiła do władz zachodnioniemieckich o współpracę – ściślej – o aresztowanie Mehmeta Agcy i jego ekstradycję, a RFN odniosła się ponoć do tych żądań z rezerwą, podejrzewając, iż chodzi tu o prześladowanie zbiega politycznego. Jak sprawa wyglądała w szczegółach, do dziś nie wiadomo, faktem jest jednak, że Agca poruszał się przez pewien czas po RFN bezkarnie.

17 maja odbyło się ostatnie, tak zwane wielkie przesłuchanie Mehmeta Agcy. Jak było do przewidzenia, niczego istotnego nie zeznał. Nie miał wspólników, zamach przygotowywał sam, działał we własnym imieniu i na własny rachunek. Komplet śledczych ogłosił kapitulację i zawiadomił prasę, że w przesłuchaniach nastąpi przerwa, bliżej nie określona w czasie.

Triumf Mehmeta Agcy okazał się jednak połowiczny. Nie doceniał on, być może, systemów informatycznych, w jakie wyposażone są od dawna policje całego świata, także i turecka służba bezpieczeństwa, która idąc śladami Zachodu już na początku lat siedemdziesiątych sprawiła sobie całą tę elektroniczną maszynerię do śledzenia ludzi. Jak w tekturowej układance, zwanej puzzle, kiedy to z kilkuset rozsypanych fragmentów trzeba złożyć cały obrazek, życiorys terrorysty i przeprowadzone przez niego przed zamachem akcje zaczęły nabierać coraz wyraźniejszych konturów. Ujawniono wszystko, co tylko było możliwe, o latach jego studiów akademickich.

Egzystencja studenta Agcy to splot zagadek. Zapisał się na studia uniwersyteckie, ale ani razu nie widziano go na wykładach. Nie miał żadnej dziewczyny, nie oddawał się żadnym nałogom. Konfidenci policji w Stambule zauważyli, że uczęszcza do podrzędnych kafejek, zawsze w tym samym towarzystwie trzech mło-

dych ludzi. Jeden z nich nazywał się Mehmet Sener, drugi Oral Celik, trzeci Caylan. Młodzi ludzie wypijali ogromne ilości czarnej, mocno słodzonej kawy i obradowali. Nad czym? Jak się później okazało, układali plan zamachu na postępowego, liberalnego redaktora gazety „Milliyet" – Abdiego Ipekciego, który był „solą w oku" skrajnej prawicy.

Zastrzelił go Agca. Po pięciu miesiącach wpadł i – jak już była mowa – uciekł z dobrze strzeżonego więzienia Kartal jeszcze przed zakończeniem procesu. Prowadzący śledztwo oficer policji Hassan Fehmi Gunes podejrzewał, że w ucieczce pomogła mu organizacja „Szare Wilki", która miała swoich ludzi również w armii i w policji.

„Szare Wilki" to nacjonalistyczna organizacja młodzieżowa skrajnej prawicy, coś w rodzaju tureckiej Hitlerjugend, którą tylko z grubsza można porównywać do ekstremistycznych organizacji zachodnioeuropejskich. W propagowanej przez nią ideologii można było dopatrzyć się elementów „socjalistycznych", to znaczy, miała w programie hasła walki z nędzą i poniżeniem szerokich mas wyzyskiwanych – jak to mawiał Hitler – przez „plutokrację". Tyle że w Turcji chodziło o coś jeszcze innego. Był tam turecki, a raczej ottomański nacjonalizm, nostalgia za utraconą pozycją tego potężnego niegdyś kraju. Tę ottomańską nostalgię wyraża znakomicie symbol organizacji „Szare Wilki": na czerwonym tle wilk wyjący do księżyca, dopominający się jak gdyby sprawiedliwości, powrotu do dawnych, dobrych czasów.

Porównania z hitleryzmem nie są wcale ryzykowne. „Bazkurlar", czyli „Szare Wilki", nie ukrywały niczego. W ich dziele programowym zatytułowanym „Doktryna nacjonalistyczna i populistyczna" czyta się już na wstępie: „Doktryna nacjonalistyczna, na wzór niemieckiej, jest w tej chwili potępiana na świecie. Hitler nie mógł wcielić w życie tej doktryny i błędnie ją stosował. Mimo to nie można odrzucić doktryny narodowosocjalistycznej. Oznaczałoby to pogwałcenie nauki".

I dalej, w rozdziale o gospodarce: „Demokrację wynaleźli Żydzi, by z tym większą łatwością ograbiać ludzi. Demokracja stanowi początek upadku i stwarza podłoże do infiltracji komunizmu".

Teraz już wszystko jasne! Wiadomo, dlaczego wydano i wykonano ręką Mehmeta Agcy „wyrok" na Abdim Ipekcim, który propagował w swojej gazecie demokrację i, co gorsza, był pochodzenia żydowskiego.

Epilog sądowy zbrodni na placu Św. Piotra rozegrał się w dniach 21 i 22 lipca przed trybunałem przysięgłych w Rzymie. Były to dni triumfu policjantów włoskich, którzy potrafili ująć zbrodniarza w kilka sekund po zamachu, a także roztoczyć nad nim należyty nadzór w więzieniu, ustrzec przed ewentualną próbą samobójstwa, jak też zniechęcić domniemanych wspólników do montowania planów ucieczki oskarżonego.

Opinia publiczna musiała sobie wiele po tym procesie obiecywać, skoro samych dziennikarzy piszących znalazło się na sali sądowej ponad dwustu, ekipy telewizyjne zaś liczyły jeszcze czterdzieści osób. Atmosferę napięcia wzmagały nadzwyczajne środki ostrożności, jakie podjęto w stosunku do wszystkich uczestników procesu: czterokrotne kontrole wchodzących na salę przy użyciu przyrządów wykrywających metalowe przedmioty, szczegółowe badanie kart wstępu i osobistych dokumentów oraz kuloodporna klatka, w której miał zasiąść Mehmet Agca (jak niegdyś Eichmann w Izraelu). Imponująco przedstawiały się również dane dotyczące wkładu aparatu śledczego w przygotowanie procesu: akt oskarżenia liczył 500 stron maszynopisu, a lista świadków obejmowała ponad 50 nazwisk.

Napięcie i zainteresowanie wynikało przede wszystkim z ciekawości: czy i co Agca będzie mówić na temat swoich przekonań politycznych, czy i co powie o swoich organizacyjnych powiązaniach, o wspólnikach, którzy nawet jeśli nie byli obecni na placu Św. Piotra w momencie przestępstwa, to przecież pomagali mu niewątpliwie w przygotowaniu zamachu dostarczając pieniądze, fałszywe papiery i wreszcie broń, z której padły strzały? Gdyby natomiast Mehmet Agca działał sam i tylko w swoim imieniu, jaka była motywacja tego działania? Wersję o istnieniu jakiegoś spisku przeciwko papieżowi uprawdopodobniły słowa kardynała

Agostino Casaroliego, który w kazaniu wygłoszonym w bazylice Św. Piotra 29 czerwca mówił:

„Wrogie serce – a może były to serca – wrogie serce uzbroiło wrogą broń, aby dosięgnąć papieża”. W przekonaniu komentatorów, przedstawiciel Watykanu nie użyłby podobnego zwrotu, gdyby państwo kościelne nie dysponowało odpowiednimi w tym względzie informacjami...

Rzec jednak trzeba, że nie wszyscy obserwatorzy spodziewali się po procesie rewelacji. Z tak zwanych przecieków wiadomo było, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Agca okazał się bowiem do końca podsądnym niezwykle trudnym. Wycofał się z poprzednich zeznań o kontakcie z Palestyńczykami czy też Syryjczykami, zeznał ostatecznie, że działał sam, pieniądze czerpał z zasobów zaoszczędzonych jeszcze w Turcji, a broń kupił od przypadkowego handlarza. Jego przynależność polityczno-organizacyjna do tureckiej prawicy pozostawała nadal w sferze poszlak.

Akt oskarżenia rozwiał łowcom sensacji resztki złudzeń. Nie wspominał ani słowem o jakichkolwiek wspólnikach, ograniczył się do obwinienia Agcy o usiłowanie zabójstwa papieża oraz dwóch turystek amerykańskich, Rose Hall i Anne Odre, o posługiwanie się fałszywym paszportem, posiadanie broni bez pozwolenia, noszenie broni w miejscu publicznym, wreszcie o nielegalny pobyt na terytorium Italii.

Wszystko to nie było trudne do udowodnienia, tym bardziej że do tych czynów Agca się przyznał. Zjawił się na sali sądowej, najwyraźniej w dobrej formie fizycznej i psychicznej, w otoczeniu silnej eskorty karabinierów. Był w czystej, dobrze uprasowanej koszuli, wyglądał, rzec by można, ujmująco mimo brody, która w ciągu niespełna dwóch miesięcy zdążyła mu już wyrosnąć i upodobniła go do zdjęcia z listu gończego, jaki rozesłał za nim Interpol przed dwoma laty.

Złożył po turecku oświadczenie, z którym tłumacz miał trochę kłopotu, nie wiedział bowiem, do czego oskarżony zmierza, mówiąc:

– Jestem cudzoziemcem, który strzelał poza terytorium włoskim.

Oznaczało to, że przyznaje się do winy, ale jednocześnie uważa, że sąd włoski jest niekompetentny, ponieważ oskarżony popełnił przestępstwo w obrębie Watykanu i wobec tego żąda przekazania swojej sprawy w ręce jurysdykcji państwa kościelnego. Musiała to być deklaracja uzgodniona z obroną, gdyż ta natychmiast argument podchwyciła i złożyła wniosek formalny w takim właśnie duchu.

Dwóch sędziów i sześciu przysięgłych po krótkiej naradzie odrzuciło wniosek obrony. Wywołało to u Agcy wybuch wściekłości. Krzykiem protestował przeciwko „nieludzkiemu traktowaniu go w więzieniu” i „nieludzkiej sytuacji, w jakiej się znajduje”. Zakończył zapowiedzią, że jeśli do 20 grudnia jego sprawa nie zostanie przekazana sądom watykańskim, rozpocznie strajk głodowy.

Wrzeszczącego wyprowadzono z sali. W sądzie nie pokazał się już do końca procesu, odmówił udziału w rozprawie i wielokrotnie ponawiał groźbę głodówki. Dziwna ta reakcja mogła być jeszcze jednym trikiem zwykle opanowanego terrorysty (czyżby liczył na papieskie przebaczenie, o którym już słyszał?).

Nie istniała nawet potrzeba przesłuchiwania wszystkich świadków, z wielu zrezygnowano. Prokurator zażądał w przemówieniu końcowym najwyższej kary za usiłowanie zabójstwa głowy państwa, jaką jest suweren Watykanu, papież Jan Paweł II, kary dożywotniego więzienia, a dodatkowo jeszcze dwunastu lat pozbawienia wolności za posługiwanie się fałszywymi papierami i za nielegalne posiadanie broni.

Taki właśnie wyrok zapadł w dniu 22 lipca 1981 roku – także pod nieobecność oskarżonego. Za winą i najwyższą karą głosowało wszystkich siedmiu przysięgłych.

Był to więc finał, czy dopiero początek finału?

Społeczeństwom nękanym od lat plagą terroryzmu, które równocześnie zniosły u siebie karę śmierci, wiadomo jest dobrze, iż izolowanie ludzi w rodzaju Mehmeta Agcy nie jest żadnym rozwiązaniem. W przyszłości wszystko się może zdarzyć: ucieczka skazanego przy zewnętrznej pomocy lub bez niej, wymuszenie wymiany, drastyczne głodówki więźniów etc.

Na czas pewien wokół tematu zbrodni na placu Św. Piotra zaległa cisza. Tylko nieliczni dziennikarze telewizyjni RAI interesowali się jeszcze „Szarym Wilkiem", którego osadzono w więzieniu Ascoli Piceno, w prowincji Marche (środkowe Włochy). Na wszelki wypadek Agca podlegał specjalnym rygorom, na przykład wychodził na codzienne spacery dopiero wówczas, gdy inni więźniowie powrócili już do swoich cel. Filmowano go kilkakrotnie. „Twarz jego – mówił komentator RAI – mogłaby być naprawdę ładna, gdyby nie była tak nieprzenikniona". „Jest to zaprogramowany zabójca – stwierdził jeden z prominentów Watykanu".

W Watykanie tymczasem na próżno namawiano papieża do noszenia kuloodpornej kamizelki. Zgodził się tylko, i to po wielu dyskusjach, na kuloodporną płytę, która osłaniała go podczas wygłaszania homilii z okna pałacu papieskiego. Za Spiżową Bramą nasilała się bowiem histeria na tle ewentualnego nowego zamachu na Ojca Świętego. Wszyscy tam byli przekonani, że Agca nie mógł działać sam; skąd miał pieniądze, fałszywe paszporty, broń? Aluzje do spisku, rzucone przez kardynała Casaroli, dolały oliwy do ognia. Odezwał się nawet prokurator generalny Nicolo Amato, który oskarżał Agcę.

Został skazany, sprawiedliwości stało się zadość, ale nikt nie wierzy, że „Szary Wilk" samotnie czyhał na papieża z Polski... Przed zamachem podróżował w różnych kierunkach po Europie i Afryce Północnej. Znikał równie tajemniczo, jak przybywał...

W listopadzie 1982 roku pękła bomba. Włoski sędzia śledczy Ilario Martella obwieszcza, że udało mu się wykryć prawdę o spisku przeciw papieżowi. Winni są: „Szare Wilki", skrajnie prawicowa organizacja turecka, ludzie z tureckiej mafii, która ma swoją kwaterę główną w Sofii, a przede wszystkim służby wywiadowcze Bułgarii, które tymi Turkami od dawna manipulowały. W stan oskarżenia stawia się pięciu Turków: Mehmeta Ali Agcę i jego przyjaciela Orala Celika, Bekira Celenka patrona mafii, Serdara Celebiego – szefa „Szarych Wilków", Omera Bagciego – pośrednika w mafijnych interesach oraz trzech Bułgarów: Todora Ajwazowa – kasjera ambasady bułgarskiej w Rzymie, Sergieja

Antonowa, zastępcę dyrektora linii lotniczych „Balkan Air" w tymże mieście oraz Żelio Wasiliewa – sekretarza attaché wojskowego w ambasadzie Bułgarii.

Oto raport sędziego Martelli, utrzymany w tonie niezłej nawet opowieści kryminalnej. 13 maja, w dniu zamachu, Ajwazow i Antonow spotykają się z Agcą i Celikiem na placu Republiki w Rzymie. Antonow przyjechał niebieskim samochodem alfa-romeo 2000. Antonow wysiadł z samochodu z torbami podróżnymi, w których były dwa pistolety Walther 9 mm oraz granat zaczepny. Wręczył to Celikowi. Cała grupa pojechała do Watykanu, zaparkowała samochód na Via Della Conciliazione, w pobliżu ambasady kanadyjskiej. Ajwazow życzy całej trójce pomyślnej akcji i oddala się. Antonow zaprasza na kawę Agcę i Celika. Raz jeszcze, z planem miasta w ręku, instruuje ich, skąd i kiedy przybędzie papież. Po czym oddala się.

Agca i Celik zostali sami na placu Św. Piotra, gdzie zgromadziło się już 30 000 pielgrzymów oczekujących na cotygodniową audiencję. Zostało ustalone, że Agca odda do papieża 5 strzałów, a Celik rzuci granat, aby osłonić ich ucieczkę. Sędzia Martella twierdzi, że po strzałach Agcy jego przyjaciel Celik stchórzył i wziął nogi za pas. To właśnie uciekającego Celika uchwycił swoją kamerą Lowell Newton z amerykańskiej sieci telewizyjnej ABC.

Celik zniknął bez śladu. Sędzia Martella miał na ten temat swoją teorię. Twierdził, że po ujęciu Agcy jego wspólnik schronił się w ambasadzie Bułgarii, skąd wywieziono go do Sofii w zaplombowanym samochodzie bułgarskim TIR, numer CK 3572. Sędziego Martellę poparł w tym względzie prokurator generalny Italii Antonio Albano, który – jak twierdzi – nie zdołał się dowiedzieć od dyplomatów bułgarskich, co w tej ciężarówce wywożono.

W sprawozdaniu sędziów śledczych od początku roiło się od nieścisłości, występowały luki, które mogły być wypełnione tylko siłą wyobraźni. Przede wszystkim nie wiadomo, czy na zdjęciu Lowella Newtona jest rzeczywiście Oral Celik, czy uciekający młody człowiek to z całą pewnością on? Antonow nigdy nie miał samochodu alfa-romeo, jeździł radziecką ładą, a na ważniejsze imprezy udawał się peugeotem należącym do firmy „Balkan Air".

Co do Ajwazowa i Wasiliewa nie dostarczono żadnych dowodów, że 13 maja 1981 roku byli oni w Rzymie. Ale o tym później.

Kryminalną opowieść o tym, co prasa zachodnia nazwała „bułgarskim śladem", skonstruował sędzia Ilario Martella na podstawie więziennych zwierzeń Mehmeta Alego Agcy. Czy nie było tu jednak jakiejś wcześniejszej inspiracji? Na miesiąc przed aresztowaniem Antonowa (25 listopada 1982 roku) mieszkająca w Italii dziennikarka amerykańska Claire Sterling opublikowała w czasopiśmie „Reader's Digest" cykl artykułów, z których wynikało, że wszystkie zamachy terrorystyczne na świecie są dziełem ludzi ze Wschodu – z krajów komunistycznych. Była ponoć w Turcji zaraz po rzymskim zamachu i udało jej się dotrzeć tam do prawdy. Młody terrorysta Mehmet Agca był manipulowany przez wywiad bułgarski, a ten z kolei przez służby specjalne ZSRR. Po lekturze tych rewelacji włoskie władze sprawiedliwości wezwały Claire Sterling, aby odpowiedziała na pytanie: „Jakie pani ma dowody na to, że tak właśnie było?". „Mam ich wiele – odpowiedziała – ale nie moją jest rzeczą je ujawniać. To wasza sprawa".

Oświadczenie było raczej enigmatyczne, ale haczyk chwycił: sędziowie poszli „bułgarskim śladem".

27 maja 1985 roku rozpoczął się w Rzymie na Foro Italico w zakratowanej sali sądowej, zwanej „bunkrem", pod ochroną karabinierów w kuloodpornych kamizelkach oraz opancerzonych samochodów policyjnych, najbardziej chyba osobliwy poces naszego stulecia. Należy zacząć od tego, że nieomal... zabrakło na nim oskarżonych. Okazało się, że Ajwazow i Wasiliew od dawna są już w Bułgarii, ponieważ ich służbowy pobyt w Rzymie zakończył się i wyjechali do Sofii w ramach tak zwanej rotacji służb zagranicznych. Sergiej Antonow był obecny na ławie oskarżonych tylko w początkowej fazie procesu: ciężka choroba serca, nie fingowana – sprawdzona przez włoskich lekarzy, sprawiła, że odwieziono go do aresztu domowego, gdzie walcząc o życie przetrwał aż do końca sprawy. Oral Celik, którego Amerykanin utrwalił na taśmie telewizyjnej, był nieuchwytny. W efekcie, jedynym oskarżonym obecnym fizycznie na sali rozpraw w dwupiętrowym budynku na Foro Italico został Mehmet Ali Agca, odpowiadający za przemyt broni do Włoch oraz pozwany jako świadek w sprawie „bułgarskiego śladu". Pozostali współoskarżeni Turcy – 39-letni Omer Bagci, były robotnik huty szkła w szwajcarskim miasteczku Olten, gdzie kierował emigrancką grupą „Szarych Wilków" i dostarczył Agcy broń (pistolet Walther kaliber 9) oraz 33-letni Musa Serdar Celebi, przewodniczący emigracyjnego „Idealistycznego Stowarzyszenia Tureckiego" i kasjer operacji zamachu na papieża – byli doprowadzeni do sądu tylko na niektóre rozprawy. Nie przybył też Bekir Celenk, rzekomy czy też prawdziwy „ojciec chrzestny" tureckiej mafii. Siedzi bowiem w bułgarskim więzieniu.

Mehmet Ali Agca stał się więc samotnym bohaterem procesu. Trzeba przyznać, że grał swoją rolę do ostatka, w sposób wręcz oszałamiający. Udowodniono mu, że na 97 sesjach procesowych skłamał 114 razy, wprawiając w przerażenie także swojego obrońcę, który mitygował go, jak mógł, jednakże bez skutku. Nie od rzeczy będzie przypomnieć niektóre wypowiedzi Agcy, z całą ich fantastyczną plątaniną.

A więc, przede wszystkim oświadczył, że jest wcieleniem Chrystusa i przepowiada rychły koniec świata. Dziwna to wypowiedź w ustach muzułmanina.

– Ja jestem Chrystusem odrodzonym – wołał – i przepowiadam wam koniec świata w imię wielkiego i miłosiernego Boga. Wszyscy zostaniecie unicestwieni jeszcze za czasu tej generacji! Zamach na papieża to trzecia tajemnica Fatimy!

Sędziowie znieruchomieli. Co to wszystko ma znaczyć? Magnetofony kilkuset dziennikarzy zanotowały te słowa. Obrońca Agcy, mecenas Pietro D'Ovidio, miał duże kłopoty z reporterami; oświadczył im wreszcie, że jego klient mówiąc o „końcu świata" miał na myśli właśnie dziennikarskie ataki na jego osobę. Niezbyt to było przekonywające...

Po czym nastąpiły tasiemcowe zeznania Agcy, obfitujące w zaprzeczenia własnym słowom, w zaskakujące wolty i krętactwa, jakich chyba przed sądem włoskim nikt jeszcze się nie dopuścił. Agca twierdzi początkowo, że na zdjęciu Lovella Newtona przedstawiającym osobnika uciekającego z placu Św. Piotra jest jego

bułgarski wspólnik Ajwazow, który miał go osłaniać rzucając świecę dymną. Następnie – gdy po dokonaniu ekspertyzy fotografii wykluczono taką możliwość z uwagi na różnice wzrostu i postury Bułgara – świadek oskarżenia zeznaje, iż owym uciekającym był Oral Celik.

Kim jest Celik?

Agca powiedział sądowi, że Oral Celik przewodził duchowo i instruował członków organizacji „Szare Wilki" w jego tureckiej prowincji. Potem zeznania te odwołał: był to „przyjaciel, podwładny i prawa ręka", współuczestnik napadów terrorystycznych i knajpowych bójek z lewicowcami, to wszystko.

Następnie opisuje jak wyglądało mieszkanie Antonowa, gdzie jakoby Agca był i gdzie ułożono plan zamachu na papieża? „W mieszkaniu przy Via Pola 29 salonik oddzielony jest od jadalni rozsuwanymi, drewnianymi drzwiami". Wizja lokalna w tym budynku wykazała, że dawne mieszkanie Antonowa było jedynym, w którym takich rozsuwanych drzwi nie było, a salonik oddzielała od jadalni tylko zasłona z szarej tkaniny. Agca zezna później, iż rzeczywiście w tym mieszkaniu nie był, a znał je tylko ze zdjęć telewizyjnych i filmowych. Wycofa się także z zeznań, że widywał żonę i córkę Antonowa. Ale dopiero wtedy, gdy sąd przedstawi mu dowody ich nieobecności w Rzymie w czasie przez niego określonym.

Niemało kłopotu sprawił Agca sądowi rozpoznając na zdjęciach „bułgarskich wspólników". Przedstawiono mu album z 56 fotografiami ludzi, wśród których miał rozpoznać Bułgarów. Wskazał ich trzech. Istotnie byli to Bułgarzy, ponieważ na wszystkich zdjęciach figurowali wyłącznie obywatele tego kraju.

Przewodniczący trybunału, sędzia Severino Santiapichi, znalazł się w impasie. Jak traktować zeznania Agcy? Szaleniec czy wyjątkowo wyrafinowany osobnik, który kpi sobie z włoskiego wymiaru sprawiedliwości? Manipulowany, ale przez kogo? W ciągu trzech lat śledztwa i dziewięciu miesięcy procesu sądowego nic nie potwierdziło istnienia bułgarskiego, a dalej idąc – „radzieckiego śladu". Co gorsza, Ilario Martella, sędzia śledczy, który rozkręcił całą tę sprawę, oświadczył publicznie:

– Jestem trochę niezadowolony. Moja praca nie ma końca. Żeby ujawnić wszystkie elementy tej sprawy i osoby, które brały w niej udział, Bułgarów czy innych ludzi zaangażowanych w usiłowanie morderstwa (papieża), musiałbym prowadzić śledztwo jeszcze przez dziesięć lat.

Był to cios dla sądownictwa Italli. Równocześnie zaczęli penetrować osobliwą historię procesową dziennikarze – włoscy i zagraniczni. Chcieli zrozumieć, w jaki sposób mogło dojść do tak absurdalnej, operetkowej niemal rozprawy. I tu uchwycono pewne fakty.

Agca był – jak się wyrażali komentatorzy – „nafaszerowany" informacjami o Bułgarach, a także o niektórych podejrzanej konduity Turkach. Należało tylko zastanowić się, skąd te szczegóły pochodziły. Rzecz ciekawa, że zanim Agca zaczął snuć rewelacje o „bułgarskim tropie" w październiku 1982 roku, w lecie tego samego roku na ten sam pomysł wpadła Claire Sterling, a jeszcze wcześniej – ówczesny szef CIA (Central Intelligence Agency – Centralna Agencja Wywiadowcza) w Turcji Paul Henze, który na łamach amerykańskiego czasopisma „Atlantic Community" wystąpił z twierdzeniem, że napastnik z placu Św. Piotra nie jest żadnym „Szarym Wilkiem", ale agentem lewicowych ekstremistów na służbie Związku Radzieckiego. Tylko kto i w jaki sposób Alego Agcę indoktrynował i faszerował informacjami o bułgarskich urzędnikach, o ich wyglądzie, stosunkach rodzinnych etc.?

Tu padło po raz pierwszy nazwisko 81-letniego dominikanina, ojca André Morliona. Dziwnym trafem ojciec Morlion mieszkał w kamieniczce przy Via Pola 29, piętro niżej od Antonowa, i być może to w jego mieszkaniu Agca widział rozsuwane drzwi łączące salonik z jadalnią, jakie znajdowały się również i w mieszkaniach innych lokatorów. Wszystkich prócz Bułgara.

Oczywiście sam fakt sąsiadowania o niczym jeszcze nie świadczy, gdyby nie osobowość ojca Morliona, zakonnika aż nazbyt dobrze znanego w Rzymie i w Watykanie. Była to postać o nieprawdopodobnym wręcz życiorysie, wyjęta jak gdyby z kart powieści sensacyjnych, tyle że fakty z jego życia są najzupełniej prawdziwe. Urodzony w roku 1904 Belg przez 50 lat był niestru-

dzonym bojownikiem przeciwko komunizmowi. Zorganizował w Belgii tak zwane Ofensywne Brygady, profaszystowskie grupy młodych katolików, które miały na swoich proporcach wypisane hasła walki z marksizmem.

Dominikanin był zafascynowany faszyzmem i hitleryzmem, jednakże antyklerykalizm Hitlera sprawił, że ojciec Morlin odwrócił się od Włoch i hitlerowskich Niemiec, przeszedł natomiast na służbę... brytyjskiej Intelligence Service. Był szpiegiem z powołania, penetrującym środowiska katolickie. W 1945 roku zakonnik-szpieg znalazł się we Włoszech, ale już jako agent amerykańskiej organizacji wywiadowczej OSS, poprzedniczki CIA, po czym automatycznie przechodzi do CIA. Za pieniądze tej organizacji podróżuje po świecie, bywa we Włoszech, w Hiszpanii, Brazylii, zakłada pod nazwą „Pro Deo" ośrodki niby to religijne, a w rzeczywistości służące antykomunistycznej propagandzie. Głównie jednak szpieguje w Watykanie, donosi szefom CIA o każdym posunięciu w polityce zagranicznej Stolicy Apostolskiej.

Hierarchia watykańska rozszyfrowała wreszcie działalność tego niepospolitego dominikanina i w 1960 roku wyprawiła go z Włoch. W trzy lata później, dzięki pomocy przyjaciela, potężnego wówczas kardynała Angela Dall'Acquy powrócił do Rzymu. Zamieszkał właśnie przy Via Pola 29. Czy znał Antonowa? Niewątpliwie wiedział, że żona Bułgara ma na imię Rosica i że ludzie ci mają dziewięcioletnią córkę. U Antonowa niestety nigdy nie był – stąd fatalna wpadka z rozsuwaną ścianą. Nie wiedział też, że w dniu, kiedy Agca miał jakoby odwiedzić Antonowa i bawić się z małą, ani matki, ani córki w Rzymie nie było: wyjechały do Bułgarii...

Publiczność procesową na Foro Italico zastanawiała niezła znajomość języka włoskiego, jakim posługiwał się Mehmet Agca, kiedy toczył swoje mętne wywody. Podczas pierwszej rozprawy w lipcu 1981 roku nie umiał przecież powiedzieć w tym języku ani słowa. Od tego czasu minęło co prawda kilka lat, ale przecież skazany na dożywotnie więzienie i osadzony w Ascoli Piceno terrorysta nie miał nauczyciela włoskiego i na żadne kursy nie uczęszczał.

Otóż okazuje się, że miał takiego nauczyciela, i to właśnie

w więzieniu. Nazywał się Giovanni Senzani i był również więźniem skazanym na dożywocie za udział w zamachach terrorystycznych Czerwonych Brygad. Ujawnił ten fakt trzeci z kolei więzień, członek Camorry (neapolitańskie odgałęzienie mafii) Giovanni Pandico, który ratując własną skórę postanowił sypać, czyli opowiadać o wszystkim, co w Ascoli Piceno widział i słyszał, nie tylko zresztą o Agcy i jego sprawach.

– Senzani nauczył Agcę włoskiego – mówił Pandico. – Turek miał przebywać w izolacji, ale szef Czerwonych Brygad widywał się z nim i uczył go naszego języka. Turek skruszał ze strachu. Zanim Cutolo został przewieziony do innego więzienia, zażądano od nas, abyśmy nastraszyli Agcę i zagrozili mu śmiercią, a on wtedy zaczął mówić to, co chcieliśmy...

To krótkie, nie dla wszystkich zrozumiałe oświadczenie dla prasy Pandico później rozwinął i skomentował: „my" – to oczywiście Camorra. Raffael Cutolo to uwięziony szef Camorry, którego głównym doradcą był właśnie Giovanni Pandico. A oto okoliczności „skruszenia" Agcy według relacji Pandico.

– Ascoli Piceno było to coś więcej niż więzienie. To była prawdziwa kwatera główna „Nowej Camorry". Powiedzmy wprost, że od 1981 roku w Ascola nikt nie liczył się z władzami. Więzienie znajdowało się w naszych rękach, my decydowaliśmy o wszystkim. Jeśli ktoś potrzebował pomocy, musiał zwracać się do nas... W owym czasie w więzieniu przebywa Ali Agca, z którym ja i Cutolo szybko nawiązujemy przyjaźń. Ali jest przestraszony, nie zna języka, nie ma ubrania na zmianę, jest ostrzyżony na zero i siedzi w brudnej celi. Postanawiamy mu pomóc...

Dalej Pandico ujawnia powody tak nagłej przyjaźni z Agcą:

– Pomyśleliśmy, że taki facet jak on mógłby być przez nas wykorzystany jako zabójca w więzieniach, toteż zaczęliśmy mu nadskakiwać, aby go później zwerbować. Dajemy mu ubrania, każemy wstawić do celi telewizor, a na podłogę położyć wykładzinę dywanową, dajemy mu w prezencie książki i słownik włoski. Rozmawiamy gestykulując, stajemy się przyjaciółmi...

Jednakże Agca nie został więziennym killerem, gdyż w planach Camorry pojawiła się niespodziewana przeszkoda. Agca został

„skruszony”, ale nie przez Camorrę, tylko przez włoskie służby specjalne.

Pewnego dnia w więzieniu Ascoli zjawił się niejaki Musumeci, oficjalnie opiekun społeczny, a w rzeczywistości agent włoskiego wywiadu wojskowego, o czym Camorra od dawna wiedziała. Był to osobnik wpływowy, jak się później okazało – generał. Spotkał się z członkami Camorry i to, co powiedział, przyprawiło ich o dreszcz strachu i podniecenia. A więc Cutolo ma być niebawem przewieziony do innego więzienia i podczas tego transportu zlikwidowany przez bliżej nie ustalony konkurencyjny gang, później przyjdzie kolej na jego świtę.

Widząc przerażenie Cutola, rzekomy opiekun społeczny starał się zbagatelizować sprawę. Powiedział, że być może to tylko plotki. W końcu jednak dodał, że jeśli takie pogłoski krążą, niewykluczone, iż w tym coś jest.

Camorryści poprosili Musumeciego, aby przeniesienie Cutoli odłożono przynajmniej o dwa tygodnie, co pozwoli im zorganizować obronę na zewnątrz. Wtedy Musumeci powiedział: „Wyświadczę wam tę przysługę, jeśli wy mi wyświadczycie inną”.

– Poprosił nas – relacjonuje dalej Pandico – abyśmy pomogli mu w skruszeniu Agcy. Z kieszeni wyciągnął plik papierów, coś w rodzaju szkicu protokołu bez nagłówka. Wypisane na nim były wszystkie powody, które miały skłonić Agcę do skruchy; mówiło się tam o Związku Radzieckim, o Bułgarach. Zgodziliśmy się. Był z nami również kapelan Mariano Santini oraz sierżant Guarraccino, członkowie naszej organizacji. Wołamy Agcę, tłumaczymy mu, że Musumeci może mu pomóc, podkreślamy, że w Turcji grozi mu kara śmierci, podczas gdy tu, we Włoszech, sprawy mogłyby ułożyć się dla niego pomyślnie. Dajemy mu dokument do przeczytania i, jeśli dobrze pamiętam, Musumeci każe mu go podpisać. W tej sytuacji zresztą Agca podpisałby lub powiedziałby wszystko. Przez całą noc i przez następne dni ja i ojciec Santini naciskamy Agcę grożąc mu w zawoalowany sposób, że jeśli nie posłucha rad Musumeciego, mogą go spotkać przykrości również tu, w więzieniu. Nie trzeba było jednak zbytnio nalegać. Dla nas ta sprawa na tym się skończyła...

Był to początek marca 1982 roku. Musumeci dotrzymał słowa: Cutolo został przewieziony do innego więzienia dopiero po dwóch tygodniach. Agcę zaczęli odtąd coraz częściej odwiedzać w celi oficerowie służb specjalnych, choć oficjalnie takie wizyty są zabronione i wymagają specjalnego zezwolenia włoskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Zgoda Agcy to był dopiero początek. Teraz trzeba go było nauczyć szczegółów całej operacji: których Bułgarów ma rozpoznać na zdjęciach, co przyjdzie mu o nich, o ich rodzinach, wnętrzach ich mieszkań powiedzieć. Uczeń nie był widać zbyt pojętny, indoktrynacja bowiem trwała aż do października tegoż roku i – jak się to ujawniło na samym procesie Antonowa – przyniosła mizerne efekty.

Rewelacje, jakie przekazał prasie Giovanni Pandico – a były to rewelacje, w pełnym tego słowa znaczeniu – sprawiły, że sąd roztrząsający zagadkę „bułgarskiego śladu”, przesłuchał go w charakterze świadka. Tu camorrysta powtórzył raz jeszcze historię skruszania Agcy z detalami, w niczym się nie plącząc i niczego nie odwołując. Zeznania te wywołały zaniepokojenie tylko u Agcy, sąd natomiast przyjął je z całą obojętnością, jak gdyby była to jakaś opowieść kryminalna, fikcyjna, zmyślona.

Dlaczego Pandico nie wzbudził zaufania sędziów? Ponieważ – jak napisali sprawozdawcy z procesu – był on gangsterem, a gangsterom nigdy nie należy wierzyć. Gdyby nawet inni przez niego wymienieni camorryści powtórzyli to samo, to przecież oni również są takimi samymi przestępcami i notorycznymi kłamcami. Generał Musumeci, zastępca dyrektora wojskowej służby bezpieczeństwa i informacji (SISMI), odszedł na emeryturę. Byli kumple Pandica – Giordano Cosimo, Francesco Guarraccino, ojciec Santini i inni – wszystkiego się wyparli, a on sam został przez Camorrę skazany na śmierć za zbytnią gadatliwość. Tak oto interesujący, ujawniony dopiero w końcowej fazie procesu „ślad SISMI” rozpłynął się w powietrzu.

Jedną z najbardziej interesujących postaci w sprawie „bułgarskiego śladu” – który w ostatniej fazie procesu rzymskiego przekształcił się w „ślad turecki” – był Bekir Celenk, domniemany lub może prawdziwy szef tureckiej mafii. Miał on zasiąść na ławie

oskarżonych obok Antonowa i Agcy jako główny organizator zamachu na papieża, organizator ze strony tureckiego podziemia. Sędzia śledczy Martella oraz prokurator twierdzili, że wręczył on w swoim czasie Mehmetowi Agcy 3 miliony marek zachodnioniemieckich na pokrycie kosztów tego zbrodniczego przedsięwzięcia. Według aktu oskarżenia Celenk występował w roli pośrednika „na najwyższym szczeblu" między Agcą a wywiadem bułgarskim. Była to teza oparta tylko i wyłącznie na zeznaniach Mehmeta Agcy.

Bekir Celenk nigdy nie stanął przed rzymskim sądem z przyczyn, którym warto przyjrzeć się bliżej.

Ten tłuściutki, jowialny i ujmujący Turek, który oficjalnie uchodził za biznesmena, od wielu lat podróżował po Europie, z którą łączyły go najróżniejsze interesy handlowe, jak najbardziej legalne. W samej Italii był – jak to ustaliła policja włoska – co najmniej 20 razy. Ostatnio prowadził jakieś pertraktacje z armatorami. Tej jego ruchliwości nikt się nie dziwił. Turcy znani są bowiem ze swojego zamiłowania do handlu.

Bekir Celenk istotnie handlował, ale narkotykami i bronią. Narkotyki przemycano do Europy Zachodniej, broń wędrowała do Turcji, gdzie w końcu lat siedemdziesiątych szaleli terroryści z ekstraprawicy i ekstralewicy, a „towar" ten gotowi byli kupować za każdą cenę. Wspaniała koniunktura skończyła się dla Celenka we wrześniu 1980 roku, kiedy to w Turcji przejęli władzę generałowie i ostro wzięli się za terrorystów, no a przede wszystkim za tych, którzy dostarczali im broni. Władze wojskowe musiały widocznie wpaść na jego ślad, bo pewnego dnia spakował walizki, wsiadł do samolotu i via Bułgaria próbował przedostać się na Zachód.

Na sofijskim dworcu lotniczym, który był pierwszym etapem tranzytowym w jego podróży, został aresztowany przez Bułgarów. Dlaczego? – protestował. Przecież nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa w tym kraju, nie prowadził tu żadnych „interesów", nie miał żadnych konfliktów!

Istotnie była to prawda. Celenk w drodze na Zachód nieraz zatrzymywał się na krótko w Sofii, w niczym jednak nie naraził

się bułgarskim władzom. Rzecz cała wyjaśniła się podczas przesłuchania w areszcie śledczym. Był to grudzień 1982 roku, kiedy we Włoszech i w ogóle na Zachodzie zaczęły mnożyć się doniesienia prasowe o rzekomym współudziale Celenka w zamachu na papieża, o powiązaniach „ojca chrzestnego" tureckiej mafii z Agcą i Bułgarami. Rzecz całą należało wyjaśnić. Jeśli nawet władze bułgarskie wiedziały, kim jest Celenk naprawdę (że handlował bronią i narkotykami), nie miało to w tym przypadku znaczenia. Ważna była jego rola w konstruowaniu „bułgarskiego śladu".

Po kilku przesłuchaniach śledztwo umorzono, zabrakło bowiem dowodów, że zarzuty Agcy mają jakiekolwiek sensowne podstawy. Celenk został zwolniony, zatrzymano mu jedynie paszport i zakazano przekraczania granicy do czasu, gdy sprawa Antonowa w Rzymie nie wyklaruje się.

Była to decyzja niewątpliwie słuszna. Bułgarzy obawiali się bowiem, że gdyby Celenk opuścił Bułgarię i znalazł się na Zachodzie, urobiono by go tam różnymi metodami: szantażem lub obietnicami zysków materialnych, na co zawsze był bardzo czuły. Przebywając w Bułgarii Celenk mógł swobodnie rozmawiać, z kim chciał, z czego zresztą nie omieszkał skorzystać i wielokrotnie udzielał wywiadów korespondentom zachodnim. Wystąpił nawet na konferencji prasowej.

Na razie jednak czekała go znowu rozmowa urzędowa. Władze bułgarskie zaproponowały Włochom przesłuchanie Celenka w Sofii. Sędzia Ilario Martella dosyć długo zwlekał z przyjazdem, w końcu jednak zjawił się w stolicy Bułgarii wyposażony w magnetofon i specjalną aparaturę filmową. Zamknął się z Celenkiem i przesłuchiwał go przez trzy dni. Cała rozmowa była przez niego filmowana. Po zakończeniu swoich czynności sędzia Martella wyjechał zabierając ze sobą protokoły przesłuchań i taśmę filmową, nie pokazując niczego Bułgarom. Nie chciał również skorzystać z protokołów przesłuchań, jakie przeprowadzili Bułgarzy, powiedział, że wystarczy mu to, czego się sam dowiedział. Czyżby chciał stworzyć wokół siebie atmosferę tajemniczości, dać do zrozumienia, że wydobył od Celenka jakieś rewelacje?

Jeśli tak, to zupełnie niepotrzebnie. Z materiałów, jakie Martella zaprezentował niebawem sądowi w Rzymie, wynikało, że Celenk nie powiedział mu ani słowa więcej ponad to, co zeznał przed Bułgarami. Zeznanie to wyglądało w skrócie tak:

Czy to prawda, że Celenk przebywał w Bułgarii od 11 do 15 lipca 1980 roku i zatrzymał się w hotelu „Witosza"?

Tak, prawda. (Celenk nie mógł odpowiedzieć inaczej, jako że w jego paszporcie widniał odpowiedni wpis, jak również istniała adnotacja w księdze hotelowej).

Czy to prawda, że w tym samym czasie w hotelu „Witosza" mieszkał Mehmet Ali Agca?

Celenk tego nie wie, ponieważ Agcy w ogóle nie zna, nigdy nie widział go na oczy.

Agca utrzymuje, że w hotelu „Witosza" skontaktował go z Celenkiem turecki biznesmen Omer Mersan, mieszkający stale w Monachium. W hotelu przystąpili do opracowywania pierwszych planów zamachu na papieża. Czy tak było?

Przesłuchiwany Celenk gwałtownie zaprzecza. Owszem, Mersana poznał kiedyś przypadkowo, natomiast inne osoby zamieszane w zamach na papieża – Agcę, Celika, Omera Bagciego zna jedynie z prasy...

To samo powtarzał Celenk na kilku konferencjach prasowych, które zorganizowano w Sofii dla dziennikarzy zagranicznych. Na pytania, jakie stosunki łączyły go z Mehmetem Agcą, odpowiadał zniecierpliwiony:

– Pytano mnie o to wielokrotnie. Wielokrotnie też odpowiadałem, że Agcy nie widziałem nigdy w życiu i nigdy z nim nie rozmawiałem. Znam go jedynie z gazet.

A te 3 miliony marek, które Agca miał otrzymać za zabójstwo papieża?

– Skąd nagle miałbym wziąć tyle pieniędzy? Nie nosi się ich zresztą w teczce, takie kwoty podejmuje się w banku. Gdzie są czeki bankowe opiewające na tę sumę? Nie ma śladu takich dowodów.

Celenk wyśmiał także pytania dotyczące jego przemytniczych transakcji bronią; oświadczył, że są to bajki, nie poparte żadnymi dowodami.

Tu jednak trochę przesadził. Wiosną 1983 roku Turcja wystąpiła o jego ekstradycję, uzasadniając szczegółowo swój wniosek dowodami na temat rozlicznych afer przemytniczych Celenka i innych jego przestępstw. Bułgaria argumentację tę uznała i Bekir Celenk wylądował w tureckim więzieniu.

Bułgarska zgoda na ekstradycję Celenka do Turcji wywołała na Zachodzie prawdziwy szok. Obserwatorzy przestawali cokolwiek rozumieć. W swoim czasie Bułgaria odrzuciła żądanie Włoch o ekstradycję oskarżonego w procesie Antonowa, a teraz? Turcja jest przecież jednym z najbardziej antykomunistycznych krajów NATO. Turcja jest tradycyjnie antybułgarska. W Turcji grasują swobodnie agenci kapitalistycznych wywiadów, z amerykańskim na czele. Gdzie jak gdzie, ale właśnie w Turcji można będzie wydobyć z Celenka całą prawdę o „bułgarskim tropie"...

Do Turcji udał się natychmiast przedstawiciel włoskiej prokuratury i przystąpił do przesłuchania Celenka z podobnym zapałem, jaki poprzednio wykazywał sędzia Martella. Znowu fiasko. Jedna z gazet zachodnioniemieckich („Sueddeutsche Zeitung") napisała: „Oczekiwanych sensacji zabrakło. Celenk ani jednym słowem nie obciążył konta bułgarskiego, bo nie miał w tym względzie nic do powiedzenia".

14 października 1985 roku „ojciec chrzestny" tureckiej mafii, Bekir Celenk, zmarł w więzieniu wojskowym w Ankarze. Ten dwuznaczny osobnik, o którego sztuczkach mafijnych tyle opowiadano, sprawił jeszcze jedną niespodziankę: umarł śmiercią naturalną na atak serca. W prasie światowej pojawiły się, jak można było przewidzieć, pytania, czy przypadkiem tej śmierci nie przyspieszono? Posądzeń tych było jednak niewiele, ponieważ trudno przychodziło wytypować i sprawcę, i motyw, a fakty przemawiały za śmiercią naturalną: nadmiernie otyły Celenk od dawna chorował na serce, miał nadciśnienie i dobijał się jeszcze tym, co zwykło się nazywać „niehigienicznym trybem życia". Zresztą przy sekcji zwłok obecna była jego rodzina, która nie zgłosiła żadnych wątpliwości.

Śmierci Celenka poświęcono w telewizji i prasie tylko krótkie informacje. Przypomniano rolę, jaką odegrał czy raczej miał ode-

grać w tak zwanym procesie Antonowa. Miał być jakoby konfrontowany w Rzymie z Ali Agcą. I tu znowu sprawił zawód co zagorzalszym zwolennikom teorii „bułgarskiego śladu”. Po tej konfrontacji oni głównie doznaliby ostatecznego zawodu.

Gdy „bułgarski ślad” stał się już tylko mitem, łatwo można było zorientować się, że proces Antonowa, nazywany od pewnego czasu procesem Agcy, wkrótce dobiegnie końca. Dla włoskiego wymiaru sprawiedliwości, a zwłaszcza dla prokuratury, która pozwoliła manipulować sobą tureckiemu terroryście i jego mętnym wspólnikom, nadchodził trudny moment. Przecież to na podstawie tych niczym nie udokumentowanych zeznań rozpoczęła się z wielkim szumem rozprawa na Foro Italico. Co robić teraz? Jak ratować prestiż włoskich stróżów prawa? Tego niewdzięcznego zadania podjął się prokurator generalny Antonio Marini, a dobrą w tym względzie okazją mogła być jego końcowa mowa oskarżycielska.

Prokurator Marini przemawiał przez tydzień. Sala świeciła pustkami, a ława oskarżonych przedstawiała widok raczej żałosny. Zasiadali na niej tylko dwaj stosunkowo mniej obwinieni, Serdar Celebi i Omer Bagci, domniemani członkowie ekstremistycznej organizacji „Szare Wilki”. Zabrakło Sergieja Antonowa i samego Agcy, ci bowiem z różnych przyczyn wycofali się z udziału w rozprawie.

Cała furia prokuratora skupiła się na osobie Mehmeta Alego Agcy. To on – mówił oskarżyciel – utrudniał przebieg procesu, udzielając mglistych, sprzecznych ze sobą, a czasem w sposób oczywisty kłamliwych zeznań. Jedynym celem tych krętactw było wydostanie się z więzienia, gdzie odsiaduje karę dożywocia za usiłowanie zabójstwa papieża.

Cóż miały znaczyć oświadczenia, że jest nowym wcieleniem Chrystusa, że spisek przeciwko papieżowi związany był z „trzecim sekretem Fatimy”? Co oznaczały przepowiednie rychłego końca świata? Te mistyczne wypowiedzi były tylko trikiem. Agca chciał zdyskredytować proces i spowodować jego przerwanie. Nigdy nie utracił on nadziei, że zostanie uwolniony przez swoich wspólników i dlatego nie odwoływał się od wyroku dożywocia.

Prokurator Marini ujawnił niektóre szczegóły śledztwa. Gdy Agca zaczął zeznawać w 1982 roku, wypowiadał się umiarkowanie, jak gdyby oczekiwał, że coś nowego się wydarzy. Coś nowego, co będzie dla niego korzystne. Gdy to się nie stało, zaczął kłamać, a robił to świadomie, by uczynić siebie mniej wiarygodnym i w ten sposób przewlekać sprawę. Na co czekał?

Niezależnie jednak od pokrętnych zeznań Agcy, spisek przeciwko papieżowi istniał, a owego krytycznego dnia na placu Św. Piotra obecny był nie tylko Agca strzelający do papieża. Terrorystów było więcej. Zdjęcia filmowe ukazują uciekającego młodego mężczyznę z bronią w ręku. Czyżby był nim ów nieuchwytny od pięciu lat terrorysta turecki Oral Celik, jak początkowo twierdził Agca? Skąd padł trzeci strzał, słyszany przez wielu świadków, jeśli z pistoletu Agcy oddano tylko dwa?

Takie oto zarzuty wobec Agcy i pytania pod adresem uczestników spisku wytoczył przed sądem prokurator, stawiając tym siebie w niezbyt korzystnym świetle. Nie trzeba zbytniej bystrości, by zauważyć, że wszystkie te fakty należało przeanalizować przed trzema laty, kiedy rozpoczynało się śledztwo w sprawie „bułgarskiego śladu”.

O „bułgarskim tropie” prokurator Marini już nie wspominał. Ograniczył się do wyłuszczenia pretensji wobec Antonowa, krytykując go za to, że zamiast przyczynić się do wyjaśnienia faktów i wykrycia prawdy, postanowił wycofać się z posiedzeń sądu.

29 marca 1986 roku, w wigilię Wielkanocy, sąd rzymski ogłosił wyrok w „sprawie Antonowa i innych”. Narady trybunału trwały tydzień, ale odczytywanie sentencji tylko 3 minuty. Wszyscy oskarżeni zostali uniewinnieni z zarzutu o współudział w zamachu na życie papieża, jedynie Omer Bagci skazany został na 3 lata więzienia za przemyt broni ze Szwajcarii do Włoch. Sąd nakazał zwolnienie oskarżonych, także i Omera Bagci, bo ten zdążył już swoją karę odsiedzieć. W więzieniu pozostał tylko Mehmet Ali Agca, który na mocy poprzedniego wyroku dostał dożywocie.

Agca dał jeszcze jeden popis swojej oryginalności. On jeden powitał wyrok oklaskami, a jeszcze przed odczytaniem sentencji

zdążył złożyć deklarację, że „nie jest ani Bogiem, ani Chrystusem, jest tylko aniołem występującym w postaci człowieka".

A więc, koniec całej sprawy?

Niezupełnie. Ledwie odczytano wyrok, a już wśród publiczności wywiązały się dyskusje, co ta sentencja właściwie oznacza. Stwierdzono, że oskarżeni zostają uwolnieni z braku dowodów winy, co w prawodawstwie włoskim nie jest równoznaczne z uniewinnieniem całkowitym. Toteż w chwili gdy Sergiej Antonow opuszczał swoje mieszkanie, gdzie odbywał areszt domowy, i jechał do ambasady Bułgarii, jego obrońca, a także adwokaci Ajwazowa i Wasiliewa składali już wnioski o rewizję wyroku, żądając dla swoich klientów uniewinnienia absolutnego.

Rewizję zapowiedział także prokurator. Nie mógł pogodzić się ze stwierdzeniem sądu, iż nie istniały ani „bułgarski ślad", ani „turecka ścieżka", że nie było w ogóle spisku, że Agca działał sam, bez wspólników. Zdaniem oskarżyciela, spisek taki musiał istnieć, jako że zbrodniarz z placu Św. Piotra – powtarzał to raz jeszcze – musiał mieć w kimś oparcie, przynajmniej finansowe, ktoś musiał mu załatwiać wystawianie fałszywych paszportów (ostatni na nazwisko Faruk Ozgun), ktoś musiał mu dostarczyć broń... Jeśli nie Bułgarzy – skoro ich „śladu" nie doszukano się – to wobec tego kto?

Na to pytanie prokurator nie potrafił jasno odpowiedzieć, uparł się jednak, że do spisku z całą pewnością należeli zwolnieni właśnie Turcy – Serdar Celebi i Omer Bagci, w związku z czym otrzymali oni zakaz opuszczania Włoch przed ewentualną rewizją procesu. Niewielka była to dla nich sankcja. I tak od lat przebywali na emigracji, do domu więc się nie spieszyli. Przez pewien czas trwał spór o decyzję w sprawie Antonowa: wypuścić go z Włoch, czy nie wypuścić? Wreszcie prokurator generalny zdecydował, że tak. Niebawem, Antonow, który nie wiadomo czemu musiał siedzieć w więzieniu i areszcie domowym od listopada 1982 roku, znalazł się na lotnisku w Sofii, gdzie czekali na niego rodzina i przyjaciele.

Za kratami więzienia w Italii pozostał jedynie Mehmet Ali Agca, „człowiek-anioł". Jeśli przeważa w nim anielskość, to niewątpliwie rozwinie skrzydła i wyfrunie poprzez kraty na wolność; jeśli jest człowiekiem, czekają go długie lata więzienia.

Ale też i przez długie lata będzie się o nim pamiętać, była to bowiem najbardziej intrygująca postać w tak zwanym procesie Antonowa. Zawsze zaskakujący, czasem trochę niesamowity Agca obrósł już w legendę. Jedni widzą w nim psychopatę, inni przebiegłego acz niezbyt inteligentnego przestępcę, który nieudolnie udaje mistyka, jeszcze inni – zwykłego mordercę-najemnika, od początku do końca manipulowanego przez nieznane jeszcze siły.

Że nie działał sam, to pewne. O tym przekonany jest nie tylko prokurator. Nie sposób sobie wyobrazić młodego Turka, bez pracy i bez zawodu, który przez półtora roku (od dnia ucieczki z więzienia w Turcji do dnia zamachu), bez niczyjej pomocy podróżuje po Europie i żyje w warunkach może nie luksusowych, ale bardzo dobrych, wybiegających daleko ponad standard gastarbeiterów tureckich. Mało prawdopodobna jest też hipoteza, że ci, którzy sfingowali jego ucieczkę z tureckiego kryminału, zaopatrzyli go jednorazowo w aż tak wielką sumę pieniędzy, która by mu wystarczyła na półtora roku dostatniego życia. Może więc tam, w Turcji, na krótko przed wyjazdem ukradł albo zrabował jakiś skarb?

Trudno też przyjąć, że w Europie Zachodniej znalazł oparcie w szeroko rzekomo rozgałęzionej tajnej organizacji „Szare Wilki". Być może tych „wilków" jest rzeczywiście sporo wśród tureckich imigrantów, są to jednak na pewno ludzie mizernej konduity i bez wpływów politycznych (patrz: współoskarżony Bagci, robotnik w hucie szkła). Jeśli więc organizacja dawała mu wsparcie, to raczej tylko moralne. Zresztą, po cóż miała go finansować? „Szary Wilk"-terrorysta potrzebny był im w Turcji, ale nie w Europie.

Koncepcja „bułgarskiego śladu" nie wypaliła, podobnie jak tureckiego, przeto istnieje może jakiś inny „ślad". Jeśli tak, to niewątpliwie Agca da o tym znać spoza więziennych murów. O ile przedtem nie przeistoczy się w diabelskiego smoka i nie zacznie ziać ogniem, który spali wszystko dookoła, z nim samym włącznie. Przyszłość pokaże.

PROCES NAD PROCESAMI

Stare XIX-wieczne więzienie Ucciardone w Palermo otoczone wysokim murem, jest obiektem solidnie izolowanym od zewnętrznego świata i rzadko kiedy udawało się komuś stamtąd uciec. Na rozprawy trzeba jednak było więźniów przewozić do dość odległego sądu i wtedy zdarzały się różne wypadki: ucieczki z transportu bądź udane akcje odbicia oskarżonych, znaczone trupami policjantów i strażników więziennych z eskorty. Żeby takim wypadkom zapobiec, w sąsiedztwie Ucciardone wybudowano niedawno nowy budynek sądowy, „całkowicie bezpieczny", połączony podziemnym przejściem z więzieniem.

Budynek – to określenie niezbyt trafne. Jest to raczej wielki betonowy bunkier w kształcie trójkąta, bez otworów okiennych, oddzielony od ulicy metalową palisadą. Do jednej ze ścian bunkra przylegają boksy, a ściślej mówiąc – klatki dla szczególnie niebezpiecznych podsądnych. Stół sędziowski umieszczony na podium, na wprost boksów, przypomina pulpit kontrolny w zakładach przemysłowych o wysokim stopniu automatyzacji: monitory telewizyjne pozwalają obserwować każdego z oskarżonych, a komputery są w stanie wyszukać błyskawicznie każdy potrzebny w danej chwili dokument procesowy. Radiofonizacja jest tu oczywiście pełna i precyzyjna. Budowa bunkra sądowego w Palermo kosztowała 19 milionów dolarów.

Właściwa inauguracja bunkra odbyła się 10 lutego 1986 roku. Wczesnym rankiem tego dnia przyprowadzono tu podziemnym tunelem z Ucciardone i rozmieszczono w zakratowanych boksach 100 oskarżonych. Przed oskarżonymi zasiadło za długimi stołami 307 obrońców, a po prawej stronie sędziowskiego podium zajęło miejsca 23 oskarżycieli. O godzinie 9.45 wszedł na salę rozpraw

przewodniczący trybunału Alfonso Giordiano. Rozłożył papiery i dość ogólnie krótko scharakteryzował przedmiot i cel procesu.

Oskarżeni są członkami mafii i odpowiadać będą za różne przestępstwa – od handlu narkotykami, poczynając poprzez oszustwa szantaże i porywania ludzi aż po morderstwa, których w ostatnim czasie popełnili ponad 90. Oskarżonych jest w sumie 467, ale 116 z nich przebywa na wolności (czytaj: ukrywa się), 33 siedzi w areszcie domowym, a 113 zostało zwolnionych za kaucją. Owa setka za kratkami boksów jest więc tylko reprezentacją mafijnego podziemia. Akt oskarżenia liczy 8636 stron maszynopisu i stwierdza się w nim, że „jest to proces organizacji mafijnej noszącej nazwę Cosa Nostra [co można przetłumaczyć: Nasza Sprawa czy też Nasze Dobro – M.A.], niezwykle groźnego stowarzyszenia przestępczego, które stosując przemoc i zastraszenie, siało śmierć".

Zatem proces-gigant. Według czyjegoś określenia, „proces nad procesami". Jak do niego doszło? Skąd się wzięło aż tylu oskarżonych o tak poważne przestępstwa? W jakich okolicznościach dostarczono ich do sądu? Żeby pojąć genezę tej rozprawy bez precedensu, trzeba cofnąć się w czasie – do dnia 3 września 1982 roku.

Palermo, piątek 3 września. O godzinie 21 w Villa Wittaker, budynku, w którym mieści się prefektura policji, zjawiła się żona prefekta Carla Alberta Dalla Chiesa – Emanuela – aby „odebrać" męża z pracy i zawieźć go małym prywatnym samochodem autobianchi A 112 do domu w odległej o kilka kilometrów Villa Paina. W garażu prefektury czekał jedyny funkcjonariusz ochrony generała Dalla Chiesy, 32-letni Domenico Russo. Siedział w swojej alfetta 2000 uzbrojony, w lekki pistolet automatyczny.

Pani Emanuela, druga żona generała, o trzydzieści lat od niego młodsza, była jedyną osobą, która wiedziała, do której godziny i w którym pokoju jej mąż będzie tego dnia pracować. Przed wyjazdem do domu zadzwoniła jeszcze ze służbowego telefonu do matki w Mediolanie.

Około godziny 21.30 generał wraz z małżonką skierowali się

ku wyjściu. Na pożegnanie strażnik nocny zapytal szefa żartobliwie, kiedy wreszcie będzie on kończyć pracę w zwykłych godzinach urzędowania i kiedy pojedzie do domu zwykłym, służbowym samochodem. Generał równie żartobliwie odpowiedział: „Może jutro, ale wtedy będę przebrany za kobietę, żeby nikt mnie nie mógł rozpoznać".

Niebawem oba samochody ruszyły: najpierw brunatna autobianchi prowadzona przez panią Emanuelę, za nią alfetta z funkcjonariuszem ochrony Domenico Russo przy kierownicy.

Od czasu porwania Alda Moro, kiedy to jedną salwą zlikwidowano jego eskortę, generał karabinierów Carlo Alberto Dalla Chiesa, włoski „antyterrorysta numer 1", nie wierzył w skuteczność wieloosobowej ochrony osobistej. Twierdził, że na nic się ona nie zda, jeśli mordercy umieszczą bombę gdzieś na trasie przejazdu albo wystrzelą z przyzwoitej odległości pocisk bazooka. Wolał raczej taić godziny i miejsca pobytu, podróżując zmieniał wielokrotnie helikoptery, a nocował z reguły w prowincjonalnych koszarach karabinierów, ujawniając swoją tożsamość dopiero w ostatniej chwili.

Czy była to metoda słuszna, trudno powiedzieć. Faktem jest, że o godzinie 21.45, w odległości około kilometra od prefektury, generał i jego żona leżeli w swoim rozbitym samochodzie martwi, podziurawieni kulami jak sito, a ciężko rannego agenta ochrony, Domenica Russa, odwiozła do szpitala karetka pogotowia. Według zeznań naocznych świadków, samochód generała został zablokowany przez motocykl suzuki oraz fiata 131 i BMW z rejestracją rzymską. Okazało się wkrótce, że wszystkie te pojazdy były skradzione i spalone w kilka minut po zamachu w jednej z bocznych ulic. Komando „killerów" oddało co najmniej 40 strzałów, bo tyle znaleziono łusek.

W kilkanaście minut później agencje podały: „Prefekt Palermo, generał karabinierów Alberto Dalla Chiesa – zamordowany przez mafię". Co do tego, że sprawcą mordu była mafia sycylijska, nikt nie miał wątpliwości. 1 maja 1982 roku Dalla Chiesa stanął na czele „Commissione Antimafia" i w tym charakterze oddelegowany został do prefektury w Palermo, tej tradycyjnej stolicy zbrodniczego stowarzyszenia czy też raczej centrali związkowej – „Cosa Nostra", która dziś używa nazwy „Szacowne Towarzystwo" („Onorata Società").

Z mafią sycylijską generał Dalla Chiesa spotykał się nie po raz pierwszy. W drugiej połowie lat czterdziestych, jeszcze jako młody porucznik karabinierów, służył w Palermo i brał udział w policyjnych polowaniach na osławionego bandytę Salvatora Giuliana, nieustraszonego przystojniaka, który występował w roli sycylijskiego Janosika: bogatych rabował, a biednym rozdawał, w przerwach zaś między napadami udzielał wywiadów co ładniejszym amerykańskim dziennikarkom. Giuliano zwabiony został w pułapkę i zastrzelony przez policję, przy współudziale... mafii, która dostrzegła w nim niepotrzebnego konkurenta.

Czymże była wówczas mafia?

Zgrupowaniem drobnych rzezimieszków, trudniących się wymuszaniem okupów od bogatych kupców i obszarników, o ile któryś z nich sam do mafii nie należał. Z dawnych obyczajów „janosikowej" organizacji, zwanej mafią, ta sukcesorka grupująca elementy zdemoralizowane podczas rządów Mussoliniego i drugiej wojny światowej zachowała w zasadzie tylko regułę „omertà" – nakaz milczenia i bezapelacyjny wyrok śmierci za zdradę tajemnic organizacyjnych. Wielcy bossowie od dawna już działali na emigracji, głównie w Stanach Zjednoczonych, gdzie uformowali organizację „Cosa Nostra".

Obejmując swój urząd w Palermo (na pięć miesięcy przed śmiercią) generał Dalla Chiesa wiedział doskonale, że ma do czynienia z inną mafią, z taką, która wytyczyła sobie cele i wypracowała metody działania godne organizacji przestępczej ostatniej dekady XX stulecia. Mimo iż najwybitniejsze indywidualności mafijne wyemigrowały do USA, gdzie można zdobyć większe łupy, na miejscu pozostało jeszcze dość ludzi odpowiednio sprytnych i bezwzględnych, aby mogli czerpać nieograniczone zyski z włoskiego „cudu gospodarczego", który to cud dokonywał się także i na Sycylii. Jadąc do Palermo w 1982 roku, generał miał w ręku obszerne dossier dotyczące osobliwych stosunków gospodarczych i społecznych na tej wyspie. Ze statystyk wynikało na

przykład, że na Sycylii, a więc w tradycyjnie zaniedbanym i nierozwiniętym regionie Italli, kupuje się najwięcej luksusowych samochodów, że na 100 dorosłych mieszkańców tylko 28 pracuje (co nie oznaczało, że wszyscy bezrobotni są przestępcami), że wreszcie od początku tego roku zamordowano w tej prowincji z bliżej nie ustalonych powodów ponad 200 osób.

Carlo Alberto Dalla Chiesa był – jeśli tak można się wyrazić – policjantem z krwi i kości. Sam od młodości pozostawał w służbie karabinierów, był synem karabiniera, zięciem karabiniera (w pierwszym małżeństwie), a także bratem i szwagrem karabinierów. W całej tej rozgałęzionej rodzinie policyjnej on jeden wyróżniał się umysłem twórczym; stosował metody ścigania zawsze dostosowane do metod i sytuacji przeciwnika.

Kiedy po zamordowaniu Alda Moro rząd powierzył mu wielkie zadanie zwalczania terroryzmu i udzielił specjalnych uprawnień, wywiązał się z tego zadania na piątkę, działając sobie tylko właściwymi metodami. Z uchylonych w tym przypadku swobód demokratycznych (rewizje i aresztowania bez nakazu prokuratora, podsłuch telefoniczny, otwieranie korespondencji etc.) korzystał bez ograniczeń; do bojówek Czerwonych Brygad wprowadził swojego agenta – informatora Silvana Girottę, a schwytanym terrorystom, takim jak Patrizio Peci i Antonio Savasta, obiecał znaczne złagodzenie kary w zamian za wydanie współtowarzyszy. W rezultacie czołowi przywódcy lewackich Czerwonych Brygad albo wylądowali w więzieniach, albo musieli schronić się na emigracji.

Teraz, kiedy rząd uznał, że plagą numer 1 Włoch nie jest już polityczny terroryzm, lecz podziemie przestępcze na Sycylii, Dalla Chiesa zaczął posługiwać się metodą zwaną amerykańską. Podwładni pamiętają jego powiedzenie:

– Gdyby w swoim czasie Al Capone był ścigany za gangsterstwo, a nie za nadużycia podatkowe, do końca życia przebywałby na wolności.

W ciągu czterech miesięcy urzędowania prefekta Dalla Chiesy w Palermo nie ustawała praca komputerów oraz specjalnych agentów, badających dane osobowe Sycylijczyków, których dochody były niewspółmiernie wysokie w stosunku do efektów ich

działalności w różnych dziedzinach – w handlu, budownictwie, robotach publicznych, na roli. W wyniku tej akcji sporządzono listę, na której znalazły się 3192 nazwiska ludzi żyjących ponad stan, nie umiejących wskazać źródeł swoich dochodów. Czy sporządzenie tej właśnie listy, która mogła zaprowadzić za kratki czołowych mafiosów, stało się przyczyną wydania wyroku śmierci na generała? Prawdopodobnie tak, choć z całą pewnością stwierdzić się tego nie da.

Niezwykle interesujące są reportaże pisane przez specjalnych wysłanników prasy bądź kręcone przez telewizję w pierwszych dniach po zamachu na generała Dalla Chiesę i jego żonę. Zagadywani mieszkańcy Palermo robili wrażenie, jak gdyby o niczym nie wiedzieli. Taksówkarze wieźli reporterów na miejsce masakry tylko na wyraźne ich życzenie, a tam udawali, że nie rozumieją, o co chodzi. Strajk protestacyjny przeciwko terrorowi trwał wprawdzie 4 godziny, ale miał charakter raczej formalny: przemawiali z reguły tylko komuniści, którzy później zapłacili za to życiem (komunistyczny przywódca regionalny Pio La Torre zamordowany został przez mafię 30 kwietnia 1983 roku, a w dwa miesiące później to samo spotkało aktywistę sycylijskiej WŁPK, sędziego Cesarego Terranovę, obu „ukarano” za przesłanie do parlamentu projektu ustawy wskazującej sposoby zwalczania mafijnego podziemia).

Stosunkowo bardziej rozmowni okazali się ankieterzy, którzy brali udział w zestawianiu listy 3 tysięcy nazwisk. Widocznie doszli oni do wniosku, że skoro zemsta dosięgła generała, ich samych pozostawi się w spokoju. Oto co powiedzieli dziennikarzom.

Dalla Chiesa zorientował się szybko, na czym polega technika zbijania mafijnych majątków w ostatnim okresie. Naciskany przez opinię publiczną rząd przeznacza poważne dotacje na rozwój zacofanego Południa, a zwłaszcza Sycylii. Mafia, która kontroluje kluczowe urzędy państwowe i komunalne, zawsze potrafi przechwycić te kredyty i przeznaczyć je na obrót narkotykami. W chałupniczych laboratoriach Sycylii wyrabia się dziennie 40–50 kilogramów heroiny z surowców przemycanych z Bliskiego Wschodu i wysyła kontrabandą za granicę – do Stanów Zjedno-

czonych i Europy Zachodniej. Część z tych kolosalnych „narko-zysków” inwestowana jest później rzeczywiście w „rozwój Południa”, ale i tu opanowane przez mafię firmy budowlane, drogowe i inne oszukują, gdzie i jak tylko można, a odbiorcy gotowych obiektów nie protestują, bo wiedzą, czym to grozi... W roku 1982 mafia zainkasowała astronomiczną sumę 8000 miliardów lirów, którą ulokowała w miejscowych bankach (również przez siebie kontrolowanych), ale przede wszystkim zagranicznych.

Tyle wiedzieli, czy też tyle tylko chcieli powiedzieć ankieterzy. Nie podawali żadnych szczegółów, nie odkrywali podszewki zbrodni, nie wymieniali nazwisk, nie potrafili nawet skonkretyzować pojęcia „mafia”. Powoływali się jedynie na kierunki śledztwa prowadzonego przez Dalla Chiesę. Dziennikarze nie mieli wątpliwości, że na Sycylii strach zamyka usta nawet najodważniejszym. Nikt spośród reporterów ani ich rozmówców nie przewidywał wtedy, że w dwa lata po śmierci generała Dalla Chiesy wszystkie intrygujące szczegóły, prawdziwe rewelacje o egzystencji tajemniczego świata mafii i jej ludzi popłyną szerokim strumieniem i zaspokoją wreszcie ciekawość publiczną.

Na razie można było jedynie skonstatować, że mordując generałą Dalla Chiesę, osobistość tak znaną, mafia przeholowała, wysunęła się poza barierę własnego bezpieczeństwa, o czym świadczyły różne znaki, nie tyle na niebie, co na ziemi.

Sukcesję po generale Dalla Chiesie objął Emanuele De Francesco, dotychczasowy szef cywilnej służby bezpieczeństwa SISDE – zapowiedział on kontynuację działań swego poprzednika. Oświadczył bez ogródek, że jest w posiadaniu listy 3192 nazwisk, która mimo krążących na ten temat plotek nie została wykradziona. Studiuje ją właśnie i doszedł do wniosku, że generał Dalla Chiesa patrzył na sprawy mafii w sposób właściwy...

W kręgach politycznych Sycylii dało się odczuć wyraźne zmiany w stosunku do mafii. Chadeccy bonzowie, notabene ci, których podejrzewano o współpracę z mafią, zaczęli się od niej dystansować, a niekiedy posuwali się nawet do jej krytyki. Zarząd miejski zdecydował się wznieść w porcie Palermo pomnik „Ofiarom mafii in memoriam”. Władze regionalne postanowiły wyasygnować miliard lirów na „akcję antymafijną” w szkołach (?). Pozwolono na przemarsz protestacyjny przez Brancaccio, najbardziej krwawą dzielnicę Palermo (50 zabitych w ciągu dwóch lat), uczniom gimnazjalnym, których stawiło się 8000. Zabrał nawet głos przywódca religijny Sycylii, kardynał Pappalardo; dotychczas bardzo powściągliwy w wypowiedziach na temat mafii, jął nagle rzucać gromy na Czcigodne Stowarzyszenie. Batalion inspektorów finansowych przystąpił do badania kont bankowych, dokonując kilkunastu tysięcy inspekcji. Zamrożono kapitały w wysokości 500 miliardów lirów, których pochodzenie wydało się podejrzane.

Mafia jak gdyby przycichła, poczęła udawać, że nie istnieje, upodobniła się do małego robaka, który w obliczu zagrożenia nieruchomieje i pozoruje martwotę. Zresztą, mafia nigdy publicznie nie manifestowała swojego istnienia, toteż ten pozorny bezruch przyszedł jej bez wielkiego trudu. Śmiało można postawić tezę, że w tym pierwszym okresie prowodyrzy mafijni dalecy byli od obaw i załamania. Ileż to razy inicjowano przeciwko nim nagonkę i zawsze bez skutku! Należało tylko przeczekać...

Nie przeczuwali jednak, że z chmur, jakie się nad nimi gromadziły, pewnego dnia strzeli piorun dokonując w ich szeregach prawdziwego spustoszenia. „Piorun” ten został załadowany pewnego lipcowego dnia roku 1984 do samolotu na lotnisku brazylijskim w São Paulo, z przeznaczeniem dla odbiorcy we Włoszech.

Samolot wylądował 14 lipca na lotnisku, którego nazwy nie podano, bo tak sobie życzył pasażer. Dopiero po pewnym czasie okazało się, że był przy tym fotoreporter, być może policyjny. Wpływowy tygodnik „L'Europeo” zakupił od niego zdjęcie i opublikował pod własną firmą. Ukazywało ono schodzącego z trapu przygarbionego, siwiejącego, pulchnego bruneta w ciemnych okularach, którego podtrzymywali brazylijscy policjanci w cywilu, nie dlatego, by miał im uciec, lecz by się nie przewrócił. Był u kresu sił. Świadkowie tej sceny opowiadali już po fakcie, że cały drżał i trochę szlochał. Stanąwszy na włoskiej ziemi zapytał od razu, gdzie jest sędzia Falcone?

Sędziego na lotnisku nie było, ale kierowca (nie karetki więziennej, lecz prywatnego samochodu) wiedział, dokąd ma jechać.

Ruszył do miejscowości X, a za nim jeszcze jedna prywatna limuzyna wypełniona mężczyznami w cywilnych ubraniach, z dyskretnie ukrytą bronią.

Któż w owym tłustawym i przygarbionym osobniku z pledem na ramionach mógłby rozpoznać buńczucznego niegdyś mafijnego bossa? Dopiero podpis pod zdjęciem w „L'Europeo" rzecz wyjaśniał: przybyły to Tommaso Buscetta, szef jednej z najbardziej wpływowych mafijnych „rodzin" sycylijskich, poszukiwany od dawna przez władze włoskie, przedmiot sporu z Brazylią o ekstradycję. Przedmiot to właściwe słowo. Buscetta był już tylko wrakiem, mamrotał, że przemówi głośno, lecz tylko wtedy, gdy znajdzie się w więzieniu, którego adresu nikt znać nie będzie.

Prolog jego przymusowej podróży do Włoch rozegrał się tydzień wcześniej, w celi więzienia w São Paulo. Tam odwiedziło go dwóch włoskich sędziów śledczych – Giovanni Falcone i Vincenzo Gerati. Była to swego rodzaju formalność przed ekstradycją więźnia, którą wreszcie wynegocjowano. Chodziło o kilka szczegółów, jednakże postawa słynnego mafiosa – a zwłaszcza to, co mówił płacząc, zaskoczyły sędziów i skłoniły ich do pilnego notowania.

– Gdybym zażył dozę strychniny, którą zawsze miałem przy sobie na wypadek schwytania mnie przez Szacowne Towarzystwo, to powodem tego czynu nie byłoby moje tchórzostwo. Motywem mojego samobójstwa byłby akt miłości: przez moją śmierć chciałem ocalić rodzinę przed zemstą mafii...

– Mafia, co to takiego? – pyta sędzia Falcone udając naiwnego.

– Stowarzyszenie zbrodniarzy bez moralności i honoru – odpowiada Buscetta.

Dodaje, że jeśli on sam ocalał, to dlatego, że był chroniony tutaj, w Brazylii. Skulony na więziennej pryczy ciągnie dalej:

– Jeśli chciałem się unicestwić, to dlatego, że liczyłem, iż w ten sposób wytrącę z rąk moich byłych kumpli motyw do prześladowania moich najbliższych. Zrozumiałem jednak, że organizacja wkroczyła na drogę terroru i nic nie potrafi zawrócić jej ku starym tradycjom, kiedy to skazywano na śmierć tylko zdecydowanych wrogów albo zdrajców.

Sędziowie zorientowali się natychmiast, w czym rzecz: Buscetta będzie sypał, ale nie dlatego, że brutalne metody nowoczesnej mafii budzą w nim odrazę. Będzie mówił, żeby zemścić się na konkurencyjnych klanach, które wystrzelały mu niemal całą rodzinę – syna, brata, dwóch siostrzeńców i zięcia. Zanim sędziowie opuścili celę brazylijskiego więzienia, Buscetta poprosił ich, aby doręczyli prokuratorowi trybunału w Palermo list następującej treści:

„Raz jeszcze mafia z ludobójczą furią uderzyła w moich najbliższych. Choć bardzo nad tym boleję, wybór mój jest nieodwołalny: nic nie zmusi mnie do milczenia. Jestem człowiekiem honoru. I to honor właśnie obliguje mnie do walki przeciwko zbrodniarzom z sycylijskiego Czcigodnego Stowarzyszenia i amerykańskiej Cosa Nostra. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw, na jakie będę narażony. Jestem gotów wyjść naprzeciw śmierci z pogodą ducha i bez strachu. Proszę Boga o wybaczenie. Nie domagam się pobłażliwości. To nie zemsta dyktuje mi sposób mojego postępowania, ale moje sumienie".

Gdzieś we Włoszech, w miejscu odosobnienia X, które zgodnie z życzeniem Buscetty znały tylko cztery osoby – dwóch sędziów śledczych i dwóch członków rządu – pięćdziesięciosześcioletni wówczas „ojciec chrzestny" już nazajutrz po wylądowaniu w kraju rozpoczął składanie zeznań. Ta „pożyteczna rozmowa", jak ją nazywali i Buscetta, i obaj sędziowie, trwała ponad dwa miesiące i spisana została w formie protokołu, który liczył 3000 stron maszynopisu. Buscetta, jako pierwszy w historii mafioso najwyższej rangi, rzeczywiście „puścił farbę", i to niemały jej strumień.

Najpierw mówił o sobie. Urodził się w Palermo, dorosłe życie rozpoczął od przemytu amerykańskich papierosów, tak modnych w pierwszych latach powojennych. W latach sześćdziesiątych zorientował się, że lepszym interesem będzie kontrola nad handlem narkotykami. Starzy, konserwatywni przywódcy mafii raczej mu to odradzali, ale miał za sobą młodą kadrę mafijną, dobrze poinformowaną o zasięgu narkomanii, tej nowej plagi społecznej.

Kokaina przybywała do Europy z Boliwii i Kolumbii, ale tam operacje mafijne mogły się z czasem stać mało rentowne, jako

że miejscowi notable chcieli na tym także sporo zarobić. Buscetta wyprawił się do Ameryki Południowej i osiadł w Brazylii w charakterze pośrednika w przerzutach towaru. Otworzył przedsiębiorstwo turystyczne. Jego taksówki powietrzne transportowały bogatych turystów do Kolumbii, Boliwii i z powrotem. Ktoś później powiedział, że „przewoziły mniej ludzi aniżeli narkotyków". Kokaina Buscetty szła nie tylko do Europy, ale i do Stanów Zjednoczonych, co było jeszcze lepszym interesem.

Wyniki miał świetne, w końcu jednak popełnił błąd: stał się zbyt pewny siebie i zaczął mieszać się do polityki. Energicznym brazylijskim generałom sprawującym wówczas władzę bardzo się to nie podobało. W 1972 roku Buscetta został po raz pierwszy wydalony do Włoch.

Osadzono go w więzieniu w rodzinnym Palermo. Zachowywał się tam wyniośle, był przecież wielkim mafiosem, o czym wszyscy dookoła wiedzieli. W Ucciardone, tej potężnej fortecy usytuowanej w pobliżu portu, panowały od lat mafijne obyczaje, których nikt nie śmiał zmieniać. Współwięźniowie z niższych kręgów mafijnych, tak zwani piciotti, musieli Buscettę całować w rękę. On mówił do wszystkich „ty", pozostali do niego „pan". Dotyczyło to także strażników, a nawet dyrektora więzienia, który wcale nie próbował protestować. Buscetta miał w celi telewizor i lodówkę, jadał wyłącznie potrawy przynoszone z najlepszych restauracji. Ze światem zewnętrznym utrzymywał stałą łączność, głównie za pośrednictwem ojca Coppoli, spowiednika, który sam był mafiosem z „rodziny" o tym osławionym nazwisku.

Pewnego dnia władze powzięły podejrzenie, że Buscetta zamierza uciec. Przeniesiono go więc do innego więzienia – w Piemoncie, na drugim krańcu Włoch, gdzie wpływy mafii były wtedy znikome. To właśnie okazało się pomyłką. Pewien sędzia śledczy, naiwny i nieświadomy, z kim ma do czynienia (lub może dyskretnie przekupiony), uwierzył obwinionemu. Uznał, że Buscetta zmienił się całkowicie, że nigdy już nie tknie się przestępczego procederu, że chce prowadzić uczciwe życie, zarabiając na egzystencję jako zwykły szklarz.

Buscetta został warunkowo zwolniony i skierowany do warsztatu szklarskiego. Tam pracował i prowadził się przykładnie przez... pięć dni, po czym zniknął. Kandydat na rzemieślnika wsiadł do pierwszej klasy samolotu odlatującego do Zurychu, a stamtąd udał się do Rio de Janeiro, gdzie usiłował powrócić do poprzedniej działalności.

Od tego momentu opowieść Buscetty o samym sobie brzmiała już trochę mętnie. Kiedy siedział w więzieniu, przywódca silnej, ale nie konkurencyjnej dotąd „rodziny", przejął na Sycylii jego kokainowe imperium i przystąpił do likwidowania wszystkich, którzy się temu sprzeciwiali. Wtedy zginął syn Buscetty i jego krewniacy.

– Kto to był? zapytał sędzia Falcone, pełen wątpliwości, czy Buscetta wymieni nazwisko człowieka, który automatycznie musiałby znaleźć się w kryminale, i to do końca swoich dni.

– Michele Greco – odpowiedział Buscetta bez wahania.

Na tym nie koniec: to właśnie „rodzina" Greco zamordowała w 1977 roku pułkownika karabinierów Giuseppe Russa, podobnie jak wielu innych policjantów i cywilów (w okresie przesłuchiwania Buscetty dokonano na Sycylii 160 morderstw, dotąd nie wyjaśnionych).

Buscetta okazał się jednak w pewnym sensie lojalny wobec wrogiej „rodziny" Greco. Nie podjął sugestii sędziego, że to właśnie ta „rodzina" porwała i zabiła dziennikarza Mauro de Mauro, zaciętego tropiciela mafii, nie chciał też przypisać jej odpowiedzialności za zamach na generała Dalla Chiesę i jego żonę. Stwierdził, że nic mu o tym nie wiadomo, a fantazjować nie chce.

Jedna z „pożytecznych rozmów" z Buscettą przyniosła prawdziwe rewelacje. Chociaż życiorys Buscetty sam w sobie jest interesujący i stanowi dowód, że w filmowych portretach „ojców chrzestnych" niewiele jest fikcji, to dopiero wynurzenia na temat struktury organizacyjnej mafii stały się „gwoździem" przesłuchania.

A więc, kto rządzi mafią? Czy taka władza centralna w ogóle istnieje?

Mafiosi mają trzy swoje rangi, zeznaje Buscetta, co prawda bez oficjalnych tytułów. Ta trzecia, najwyższa, jest utajniona przed podwładnymi. Jeszcze bardziej zakonspirowany jest Komi-

tet Dziesięciu, wybierany spośród przywódców mafijnych owej najwyższej rangi. Na czele Dziesięciu stoi Szef Wszystkich Szefów (Capo dei Capi). Komitet Dziesięciu jest światową reprezentacją wszystkich organizacji mafijnych: zasiadają w nim przedstawiciele sycylijskiego Czcigodnego Stowarzyszenia, neapolitańskiej Camorry, kalabryjskiej N'drangheta i amerykańskiej Cosa Nostra. On sam, Buscetta, był mafiosem trzeciej, najwyższej rangi.

Jeżeli to wszystko prawda, musiałyby runąć hipotezy wielu socjologów, że mafia składa się z licznych, płynnych grup, nie tylko nie posiadających wspólnego kierownictwa, ale nawzajem się zwalczających, o czym świadczą krwawe między nimi rozprawy.

Buscetta nie próbował szerzej dokumentować swoich rewelacji, ponieważ miał większe zmartwienie.

W niewiadomy sposób poza mury miejsca odosobnienia, którego adres znany był tylko czterem osobom, przedostały się wiadomości, że Buscetta sypie. W końcu września mafia wiedziała już, że jest on pierwszym w historii przywódcą mafijnym, który złamał „omertà" – święty obowiązek milczenia...

W początkach października 1984 roku dokonano serii morderstw. W Katanii zamordowano Leonarda Rimiego i Calogera Carusa – zostali oni znalezieni w przydrożnym rowie z kulami w karku. Antonia Musumeciego zastrzelono przed jego własną willą, a Corrado Scalora zginął w pewnym barze w Syrakuzach podczas nieudanej ucieczki. Wszyscy należeli do „rodziny" Gaetana Badalamentiego, zwanego „Don Tano". Początkowo trudno było zrozumieć, co wspólnego z tymi morderstwami ma Buscetta, chodziło przecież o zupełnie inną „rodzinę".

Sędzia Falcone miał jednak w tej sprawie dobre rozeznanie. Rzecz w tym, że „Don Tano" był nie tylko bliskim przyjacielem Buscetty, lecz, co gorsza dla mafii, sam od jakiegoś czasu siedział w więzieniu i skłonny był do mówienia. 4 października otrzymał od syna (którego z kolei aresztowano w Brazylii) krótki list:

„Kochany tato, błagam cię, powiedz i ty swoje. Mów wszystko".

Jakim cudem mafia dowiedziała się o treści tej kartki, pozostało jej tajemnicą, ale wymowa morderstw w Katanii stała się jasna:

była to „kara" dla przyjaciół Buscetty, pośrednie ostrzeżenie dla niego, a bezpośrednie dla Gaetana Badalamenti, którego nie tak trudno było dosięgnąć w więzieniu...

Na podstawie zeznań Tommasa Buscetty, Salvatora Contorna, zwanego „Toto" oraz dziesięciu innych skruszonych członków mafii można by napisać kilka ładnych scenariuszy na temat techniki działania Czcigodnego Stowarzyszenia. Jakaż rozpiętość tych przestępczych operacji, jaka mnogość metod i sposobów!

Najwięcej pomysłowości wymagał obrót narkotykami, tym głównym źródłem dochodów nowoczesnej mafii. Surowiec, czyli opium i morfina, przypływał statkami na wybrzeże adriatyckie Włoch w regionach Bari, Brindisi i Wenecji. Nadawcami byli rezydenci mafii w Teheranie, Bejrucie, Smyrnie, Stambule, Kolumbii i Boliwii. Następnie surowce trzeba było destylować i przerabiać na heroinę, ten najbardziej pokupny narkotyk. Początkowo wykonywały tę robotę dla sycylijskiej mafii konspiracyjne laboratoria we Francji, w rejonie Marsylii, ostatnio mafia ma już własne laboratoria na Sycylii. Oficer policji Boris Giuliano wpadł na ich trop. Napisał w raporcie, że najwięcej mafijnych chemików działa w Cinisi, Catellamare i w samym Palermo. Jest to towarzystwo międzynarodowe – specjaliści z Francji, Turcji, Holandii i z samych Włoch – z Neapolu i Palermo. Najlepszymi chemikami są podobno Turcy, sowicie przez mafię opłacani.

Gotowa heroina wysyłana jest za granicę. Tu dopiero otwiera się pole dla inwencji mafiosów, którzy wychodzą z siebie, aby przechytrzyć celników na Sycylii i w krajach odbiorców towaru.

Przed laty Don Giuseppe Caruso, stary mafios wyższej rangi, wiercił otwory w blokach przeznaczonego na eksport marmuru, ukrywał w nich woreczki z heroiną, a dziury zręcznie zalepiał kamienną pastą. Sposób dobry, ale w końcu też rozszyfrowany. Później heroinę wkładano do eksportowanych serów, do beczek z anchois, do wyrobów cukierniczych zdobionych wydrążonymi migdałami. Udawało się nawet wprowadzać narkotyki pod skórki słynnych sycylijskich pomarańcz. Jakie triki stosuje się teraz?

Tego Buscetta nie wie, ale jego skruszeni kumple na pewno coś na ten temat powiedzą.

Kolejny, nader zyskowny proceder uprawiany był w branży budowlanej. Operacje mafijne w miastach, a zwłaszcza w Palermo, odbywały się stosunkowo prosto. Zarząd miejski ogłaszał na przykład, że będą wyburzane dzielnice starych, murszejących domów, a na ich miejscu wzniesione zostaną nowoczesne wieżowce. Właściciele owych domów i oczywiście gruntów widzieli już oczyma wyobraźni worki pieniędzy, jakie otrzymają od władzy za ich wykup. Nadzieje okazywały się jednak płonne, bo oto u kamieniczników pojawiali się ni stąd, ni z owąd wytworni panowie oświadczając, że kupują obiekt i działkę za taką to, a taką śmiesznie niską cenę. Żaden właściciel nie odmawiał, bo odgadywał od razu, że kontrahenci to ludzie mafii, ci zaś odprzedawali później grunty miastu lub państwu za cenę wielokrotnie wyższą. Rudery istotnie burzono, a w ich miejsce wznoszono lub nie wieżowce. Swego rodzaju ciekawostką dla turystów są puste albo zawalone gruzem place w Palermo.

Podobnie działo się przy budowie dróg. „Superstrada" z Palermo do Sciacco (północ-południe) istnieje tylko na papierze, w rzeczywistości jest to wyboista droga ziemna, na której niejeden samochód połamał resory. Na wykupie gruntów pod tę autostradę mafia zarobiła 100 milionów dolarów. Oporni chłopi, którzy nie chcieli swojej ziemi sprzedawać po zaniżonych cenach, kończyli marnie. W toku tych transakcji zamordowano osiemnastu opornych. Jeszcze lepszym interesem była budowa systemu zapór Garcia, gdzie mafiosi wykupili za grosze kamienistą ziemię i sprzedali ją państwu jako winnice.

Opłaty za „opiekę", uiszczane mafii regularnie przez właścicieli sklepów, warsztatów i fabryczek, gabinetów lekarskich i dentystycznych – to już tradycja, która nikogo nie dziwi i przeciw której nikt nie próbuje protestować. W praktyce nie ma takiej dziedziny działalności publicznej, z której mafia nie ciągnęłaby zysków. Nawet cmentarze znajdowały się pod jej „opieką" i za każdego pogrzebanego nieboszczyka płacono określone sumy szefowi żałobników, nazwiskiem Antonio Lo Cicero.

Wszystkie te sztuczki, triki i przedsięwzięcia mafijne byłyby nie do pomyślenia bez udziału ludzi zwanych w gwarze Czcigodnego Stowarzyszenia „lalkami w ubraniach" („puppi vestiti"). Byli to protektorzy mafii usadowieni we władzach komunalnych i państwowych. Vito Ciancimino – były burmistrz Palermo, Giovanni Gioia – były minister, Nino Salvo – były generalny poborca podatkowy, oto owe marionetki w garniturach manipulowane przez mafię, a stojące do niedawna u szczytu władzy. Wreszcie i dla nich znalazło się miejsce w klatkach sądowego bunkra.

Pierwszy dzień procesu-giganta, 10 lutego 1986 roku, upłynął na odczytywaniu nazwisk oskarżonych i ich obrońców. W pewnej chwili mocno zbudowany więzień z siwymi wąsami i w okularach w rogowej oprawie podszedł do mikrofonu i krzyknął:

– Zwalniam moich obrońców z udziału w tej sprawie!

– Prawo wymaga, aby miał pan obronę – odpowiedział sędzia Giordano.

– Przeczytałem w prasie kilka niemiłych oświadczeń. Stwierdzono w nich, że nie powinno się bronić oskarżonych w tym procesie, popieram te poglądy i rezygnuję z obrony!

Szmer przebiegł po sali. To protestował Luciano Liggio, 61-letni szef szefów, najstarszy rangą mafios na ławie oskarżonych. Przywieziono go z więzienia w północnych Włoszech, gdzie odsiadywał karę dożywocia, orzeczoną w 1974 roku. Teraz miał odpowiadać za świeżo ujawnione czyny – cztery morderstwa, transakcje narkotykami i przynależność do mafii, co od 1982 roku jest we Włoszech uznane za przestępstwo samo w sobie.

Cóż za niezwykły typ ten Liggio! Jego życiorys mógłby wypełnić kilka tomów fascynującej lektury (jeśli ktoś fascynuje się zbrodnią). Obecni na sali prawnicy znali jego curriculum vitae na pamięć, znała je również publika.

Luciano Liggio – a właściwie Leggio – urodził się w 1925 roku w okolicy Corleone, tego odległego o 85 kilometrów od Palermo miasta, gdzie każdy młody człowiek, często niepełnoletni, staje się automatycznie albo członkiem mafii, albo jej ofiarą. Od lat Corleone było kuźnią kadr mafijnych, stąd wywodzili się tak zna-

czni i słynni bossowie dwudziestego stulecia, jak Vito Cascio Ferro, Calogero Vizzini czy Giuseppe Genco Russo. Zwłaszcza ten ostatni nie miał sobie równych i przez wiele lat uważano go za swego rodzaju króla organizacji.

Rodzice Luciana Liggia byli wieśniakami, on sam także pracował na roli, w majątku doktora Corrado Carusa. 29 kwietnia 1945 roku ktoś zamordował dowódcę strażników tego majątku, a więc postać ważną, funkcja ta do dzisiaj ceniona jest w kołach sycylijskiego ziemiaństwa. Nie wiadomo, czy zbrodnię popełnił Liggio. Natomiast faktem jest, że ten dwudziestoletni wówczas młodzieniec zajął miejsce zabitego i odtąd opiekował się dziedzicem osobiście. Z doktorem Caruso zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Liggio robił wszystko, by ograniczyć kontakty dziedzica z rodziną i przyjaciółmi; doktor stał się małomówny jakby zastraszony. Nic w tym dziwnego: Liggio uczynił bowiem z jego majątku kwaterę główną miejscowej mafii. Stąd słał rozkazy, których plonem okazały się 143 rabunki, 43 przypadki szkód na polach, 22 szantaże połączone z kradzieżą, a przede wszystkim 16 zabójstw. Wszystko to w jednym tylko 1945 roku.

Liggio, niewysoki, muskularny brunet, niezbyt wykształcony, ale z natury inteligentny, miał już za sobą kilkumiesięczny wyrok za nielegalne posiadanie broni. Nikt nie przypuszczał wtedy, że zapadnie na niego jeszcze pięćdziesiąt wyroków sądowych, a i na tym też się nie skończy.

Szefem mafii w Corleone był wówczas lekarz Michele Navarra. On to upodobał sobie krwiożerczego Liggia, chronił go jak mógł przed stróżami prawa, wydobywał z więzienia, gdy młody gangster głupio się na czymś potknął. Przyszedł jednak dzień, kiedy doktor nie mógł już nic zrobić dla swego podopiecznego. 18 marca 1948 roku zniknął z Corleone niejaki Placido Rizzotto, sekretarz miejscowego oddziału Związku Kombatantów i Inwalidów Wojennych, zwolennik reformy rolnej i nadania ziemi chłopom, a ponadto człowiek niechętnie nastawiony do doktora Navarry, którego podejrzewał, i zupełnie słusznie, o machinacje mafijne. Mafia orzekła, że Rizzotto jest „tragediatore" („kłopotliwy"), co równało się wyrokowi śmierci. Egzekucji dokonał Luciano Liggio.

Ludziom Navarry wolno było robić wszystko, pod jednym tylko warunkiem, że nie dadzą się schwytać na gorącym uczynku. Tymczasem kapitan karabinierów Carlo Alberto Dalla Chiesa – ten sam, który po latach osiągnął stopień generała i zginął z rąk mafii w Palermo – wyśledził dwóch mafiosów, Pasquale Criscionego i Vincenzo Collurę, którzy pod wodzą Liggia porwali sekretarza Rizzotta, wywieźli go samochodem za miasto i w górskim ustroniu zamordowali.

Mafiosi „puścili farbę". Wyznali, że strzelał osobiście Liggio. Aby dowieść szczerości swojej skruchy zaprowadzili policję do wąskiej rozpadliny skalnej na górze Casale, gdzie w głębokiej na 50 metrów grocie spoczywały zwłoki kilkunastu osób, a wśród nich sekretarza Rizzotto. Liggio miał przed sobą tylko jedno wyjście – ucieczkę. Zniknął i nie było go 16 lat.

Czy naprawdę go nie było? W takim przeświadczeniu trwały władze, ale nie mafia z Corleone. Liggio wracał bowiem co pewien czas w rodzinne strony, aby wymierzać „kary" ludziom kłopotliwym: w 1955 roku zastrzelił karabiniera Claudia Splendida, ponieważ ten ośmielił się go śledzić. Gdzie przebywał w przerwach pomiędzy wypadami do Corleone? Przeważnie w prywatnych szpitalach i klinikach. Dzielny mafios był bowiem poważnie chory na gruźlicę kręgosłupa i musiał stale się leczyć. Właściciele klinik byli zapewne ludźmi zaufanymi, bo nikt nigdy nie próbował nawet go zadenuncjować, mimo iż figurował na listach gończych rozlepianych w każdym sycylijskim mieście.

Jak dotąd Liggio prowadził tryb życia zwykłego mafijnego bandyty, tyle że wyróżniał się wyjątkowym okrucieństwem. 2 sierpnia 1958 roku złamał jednak wyznawane dotąd zasady, m.in. tradycyjne prawo lojalności wobec swojego patrona. Doktor Navarra, któremu w hierarchii mafijnej był podporządkowany, od dawna przestał mu się podobać. Postanowił przeto sam zostać szefem i władzy z nikim już nie dzielić. Doktor wracał właśnie samochodem z Lercara Friddi (jeszcze jednej bazy mafii) do Corleone, gdy niedaleko od miasta zajechała mu drogę alfa-romeo super 1900. Nie zdążył zahamować i samochody zderzyły się, na szczęście niegroźnie. W kilka sekund później seria z broni maszy-

nowej oddana przez okno alfy-romeo położyła trupem doktora i jadącego z nim pasażera nazwiskiem Giovanni Russo, człowieka, który nie miał z mafią nic wspólnego ani też nigdy przeciw niej nie występował. Nikt nie miał wątpliwości, kto był sprawcą mordu. Policja szybko odnalazła właściciela alfy-romeo. Był nim Giuseppe Leggio, bliski krewny Luciana Liggia.

Śmierć doktora Navarry była dopiero początkiem, w ciągu następnych dwóch lat Liggio wystrzelał trzynastu „navaryjczyków", mafijnych przyjaciół zamordowanego doktora. Dowództwo karabinierów w Palermo napisało w raporcie: „Nie było w tym regionie w tamtym okresie takiej zbrodni, która nie nosiłaby śladów ręki Liggia".

14 maja 1964 roku Luciano Liggio został aresztowany. W jakich okolicznościach? Nie wiadomo, Pułkownik karabinierów Ignazio Milillo i wysłannik Komisji Antymafijnej, oficer policji Angelo Mangano podawali różne wersje tego wydarzenia, przy czym obaj przypisywali sobie zasługę schwytania niebezpiecznego bandyty.

Proces Luciana Liggia i jego kilku wspólników ciągnął się przez trzy miesiące, odbyło się prawie pięćdziesiąt sesji sądowych po to, by rozprawę zakończyć... uniewinnieniem oskarżonych „z braku dowodów". Była to rozprawa iście sycylijska: świadkowie odwoływali składane wcześniej zeznania, zasłaniali się brakiem pamięci, policjanci podważali oświadczenia karabinierów, i na odwrót. Pułkownik Mangano psuł szyki pułkownikowi Milillo, a ten mu się odwzajemniał.

Po wyjściu z aresztu Liggio – co mu się dotąd nigdy nie zdarzało – udzielił prasie wywiadu.

– Jestem zwykłym mizerakiem – mówił – ofiarą machiny policyjnej i karabinierów. Gdyby nie istniał Liggio, skąd żony niektórych oficerów policji byłoby stać na futra z norek, na drogą biżuterię czy luksusowe samochody. Wyjaśnię to dokładnie. Mafia została wymyślona przez pewne koła policyjne po to, by wyciągać z kieszeni obywateli kupę forsy... Państwo wydaje na walkę z mafią i mafiosami miliardy, ścigając Giuliana, Liggia i innych, pod-

czas gdy i jeden, i drugi, i cała reszta to ludzie niewinni. W rezultacie do rąk i kieszeni policjantów płyną strumienie pieniędzy...

Był to sposób argumentacji typowy dla członków mafii.

Uwolniony Luciano Liggio znowu rozpoczął działania dla mafiosów nietypowe: zaczął uprawiać proceder nigdy dotąd na Sycylii nie praktykowany: porywanie ludzi w celu uzyskania okupu. Pozazdrościł widocznie apanaży gangsterom z innych stron świata, ale co gorsza dla mafii porywał ludzi z nią związanych.

Na pierwszy ogień poszedł Don Giuseppe Caruso, ten sam, który zbił majątek na heroinie przemycanej w blokach marmuru. Liggio porwał mu syna i zwolnił go dopiero po zainkasowaniu okupu w wysokości ponad pół miliona dolarów. Następnym był Don Ciccio Vassallo, mafios z branży budowlanej. Jemu także porwał syna, a za zwolnienie go zainkasował dwieście tysięcy dolarów. Później przyszła kolej na poborcę podatkowego w zachodniej Sycylii, nazwiskiem Corleo. Na Sycylii podatków nie ściągają bezpośrednio urzędnicy państwowi, lecz licencjonowani poborcy, którzy – jeśli są członkami mafii – wymuszają od płatników zamiast urzędowych 2 procent za usługę – 10 i więcej procent, są więc ludźmi zamożnymi. Liggio zażądał za zwolnienie starego Corleo 10 milionów dolarów, ale tu przeholował i naraził się na kontrakcję zięcia porwanego, wpływowego mafiosa Nina Salvo.

W Palermo zebrał się areopag najwyższych sędziów mafii. Sprawę Luciana Liggia rozpatrywali: „Don Tano" – Gaetano Badalamenti, Frank Coppola, zwany Trzy Palce i kilku innych bossów. Orzeczenie brzmiało kategorycznie: koniec z porwaniami na Sycylii, jeśli Liggio chce dalej ten proceder uprawiać, musi się stąd wynieść, może gdzieś na Północ!

Liggio wyniósł się więc do Mediolanu, bez żadnych zresztą oporów, ponieważ doszedł do wniosku, że na bogatej Północy można wymusić więcej pieniędzy. Tam uprowadza znanego przemysłowca Pietra Toriellego i zwalnia go za ogromnym okupem – dwóch miliardów lirów. Następnie porywa barona Luigiego Rossi di Montelere, współwłaściciela znanej na świecie firmy pro-

dukującej napoje alkoholowe „Martini i Rossi”. Tu szczęśliwa passa Luciana Liggia zostaje nagle przerwana. W ostatniej chwili, gdy ojciec zakonny, jezuita Giovanni Costa, pośrednik w pertraktacjach pomiędzy rodziną uprowadzonego i porywaczami, pakował już 3 miliardy lirów, aby je zawieźć mafiosom, policja jak gdyby wiedziona przedziwnym instynktem, trafiła do ziemianki w zagrodzie braci Taormina pod Turynem, gdzie znalazła uwięzionego barona Rossi.

Instynkt to wspaniała policyjna zaleta, w tym jednak przypadku uruchomiono i inne środki działania. Telefon trzech braci Taormina był od dawna na podsłuchu, podobnie jak i aparat pana Antonia Ferrugii, zamieszkałego w Mediolanie przy Via Ripamonti 166. Ferrugia, bogaty przybysz z Południa (zdradzał go akcent), zajmował tam apartament z trzema sypialniami, trzema łazienkami, z ogromnym salonem i ukwieconym tarasem. Każdy niemal telefon do niego kończył się sycylijską formułką:

– Bacciamu li manu a vossia – całuję rączki waszej wielmożności!

14 maja 1974 roku policja otoczyła cały rejon Via Ripamonti. Do mieszkania Antonia Ferrugii zadzwonił osobiście pułkownik policji Vissicchio. Otworzył mu zaspany osobnik w piżamie. Był to Liggio..

Tym razem nie zastosowano taryfy ulgowej. W grudniu 1974 roku sąd skazał Luciana Liggia na dożywotnie więzienie.

Supermafios wylądował początkowo w swojskim Ucciardone, gdzie współwięźniowie całowali mu ręce i tytułowali „wielmożny panie”, a strażnicy przynosili z restauracji wyborne dania i wypełniali jego lodówkę butelkami szampana, oczywiście ulubionej marki. Idylla trwała krótko: „ze względów bezpieczeństwa” Liggia przeniesiono do zakładu karnego w Padwie. Spędził tam 12 lat i dopiero w lutym 1986 roku wrócił do Palermo – do klatki w sądowym bunkrze.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że było to dla niego 12 straconych lat. Sędzia Falcone nie ma najmniejszych wątpliwości, że z więziennej celi Liggio nadal kierował swoimi interesami i wysyłał wyroki śmierci na zdrajców, którzy go wydali.

Kim byli ci ludzie? Prawdopodobnie członkami konkurencyjnych gangów z Północy, którzy nie mogli bezczynnie patrzeć, jak Sycylijczycy zgarniają im sprzed nosa wielkie pieniądze...

W pierwszym dniu maksi-procesu w sądowym bunkrze dziennikarze, którzy nie znali jeszcze ostatecznej listy oskarżonych, jęli lustrować wzrokiem ludzi wprowadzanych do klatek.

– Jest Liggio – mówił ktoś – jest „Pipo” Calo, są odpryski z „rodzin” La Barbera, Badalamenti, Marchese, Santa Paola. Nie ma „Papieża”...

– Nie mają go i nie będą mieć!

Poproszony o wyjaśnienie Aldo Rizzo, były sędzia z Palermo, a teraz przedstawiciel parlamentarnej Komisji Antymafijnej, powiedział:

– Głowa węża znajduje się niestety poza tą salą. „Papież” wciąż jest w stanie zademonstrować swoją zbrodniczą siłę...

Sędzia dodał jeszcze, że Michele Greco, zwany „Papieżem”, sycylijski mafios numer 2, a od czasu aresztowania Liggia numer 1, jest wciąż nieuchwytny. Buscetta ujawnił w swoich wyznaniach, że to „Papież” właśnie był przez długi czas przewodniczącym Komitetu Dziesięciu, najwyższego, zakonspirowanego nawet przed swoimi dowództwa mafii.

Podczas gdy dziennikarze gubili się w domysłach, gdzie też może ukrywać się od 1982 roku Michele Greco (oskarżony wtedy o zorganizowanie zamachu na generała Dalla Chiesę), gęsty kordon karabinierów i wojskowych komandosów otaczał pewną farmę w Ciaculli – rolniczej peryferii Palermo. Farma ta, należąca do „Papieża”, od dawna była pod obserwacją. Wielokrotnie przeprowadzano tam rewizje, nikogo nie znajdowano, a w policyjnych raportach odnotowano jedynie, że główny dom mieszkalny, z zewnątrz niepozorny i zaniedbany do granic ostateczności, wewnątrz urządzony jest luksusowo. Znajdują się tam antyczne meble, wartościowe obrazy, rzeźby oraz przeróżne cenne bibeloty. Nie widać natomiast żadnych, ale to żadnych śladów bytności ludzi.

Nad farmą krążyły patrolowe helikoptery, a w najbliższej okolicy rewidowano samochody i kontrolowano dokumenty osobiste

wszystkich, którzy tam się znaleźli. Obławą kierował niewysoki mężczyzna ze spiczastą bródką – sędzia Giovanni Falcone we własnej osobie. Do podjęcia tej akcji skłoniły go zagadkowe słowa Don Tommasa Buscetty: „Jedźcie na farmę w Ciaculli i szukajcie pod podłogą, czeka was tam niespodzianka”.

Karabinierzy przeszukiwali farmę, penetrowali każdy kąt, nic nie udawało im się znaleźć i dopiero po dwóch dniach, 12 lutego, jeden z policjantów odkrył przysłonięty wanną otwór do jakiegoś podziemia. Z zachowaniem wszelkich ostrożności oddział karabinierów zszedł w dół po prymitywnych schodach i oto znaleźli się w obszernej grocie, przeniesionej jakby żywcem z orientalnej baśni. Sala główna, okrągła, wysłana dywanami, w niej wielki marmurowy stół otoczony fotelami z rzeźbionego drewna, obok w sypialni – kosztowne tapczany i sofy... W stosunku do wzorów z „Księgi Tysiąca i Jednej Nocy” wprowadzono tu oczywiście pewne innowacje: oświetlenie elektryczne i niezawodnie działające wentylatory, a także... pokój tortur ze specjalnymi wannami, w których można było rozpuszczać zwłoki ofiar.

Greco i jego ludzie byli tu niedawno: świadczyły o tym resztki nie zepsutego jeszcze jedzenia i niedopałki papierosów. Którędy uciekli? Patrole komandosów ruszyły dalej i wróciły z raportem: z podziemi farmy można wydostać się na zewnątrz kilkoma korytarzami, których wyloty znajdują się wśród skał na brzegu morza. Łączna długość korytarzy – 700 metrów.

To niezwykłe odkrycie świadczące o skali możliwości konspiracyjnych mafii zdawało się odbierać nadzieję na schwytanie „Papieża” Greco. Można się było tylko pocieszać przypuszczeniem, że jest on nadal w kraju, i to właśnie na Sycylii, gdzie mimo wszystko czuje się najlepiej i najpewniej.

W miesiąc później, w połowie marca 1986 roku, komenda policji w Palermo otrzymała telefon od swojego informatora, którego udało się wprowadzić do mafii: „Papież” jest w Termini Imerese, miasteczku oddalonym o 40 kilometrów od stolicy Sycylii. Ukrywa się w starym żółtym domku na peryferiach od strony Ventimiglia Siciliana...

Raz jeszcze wyruszyła obława i raz jeszcze wydawało się, że skończy się na niczym. W żółtym domku przebywał tylko jeden człowiek – przygarbiony, wąsaty i brodaty starzec, niczym nie przypominający „Papieża“, który chociaż przekroczył sześćdziesiątkę, wyróżniał się młodzieńczą postawą i niespożytą energią.

– Kogo poszukujecie? – zapytał uprzejmie ów osobnik. – Nazywam się Giuseppe di Fresco, oto moje papiery.

Dowódca obławy, pułkownik karabinierów Giuseppe di Gregorio przez chwilę tylko się zawahał. Zaraz jednak przypomniał sobie, że di Fresco, typ w swoim czasie także mocno podejrzany, zmarł w Palermo przed kilku laty, a poza tym, gdyby nawet żył, musiałby być znacznie młodszy od lokatora żółtego domku.

Proszę z nami – powiedział krótko pułkownik i mimo protestów rzekomego di Fresco zapakował go do brązowego forda, który w otoczeniu motocyklistów pomknął do koszar Tukoi, a stamtąd do zakonspirowanego miejsca odosobnienia.

Tam w obecności sędziów śledczych aresztantowi zgolono wąsy i brodę, a fotograf wykonał zdjęcia „nowej twarzy”. Porównano ją z ostatnią fotografią Greca, powielaną na listach gończych, a także z kilkoma portretami pamięciowymi, sporządzonymi przez różnych ludzi już po jego zniknięciu w 1982 roku. Nie było już wątpliwości – to był on, Michele Greco, „szef szefów” (Capo dei Capi) z Komitetu Dziesięciu! Niebawem – zapewnił sędzia Falcone – i on znajdzie się w jednej z klatek więziennego bunkra.

W takich to niezwykłych okolicznościach zamknął się ostatni rozdział sagi rodu Greco, klasycznej historii wczorajszej i dzisiejszej mafii.

Jeszcze do niedawna rodzina Greco (rodzina w sensie dosłownym) uchodziła za kryształowo uczciwą i raczej niezamożną. Ludzie klanu Greco byli właścicielami studzien w Conca d’Oro i sprzedawali wodę mieszkańcom Palermo. Z banków państwowych i komunalnych brali pożyczki na inwestycje w swoich sadach cytrusowych, punktualnie spłacali raty, nigdy nie zalegali z podatkami. Według opinii policji byli „poza wszelkimi podejrzeniami”.

Na kilka lat przed zamachem na generała Dalla Chiesę rodzina Greco zaczęła ściągać na siebie uwagę otoczenia. Przede wszystkim okazało się, że nie była tak biedna, jak dotychczas sądzono. W Ciaculli, wiejskiej siedzibie klanu, odbywały się coraz częściej huczne zabawy połączone z polowaniami, w których udział brali znamienici goście – pierwszoplanowe postacie Sycylii. Przyjeżdżali więc: główny poborca podatkowy Nino Salvo, deputowany Giovanni Gioia, burmistrz Palermo Vito Ciancimino, książę Vanni di San Vincenzo, hrabia Tasca, baron Inglese, bogaty przedsiębiorca Cassina. Co mogło łączyć tę śmietankę towarzyską wyspy z ludźmi, którzy do niedawna byli zaledwie skromnymi dzierżawcami gruntów hrabiego Tagliavia, trochę zamożniejszymi chłopami? Odpowiedź na to pytanie przyniosło dopiero śledztwo w sprawie śmierci generała Dalla Chiesy oraz zwierzenia Buscetty i kilku innych skruszonych mafiosów.

Chłopski ród Greco jest stary, ale jego mafijne dzieje rozpoczynają się dopiero w latach trzydziestych naszego stulecia. Są to dzieje nad wyraz krwawe. Na czele klanu tych wyrobników rolnych stało trzech braci Greco, z których Giuseppe, zwany „porucznikiem Piddu", miał najwięcej sprytu i chęci wybicia się. Gdy po kolejnej reformie rolnej ograniczającej prawa obszarników właściciele ziemscy wynieśli się do miast i oddali majątki w dzierżawę, „porucznik", dogadał się z hrabią Tagliavia. Ustalono, że Giuseppe i jego bracia będą dzierżawcami majątku. „Niech i tak będzie – odrzekł hrabia – ale tylko do czasu, kiedy znajdą się chętni na kupno tej ziemi. Wówczas będziecie musieli zawierać nowe umowy". Potencjalni nabywcy, i owszem, znajdowali się, lecz żadna ich oferta nie dotarła do hrabiego. Wymowne spojrzenia dzierżawców Greco zapowiadały, co się z nabywcami stanie, jeśli transakcja zostanie zawarta.

Ciacullę otaczają sady małych pomarańcz, tak zwanych klementynek. Drzewa te mogą owocować i dwa razy w ciągu roku, pod warunkiem, że będą dobrze nawadniane, a ponieważ studnie należały wyłącznie do rodziny Greco, drobni sadownicy musieli im słono płacić za wodę. Po kilku latach klan Greco miał już tyle

pieniędzy, że mógł majątek hrabiego odkupić – co też się i stało. Trzej bracia zostali obszarnikami.

Najbardziej usatysfakcjonowany z tego powodu był „porucznik Piddu". Puszył się, dawał do zrozumienia rodzinie, że to wyłącznie jego zasługa, w związku z czym pozostali muszą uznać go za głowę klanu oraz za szefa „organizacji rodzinnej". Bracia spokojnie podchodzili do żądań „porucznika", natomiast ich synowie dyszeli nienawiścią, czekając tylko na odpowiedni moment, kiedy będą mogli utemperować autokratycznego stryja.

Chwila ta wreszcie nadeszła. W Wielki Piątek roku 1939, kiedy cała rodzina Greco udała się do kościoła, aby wysłuchać mszy żałobnej za Ukrzyżowanego, „porucznik Piddu" spostrzegł ze zgrozą, że pierwsze ławy kościelne zajęli krewniacy. Natychmiast rozkazał swym synom wyrzucić ich ze świątyni. W godzinę później rozegrała się przed kościołem bójka – poszły w ruch noże i pistolety. Jeden z synów „porucznika" legł zabity. W rewanżu „porucznik" Giuseppe uśmiercił jednego ze swoich braci i szwagra. Ta klasyczna sycylijska vendetta trwała przez kilka lat i pochłonęła niemało ofiar, ale każde morderstwo dokonywane było tak dyskretnie, by żadne dowody nie znalazły się w rękach władz.

Niewątpliwie ta krwawa vendetta rodzinna zaprawiła „Papieża" Michele Greco do działań z bronią w ręku: z pistoletem, z nożem, z „luparą" (karabin z obciętą lufą). Gdy stary „porucznik Piddu" zmarł we własnym łóżku, Michele, najstarszy syn, objął przywództwo rodu, będąc już nieźle wytrenowany w różnych rodzajach zbrodni.

Staroświeckie metody zdobywania pieniędzy przestały interesować „Papieża" Michele; przeniósł się do Palermo, gdzie można było robić dobre interesy w branży budowlanej i w handlu narkotykami. Jego brat Salvatore także rozstał się z mafią „rolną"; wyjechał do Kanady, skąd łatwo przemycało się narkotyki do USA.

Niestety, budownictwo w Palermo było już obsadzone przez mafijny klan braci La Barbera. Początkowo „Papież" potrafił się

z nimi dogadywać i interesy, tak budowlane, jak i narkotykowe, robiono wspólnie. Szybko jednak nastąpił dzień, w którym doszło do starcia konkurentów. Podczas jednej ze wspólnych przemytniczych akcji wysłany za granicę transport narkotyków gdzieś zaginął, a bracia La Barbera oskarżyli o tę kradzież ludzi Michela Greca.

„Papież" ujął się honorem, zaapelował do najwyższego sądu mafijnego o rozpatrzenie jego sprawy. Na sesji „sądu cieni" został uniewinniony, jednak oskarżyciele nie uznali tego wyroku. Gdy w Palermo pojawił się jeden z ludzi „Papieża", steward okrętowy, któremu wykradziono partię przemycanych narkotyków, bracia La Barbera zastrzelili go na ulicy. Michele Greco potraktował to zabójstwo jako osobistą obrazę i rozpoczęła się kolejna vendetta, tym razem nie rodzinna, ale między „rodzinami". Ta bezpardonowa rozprawa pochłonęła kilkanaście ofiar po obu stronach. Szef „rodziny" La Barbera, Salvatore, został zadźgany nożami w więzieniu, gdzie odsiadywał karę za jakieś inne przestępstwa. Jego brata Angela uśmiercono sześcioma kulami na jednej z ulic Mediolanu.

„Wojnę o Palermo" – bo tak tę vendettę ochrzciła prasa – zakończył dopiero tragiczny przypadek, który spowodował śmierć siedmiu karabinierów. Pewnego dnia ludzie „rodziny" La Barbera umieścili w samochodzie „Papieża" zaparkowanym przed jego willą w Ciaculli dwie bomby: pierwsza była widoczna, nie zawierała materiału wybuchowego, drugą, starannie ukrytą, naładowano trotylem o potwornej sile eksplozji i połączono z pierwszą. Według planu zbrodniarzy Michele Greco, który wsiądzie do samochodu, dostrzeże łatwo wykrywalną bombę, będzie usiłował ją rozmontować, a wtedy drugi ładunek rozerwie go na strzępy. Stało się inaczej: pierwszą bombę zauważyli karabinierzy rutynowo patrolujący parkingi. Od razu przystąpili do jej rozbrojenia i wszyscy wylecieli w powietrze. To tragiczne wydarzenie zdopingowało władze do energicznego śledztwa, w związku z czym konkurencyjne „rodziny" postanowiły przycichnąć i zrezygnować na razie z kontynuowania vendetty. Był to rok 1963. Zrządzeniem

losu „Papież ocalał po to, aby w 23 lata później znaleźć się w klatce sądowego bunkra.

Prawnicy, którym w maksi-procesie przyszło po raz pierwszy oskarżać lub bronić mafiosów, musieli najpierw nauczyć się gwary używanej w Czcigodnym Stowarzyszeniu. Oto kilka określeń z tego osobliwego kodu:

– On rozciągnął się (astutatu): został zamordowany.
– Wyjąć kamień z buta (livarsi una petra di la scarpa): zemścić się.
– Mieć nadzieję (sparanzari): uciec za granicę.
– Prześladowany (prisicutu): zbiegły z więzienia.
– Popioły (cinniri): narkotyki.
– Tchórz (sutrutu): łatwowierny, naiwniak.
– Człowiek pusty (vacanti): człowiek bez broni.
– Tandeta (grasciu): złoto.
– Łokieć (gumitu): ten, który odmawia pomocy.
– Brodacz (varvutu): zakonnik.
– Fałszywy (rifardu): cudzoziemiec.
– Wikariusz (vicariu): komisarz policji.
– Kogut z Kairu (gaddu cairisi): karabinier.
– Kogut z piórami (gaddu cu la pina): karabinier wysokiej rangi.
– Ojciec rodziny (patriranni): szef „rodziny" mafijnej.
– Przyjaciel przyjaciół (amicu di amici): osobistość wspomagająca mafię.
– Liść karczocha (cosca): mafijna „rodzina".

Według przewidywań prawników, rozpoczęty 10 lutego 1986 roku „proces nad procesami" miał trwać około 18 miesięcy, w co nikt nie wierzył. Trudności, które od razu zaczęły się piętrzyć, miały oczywiście nie tylko lingwistyczne podłoże. Doświadczeni oskarżyciele i obrońcy wiedzą, że mafiosi nigdy nie przyznają się do winy. Już w śledztwie dobierają sobie takich adwokatów, którzy z najbardziej nieprawdopodobnych oświadczeń oskarżonych potrafią sklecić jakąś sensowną całość, co wprawi w zakłopotanie sędziów szukających prawdy. Czasem przesłuchiwani mafiosi kierują uwagę sądu na nieistotne, błahe okoliczności,

dzięki czemu przeciągają proces nieraz o całe lata. Poza tym, każdy maksi-proces wywołuje lawinę mini-procesów, mafia bowiem, ta najbardziej tajemnicza organizacja przestępcza świata, jest hydrą o niezliczonej liczbie głów. Czy uda się ściąć te najważniejsze i czy nie będą one odrastać – przyszłość pokaże.

SPIS TREŚCI

„A więc kto rządzi mafią? Czy taka władza centralna w ogóle istnieje?

Mafiosi mają trzy swoje rangi, zeznaje Buscetta, co prawda bez oficjalnych tytułów. Ta trzecia najwyższa, jest utajniona przed podwładnymi. Jeszcze bardziej zakonspirowany jest Komitet Dziesięciu, wybierany spośród przywódców mafijnych owej najwyższej rangi. Na czele Dziesięciu stoi Szef Wszystkich Szefów (Capo dei Capi). Komitet Dziesięciu jest światową reprezentacją wszystkich organizacji mafijnych: zasiadają w nim przedstawiciele sycylijskiego Czcigodnego Stowarzyszenia, neapolitańskiej Camorry, kalabryjskiej N'drangheta i amerykańskiej Cosa Nostra. On sam, Buscetta, był mafiosem trzeciej, najwyższej rangi.

Jeżeli to wszystko prawda, musiałyby runąć hipotezy wielu socjologów, że mafia składa się z licznych, płynnych grup, nie tylko nie posiadających wspólnego kierownictwa, ale nawzajem się zwalczających, o czym świadczą krwawe między nimi rozprawy."

Cena zł 1200,–

ISBN 83-212-0526-7